

JULIO CORTAZAR

**W OSIEMDZIESIĄT ŚWIATÓW
DOKOŁA DNIA**

Przełożyła: Zofia Chączyńska

*Z odległości doprowadzonych do końca, Z niewiernych pretensji,
Z dziedziczonych nadziei przemieszanych z cieniem,
Z rozdzierająco słodkich obecności
I dni z przezroczystych żył kwietnych pomników
Cóż zostaje, w krótkim moim czasie, w mym słabym owocu?*

(Pablo Neruda, Diurno doliente)

*Ach, wyłupcie oczy mojej duszy,
Gdyby przyzwyczały się do chmur.*

(Aragon, Le roman imacheve)

Mojemu imiennikowi zawdzięczam tytuł tej książki, zaś Lesterowi Young swobodę w przeinaczaniu go, nie uwłaczając gwiazdnej sadze Fileasa Fogga Esq. Pewnego wieczoru, kiedy Lester wypełniał dymem i deszczem melodię Three Little Words, bardziej niż kiedykolwiek odczułem to, co stwarza Wielkich Jazzu, tę wynalazczość zawsze wierną tematowi, z którym walczy, który transponuje i opromienia tęczą. Jakże niezapomniane jest królewskie wejście Charlie Parkera w Lady, be good! Lester wyszukiwał profil, niemal nieobecność tematu, ewokując go tak, jak antymateria ewokuje materię, a ja pomyślałem o Mallarmem i o Kidzie Azteca, bokserze, którego widziałem w Buenos Aires gdzieś w latach czterdziestych, a który pod lawiną ciosów przeciwnika przybrał owego wieczoru pancierz absolutnej nieobecności, wspierającej się na misternych unikach, dając w ten sposób pokaz próżni, w jakiej tonęły patetyczne ciosy ośmiuncjowych rękawic.

Bo dzieje się jeszcze i to, że za pośrednictwem jazzu zawsze wydostaję się na otwartą przestrzeń, uwalniam od raka identyczności, by posiąść gąbkę, porowatą równoczesność, współdział; tej nocy z Lesterem były to poruszające się strzępy gwiazd, anagramy i palindromy, które w Jakimś momencie niewytłumaczalnie wywołały wspomnienie mego imiennika, nagle zjawili się Obieżyświat i piękna Auda, była to podróż w osiemdziesiąt światów dookoła dnia, bo u mnie analogia funkcjonuje tak, jak u Lestera schemat melodii przerzucający go na lewą stronę dywanu, tę, gdzie te same nitki i te same kolory łączą się w zupełnie inny deseń.

To, co teraz nastąpi (nie zawsze można opuścić codziennego raka swych pięćdziesięciu lat), czerpie możliwie jak najwięcej z owej porowatej gąbki, bezustannie wdychającej i wydychającej ryby wspomnień, piorunujące związki czasów, krajów, matem, które powaga, ta zbyt solenna dama, uznałaby za nie do pogodzenia. Bawi mnie wymyślanie tej książki, supozycje na temat wrażenia, jakie ona wyrze na wyżej wymienionej damie, trochę tak jak kronopioⁱ Man Ray cieszył się swoim nabijanym gwoździem żelazkiem i innymi przedmiotami nie z tej ziemi; gdy stwierdzał: „W żaden żywy sposób nie należy stosować do nich kryteriów estetycznych ani zasad plastycznej wirtuozerii, której zazwyczaj oczekuje się od dzieł sztuki. Naturalnie - dodawała ta sowa w okularach, myśląc o znanej nam damie - zwiedzający moją wystawę tracili animusz i nie śmieli uśmieć się, przyjąwszy, że galeria obrazów to sanktuarium, w którym się nie kpi ze sztuki”.ⁱⁱ

Nie śmieli uśmieć się! Szkoda, Man Ray, że nie słyszałeś, co parę miesięcy temu wpadło mi w ucho w Genewie, gdzie w miejskiej galerii na Starym Mieście urządzono wystawę poświęconą dadaizmowi. Stało tam właśnie twoje nabijane gwoździami żelazko i podczas gdy wyżej wymieniona dama oglądała je z lodowatym respektem, jakaś ruda z blondyną prowadziły taki oto wzorcowy dialog

- W gruncie rzeczy całkiem podobne do mojego żelazka.

- Jak to?

- No pewno, tyle że to kłuje, a moje party.

Albo, by wrócić do Lestera: kiedy pewien krytyk muzyczny, równie poważny jak owa dama, pytał go, jakie były głębokie przyczyny estetyczne, które spowodowały jego decyzję zamiany perkusji na saxtenor, odpowiedział: „Perkusja ma bardzo ograniczony zasięg. Co z tego, że człowiek wypatrzy sobie jakieś fajne dziewczuszki na widowni, kiedy zanim zrobi porządek z perkusją, już ich nie ma”.

Czytelnik zapewne zauważył, że cytaty padają jak deszcz, ale to nic w porównaniu z tym, co nastąpi. W osiemdziesięciu światach mojej podróży dokoła dnia są porty, hotele i łóżka dla kronopiów, w dodatku cytować - znaczy cytować siebie, już to powiedział i zrobił niejeden, z tą różnicą, że pedanci cytują, bo to elegancko, a kronopie, bo są ohydnyimi egoistami i chcą akaparować przyjaciół, tak jak ja Lestera, Man Raya i tych, co następują, na przykład Roberta Lebla, który znakomicie określa moją książkę mówiąc: „Wszystko, co widzi pan w tym pokoju, albo ściślej, w tym sklepie, pozostawili poprzedni lokatorzy; w konsekwencji znajdzie pan tu niewiele rzeczy, które by do mnie należały, ale wolę te narzędzia przypadku. Różnorodność ich natury nie pozwala mi ograniczyć się do jednostronnych spostrzeżeń, i w tym laboratorium, którego zasoby systematycznie inwentaryzuję, rzecz jasna, w sensie odwrotnym niż przyrodzony, fantazja moja jakoś łatwiej, toruje sobie drogę”.ⁱⁱⁱ Ja potrzebowałbym do tego z pewnością znacznie więcej słów.

Ustami Lebla przemawia ni mniej, ni więcej tylko Marcel Duchamp. Do jego sposobu wywoływania jakiejś bogatszej rzeczywistości co uzyskuje na przykład zaprowadzając hodowlę kurzu albo stwarzając nowe jednostki miary, system nie bardziej konwencjonalny niż Inne, polegający mianowicie na tym, by rzucić kawałek sznura na posmarowaną klejem powierzchnię i uszanować długość jego i rysunek - dołącza się coś, czego nie mogę dokładnie wyrazić, ale co niejako samo się wyraża, co odczepia się od tego wszystkiego. Mówię o owym odczuciu substancjalności, o tym poczuciu życia (którego tak brakuje w tylu naszych książkach), kiedy pisanie i

oddychanie (w indyjskim rozumieniu oddychania jako przyływu i odpływu wszechistoty) mają ten sam rytm. Coś w rodzaju tego, co usiłował powiedzieć Antonin Artaud: „... mówię o tym minimum życia umysłowego w surowym stanie - jeszcze nie stało się słowem, ale mogłoby stać się nim w razie potrzeby - bez którego dusza nie może żyć, a życie jest jakby już minione”^{iv}

O tym i o tylu innych rzeczach - osiemdziesiąt światów, a w każdym z nich nowe osiemdziesiąt i w każdym... - bzdura, kawiarnia, informacje w rodzaju tych, które zrobiły cichą renomę Cudownym sekretom Alberta Wielkiego, między innymi temu, że jeżeli człowiek ugryzie innego, Podczas gdy je soczewicę, ugryzienie to jest nieuleczalne, a także cudownej formule

Jak zmusić do tańca dzieweczkę w koszuli?

Wziąć dziki majeranek, majeranek ogrodowy, leśny tymianek, werbenę, mirtowe liście razem z trzema liśćmi orzecha i trzema cienkimi plasterkami owocu włoskiego kopru (wszystko to zebrane w noc świętojańską przed wschodem), wysuszyć je w cieniu, zemleć i przesiać przez cienkie jedwabne siteczko; chcąc doprowadzić do końca miłą zabawę, należy dmuchnąć w proszek, który wzleci w powietrze niedaleko dziewczyny, ażeby go westchnęła, albo dać jej, żeby zażyła go w charakterze tabaki. Efekt natychmiastowy.

Pewien znakomity autor dodaje jeszcze, że skutek będzie znacznie pewniejszy, jeżeli owo przekorne doświadczenie przeprowadzi się w miejscu, gdzie będą płonęły lampki na tłuszczu z zająca lub młodego koziołka.

Oto formuła, którą będę stosował bez końca w moich prowansalskich dolinach, gdzie tak mocno pachną wszystkie zioła, nie mówiąc o dziewczynach. I wiersze, które żałają się na zapomnienie (może słusznie, chociaż nigdy nie wiadomo), i melodia, ton, który chciałbym porównać do Niedziela mnie czeka wielkiego Audibertiego, i The Unyuiet Grave, i tyle stron z Le paysan de Paris, a za tym zawsze Janek ptasznik, który wyrwał mnie z moich głupich buenosaireńskich nastu lat mówiąc to, co przecież Jules Verne powiedział mi tyle razy, tylko że nigdy nie rozumiałem tego do końca: jest świat, jest osiemdziesiąt światów na dzień, jest Dargelos i Hatteras, jest

Gordon Pym, jest Palinuro, jest Oppiano Licario (nieznany, prawda? ale pogadamy jeszcze o kronopiu zwanym Lezama Lima, a któregoś dnia również i o Felisbercie i Maurycym Fourre), a przede wszystkim jest wspólnie palony papieros i spacer po najbardziej tajemnych zakątkach Paryża czy innych światów, ale już dość, już mniej więcej widzisz, na co się tu zanosz, więc powtórzmy za wielkim Macedonem: „Nie chcę być świadkiem końca mojego pisania, dlatego też przedtem je zakończę”.

Lato na wzgórzach

Wieczorem skończyłem budować klatkę dla biskupa z Evreux, pobawiłem się z kotem o nazwisku Teodor W. Adorno i odkryłem na niebie nad Cazeneuve samotną chmurę, która przywiodła mi na myśl obraz Rene Magritte'a *La bataille de l'Argonne*. Cazeneuve jest małym miasteczkiem na wzgórzach na wprost łańcucha Luberm a kiedy wieje mistral wygładzający powietrze i krajobrazy, lubię nań patrzeć z mojego domku w Saignon i wyobrażać sobie, że wszyscy mieszkańcy krzyżują palce lewej ręki lub kładą szlafmyce z fiołkowej wełny, właśnie dzisiaj wieczór, kiedy ta niebywała chmura Magritte zmusiła mnie, bym przerwał nie tylko aresztowanie biskupa, ale i moje koziółki po trawie z Teodorem, działalność, którą obaj cenimy sobie ponad wszystko. Na wyostrzonym niebie Wysokiej Prowansji, które o dziewiątej wieczór jeszcze pełne było słońca, a już ukazywało sierp wschodzącego księżyca, chmura Magritte była dokładnie zawieszona ponad Cazeneuve po raz nie wiem który odczułem, że jest odwrotnie: gorejąca sztuka imitowana jest przez bladą naturę, ta chmura jest plagiatem tak złowróżbnego u Magritte'a zawieszenia życia, a także tajemnych mocy pewnego tekstu, opublikowanego tylko po francusku, tekstu, który napisałem wiele lat temu, a który mówi:

Najprostszy sposób zburzenia miasta

Czekać na łące w ukryciu, aż wielki cumulus zawiśnie dokładnie nad znienawidzonym miastem. Wtedy wypuścić petryfikującą strzałę, która przemieni chmurę w marmur - reszty nie warto omawiać.

Moja żona, wiedząc, że jestem zajęty pisaniem książki, z której pewne są tylko dwie rzeczy, a mianowicie moja ochota i tytuł, zagląda mi przez ramię i pyta

- Czy to będą pamiątniki? Znaczy - już skleroza? A gdzie masz zamiar umieścić klatkę biskupa?

Odpowiadam, że w moim wieku arterie z pewnością zaczęły już swe podstępne twardnienie, lecz pamiątniki zapobiegają narcyzmowi towarzyszącemu intelektualnej andropauzie, tak że będą miały za temat takie rzeczy, jak chmura Magritte, kot Teodor W. Adorno oraz zachowanie najlepiej opisane przez Felisberta

Hernandeza, który w *Ziemiach pamięci* (pamięci, nie pamiętników) odkrywa, że jego myśl oscyluje zawsze między nieskończonością a kichnięciem. Co do klatki - najpierw należy uwięzić biskupa, który na dodatek jest mandragorą, a potem już się zobaczy, gdzie zawiesimy jego kołyszące się piekło. Nasz dom jest dostatecznie duży, tyle że ja zawsze miałem skłonność do zwalczania pustki, zaś moja żona przeciwnie, co dało naszemu małżeństwu jeden z jego wielu wspaniałych aspektów. Gdyby to ode mnie zależało, powiesiłbym klatkę biskupa na samym środku livingroomu, ażeby episkopalna mandragora mogła brać udział w rytmie naszego lata, widziała, jak o piątej po południu popijamy mate, a kawę w porze chmury Magritte, nie mówiąc o podjazdowej wojnie przeciw końskim muchom i pająkom. Najmilsza Maria Zambrano, tak miłośnie broniąca Arachne pod wszelkimi postaciami, przebaczy mi, gdy wyznam, że tego popołudnia użyłem buta, obciążonego siedemdziesięcioma pięcioma kilami, przeciw czarnemu pająkowi wdrapującemu się na moje spodnie, którym to posunięciem dość niedwuznacznie postanowiłem go zniechęcić. Oczywiście resztki pająka zostały włączone do jedzonka przeznaczonego dla biskupa z Evreux, które składa się w kąciку klatki, a przy świetle ogarka rozróżnić tam można kawałki sznurka, niedopałki gauloise'ów, suche kwiatki, skorupki ślimaków i jeszcze całą kupę innych ingrediencji, które zyskałyby aprobatę malarza Alberta Gironelli, jakkolwiek tak klatka, jak biskup wydaliby mu się dziełem jakiegoś maniaka. Jednym słowem, nie uda mi się ulokować klatki w livingroomie; niby chmura nad Cazeneuve, pozostanie ona niepokojąco zawieszona nad moim biurkiem. Już zamknąłem biskupa; przy pomocy dwóch angielskich kluczy zacisnąłem żelazną linkę wokół jego szyi, pozostawiając mu zaledwie punkt oparcia dla prawej nogi. Łańcuch, na którym wisi klatka, skrzypi za każdym razem, kiedy otwierają się drzwi do mego pokoju, i widzę *biskupa en face, en trois quarts*, czasem z tyłu. Łańcuch pomaga jednak trochę w utrzymaniu klatki w jednej pozycji. Kiedy nadchodzi godzina posiłku i zapalam świecę, cień biskupa odbija się na pomalowanych ścianach: na cieniu jego podobieństwo do mandragory jest jeszcze jaskrawsze.

Jako że w Saignon jest bardzo mało książek, zaledwie osiemdziesiąt lub sto, które przeczytamy w lecie, plus te, które kupimy w księgarni Dumasa, kiedy będziemy jeździć w dni targowe do Apt. brak mi wiadomości o tamtym biskupie i nie wiem, czy w więzieniu siedział luzem, czy też skuty. Gdy myślę o nim jako o biskupie, wolę, żeby był związany, natomiast niepokoi mnie ten proceder w stosunku do niego jako mandragory. Mój problem jest trudniejszy niż Ludwika XI, dla którego

był on czysto episkopalny: ja mam biskupa-mandragorę, a na dodatek obie te rzeczy są trzecią, o kształcie pędu winorośli, liczącej jakieś piętnaście centymetrów, z wielkim nieokreślonym seksem, głową zakończoną dwoma rogami, względnie czujkami, o ramionach mogących podstępnie objąć skazanego na łamanie kołem lub też służącą, która nie dość wystrzega się ptaków. Mówię o powrozie na szyi i pożywieniu pochodzącym od diabła; dla mandragory znajdzie się od czasu do czasu spodeczek mleka, nie mówiąc o tym, co zasłyszałem, że mandragory należy łaskotać piórkami, żeby były zadowolone i obrzucały łaskami.

Ironiczne pytanie mojej żony zawisło nade mną trochę jak chmura nad Cazeneuve. A niby dlaczego nie pamiętniki? Jeżeli mi się zechce, to dlaczego nie? Ależ hipokryty te sudamerykany, ależ strach, żeby aby nie uchodzić za próżnego albo za pedanta! Jeżeli Robert Graves lub Simone de Beauvoir mówią o sobie - respekt i szacunek. Jeżeli Carlos Fuentes albo ja wydalibyśmy nasze pamiętniki, zaraz by nam zarzucono, że robimy się ważni. Jednym z powodów niedorozwoju naszych krajów jest brak naturalności jego pisarzy. Drugim - brak poczucia humoru, które nie istnieje bez naturalności. W innych społecznościach suma naturalności i humoru składa się na osobowość pisarza. Graves i Beauvoir zasiadają do pamiętników tego dnia, którego im się zachce, t ani on, ani ona, ani czytelnicy nie widzą w tym nic nadzwyczajnego. My, nieśmiałe produkty autocenzury i uśmiechniętej czujności przyjaciół i krytyków, ograniczamy się do pisania pamiętników zastępczych, wychylających się a la Fregoli spoza naszych powieści. A choć każdy pisarz zawsze po trochu tak robi, bo wynika to z samej natury rzeczy, my zostajemy w środku, tam, w naszych książkach ustanawiamy sobie oficjalne miejsce zamieszkania, a kiedy wychodzimy na ulicę, to jesteśmy nudnymi, przeważnie ciemno ubranymi panami. Chwileczkę. Dlaczego nie miałbym napisać pamiętników, teraz, kiedy nadchodzi mój zmierzch, kiedy skończyłem klatkę dla biskupa i zgrzeszyłem wzgóreczkiem książek, które w pewien sposób dają mi prawo do pierwszej osoby Liczby pojedynczej?

Problem zostaje rozstrzygnięty przez Teodora W. Adorno, który złośliwie skecze mi na kolana, drapiąc i namawiając do zabawy, co sprawia, że zapominam o pamiętnikach, natomiast mam ochotę wyjaśnić, że wstał tak nazwany nie przez ironię, lecz przeciwnie, przez nieskończoną rozkosz, którą tak mnie, jak i mojej żonie sprawiają pewne argentyńskie skojarzenia. Ale zanim to zostanie wyjaśnione, proszę zauważyć, że bawi mnie o mele bardziej mówienie o Teodorze i innych kotach i

ludziach niż o mnie samym. Albo o mandragorze, o której jeszcze nic nie zostało powiedziane. Albert Marie Schmidt wyjaśnia, że Adam kabalistów nie tylko został wygnany z raju, ale że Jehowa, ten ptaszek-uparcuszek, odmówił mu Ewy. We śnie Adam zobaczył tak wyraźnie obraz ukochanej kobiety, że dzięki pragnieniu posiadał ją, a nasienie pierwszego człowieka, padłszy na ziemię, poczęło roślinę o ludzkich kształtach. W średniowieczu (i niemieckim kinie) panuje przekonanie, że mandragora była owocem szubienicy, ostatniego złowrogiego spazmu wisielca. Przydałby się kronopio o bardzo długich czujkach, ażeby przeprowadzić pomost pomiędzy tak różnymi wersjami. Czyż Jezus nie jest nowym Adamem, czyż nie został powieszony na drzewie, jak to jest powiedziane w Dziejach Apostolskich? Chrześcijańska przyzwoitość zataiła - dosłownie - korzeń podania, które zostało zdegradowane do poziomu bajki Grimma, do owego dziewiczego, niesłusznie powieszonoego młodzieńca, u stóp którego rodzi się mandragora. Ale tym młodzieńcem jest Chrystus, który w braku czegoś lepszego mimo woli zapładnia wyobraźnię ludową.

Jeszcze o kotach i filozofach

Cóż to za wyjątkowe szczęście być Argentyńczykiem, który nie czuje się zmuszony do pisania serio, do bycia serio, do zasiadania przy maszynie w wyglansowanych bucikach i z grobową świadomością powagi chwili. Wśród zdań, które, jakby w przeczuciu tego, uwielbiłem w dzieciństwie, było następujące, wypowiedziane przez jednego z moich kolegów: „Ale ubaw!

Wszyscy płakali!" Nic zabawniejszego niż powaga pojęta jako nieodzowny walor wszelkiej „coś znaczącej” literatury (jeszcze jedno założenie niebywale śmieszne), ta powaga piszącego, jakby ktoś z musu szedł na velorio albo policzkował księdza. Na temat veloriów muszę opowiedzieć coś, co pewnego razu usłyszałem od doktora Aleksandra Gancedo, ale jeszcze przedtem wracam do kota, bo najwyższy czas wytłumaczyć, dlaczego nazywa się Teodor. W pewnej powieści, smażącej się na wolnym ogniu, był ustęp, który skasowałem (okaże się zresztą, że w tej powieści skasowałem tyle rzeczy, że - jak by powiedział Macedonio o ile skasuję jeszcze jedną, nie będzie powieści), w którym to ustępie trzech Argentyńczyków, ani poważnych, ani mających znaczenie, omawia problem niedzielnych dodatków do pism buenosaireńskich i spraw z tym związanych.

Zdaje się, że został już wzmiankowany pewien czarny kot. Należy zaznaczyć, że nazywał się Teodor, pośrednio ku czci niemieckiego myśliciela, i że imię to nadali mu Juan, Calac i Polanco po wygłoszeniu odpowiednich glos do tekstów, przez wierne ciotki nadsyłanych im znad La Platy. W tych tekstach bowiem domorośli (że tak powiem : palcem zrobieni) socjologowie obficie cytowali sławnego Adorno, aby tym efektownym nazwiskiem dosłownie „ozdobić” swoje eseje. Zresztą w owym czasie niemal wszystkie artykuły roily się od cytatów z Adorna i Wittgensteina, dlatego też Polanco twierdził, że kot zasługuje raczej na nazwisko Tractatus; to jednak nie zostało zaaprobowane ani przez Calaca, ani przez Juana, ani nawet przez samego kota, który skądinąd bez najmniejszej niechęci zgodził się na imię Teodora.

Według Polanca, który był najstarszy, dwadzieścia lat przedtem i z tych samych powodów, kot powinien był nazywać się Reiner Maria, trochę później Albert albo William - zgaduj, zgadula - a potem Saint-John Perse (jeżeli dokładnie to rozważyć, wspaniałe imię dla kota) lub Dylan. Machając wycinkami ze starych rodzimych gazet przed zdumionymi oczyma Juana i Calaca, podejmował się wykazać bezspornie, że socjologowie współpracujący z tymi pismami byli w gruncie rzeczy jednym i tym samym socjologiem, a jedyną rzeczą zmieniającą się w miarę lat były cytaty, krótko mówiąc, że ważne jest stosować się w tej dziedzinie do mody i pod karą utraty prestiżu unikać wszelkiej wzmianki o autorach przytaczanych w poprzednich dziesięcioleciach. Pareto - nieelegancko. Durkheim - drobnomieszczańsko. Gdy tylko przychodziły gazety, trzy dzikusy sprawdzały, czym ich socjolog zajmował się w ostatnich tygodniach, nie przejmując się podpisem pod artykułami, jako że jedyną rzeczą ważną było odkrycie co parę wierszy cytatu z Wittgensteina lub Adorno, bez których artykuł był nie do pomyślenia. „Poczekaj momentik mówił Polanco - ani się obejrzysz, jak przyjdzie kolej na Levi-Straussa, jeżeli jeszcze me przyszła, a wtedy, chłopaki, trzymać się mocno, jak Boga kocham”. Juan mimochodem przypominał sobie, że najslawniejsze dżinsy amerykańskie są wyrabiane przez niejakiego Levy-Straussa, ale Calac i Polanco czynili go ważnym, że to nie na temat, po czym wszyscy trzej przechodzili do sprawdzania ostatnich posunięć Grubej.

Sprawy Grubej niemal wyłącznie leżały w kompetencji Calaca, który umiał na pamięć dziesiątki sonetów sławnej poetki, recytując na przemian cztero- i trzywierszowe strofy, przy czym nikt nie widział między nimi różnicy ani nikogo nie

dziwiło, że Gruba z niedzieli ósmego miała dwa nazwiska, a z dwudziestego dziewiątego tylko jedno, co jednak nie zmieniało oczywistego faktu, że istnieje tylko jedna Gruba, zamieszkująca w rozmaitych miejscach, pod rozmaitymi nazwiskami, z rozmaitymi mężami, która wszakże, w sposób nie przestający nas wzruszać, stale pisuje te same albo prawie te same sonety. „To fantazjonauka - mawiał Calac. - Czysta mutacja, bracie. Istnieje jakaś złożona protoplazma, która do tej chwili nie wie, że mogłaby spokojnie płacić tylko jeden czynsz. Badacze powinni sprowokować jakieś zbliżenie pomiędzy Socjologiem a Grubą, ażeby zobaczyć, czy nie przeskoczy iskra genetyczna. Co by to był za niebywały skok naprzód !” Wszystko to mało obchodziło Teodora, o ile dostawał swoją miseczkę podgrzanego mleka obok łóżka Calaca, które było agorą, gdzie omawiano owe południowoamerykańskie losy.

Juliusze w akcji

W ciągu dziewiętnastego wieku ucieczka w metafizykę była najlepszym sposobem przeciw *timor mortis*, smutkom *hic et nunc* i uczuciu absurdu, którym obejmujemy zarówno siebie, jak świat. Wtedy pojawił się Juliusz Laforgue, który, jako kosmonauta, w pewnym sensie uprzedził tamtego Juliusza i ukazał nam znacznie prostsze wyjście: po co nam mglista metafizyka, kiedy pod ręką mamy fizykę namacalną? W epoce, w której każde uczucie działało na zasadzie bumerangu, Laforgue rzucił swoim, niby oszczepem w słońce, w rozpaczliwą tajemnicę kosmosu.

Jeszcze raz do tej gwiazdy

Jakieś tam słońce! Myślisz - patrzcie ich - pajace
W morfinie, oślim mleku i kawie skąpani;
Daremnie bez wytchnienia przeze mnie głaskani
Promieniami - wnet życie z wycieńczenia stracę.

Ejże - to ty swe tracisz w pustce mroźnej race,
A my właśnie młodością i zdrowiem tryskamy!
Ziemia to wielki kiermasz, gdzie w dal nad zbożami
Nasze hurra radosne grzmi nad rojne place.

To ty zębami dzwonisz, bo plamy rosnące
Pożerają cię niby narośla - o słońce,
Wielka, złota cytryno! - kpiarzu jasnowłosy

Wnet po tyłu zachodach w purpurze wstawiona
Pośmiewiskiem się staniesz globów bezlitosnych,
Gwiazdo żółta, dziobata, chochło rozżarzona!

Że był na dobrej drodze, dowiódł czas w dwudziestym wieku nic lepiej nie leczy nas z antropocentryzmu, źródła naszych cierpień, niż studiowanie fizyki obiektów nieskończenie dużych (i nieskończenie małych). Jakikolwiek tekst, udostępniający nam osiągnięcia nauki, budzi w nas poczucie absurdu, ale jest to poczucie w zasięgu ręki. zrodzone z rzeczy dotykalnych, oczywistych, uczucie niemal pocieszające. Już me trzeba wierzyć tylko dlatego, że to absurd, natomiast staje się to absurdem tylko dlatego, że trzeba w to wierzyć.

Moje budujące lektury zaczerpnięte z naukowego dodatku *le Moncle* (wychodzi w każdy czwartek) mają jeszcze i ten plus, że zamiast oddalać mnie od absurdu, skłaniają mnie do uznania, że jest to naturalny sposób przyswajania sobie niepojętej rzeczywistości, a to nie jest już tylko przyswajaniem jej, lecz podejrzewaniem w tym absurdzie wyzwania, które fizyka podjęła sama, nie wiedząc, jak się skończy jej oszalały wyścig podwójnym tunelem (czy aby tunel ten jest rzeczywiście podwójny?) tele- i mikroskopu.

Kronopie mają od dziecka nader konstruktywną świadomość absurdu, więc aż podskakują, gdy widzą, jak famy zupełnie spokojnie czytają notatki na przykład w tym rodzaju: Nowa cząstka elementarna (N z gwiazdką trzy tysiące dwieście czterdzieści pięć) żyje stosunkowo dłużej niż inne znane cząstki, chociaż nie przekracza jednej tysięcznej milionowej milionowej sekundy. (*Le Monde*, czwartek 7 lipca 1966).

- Słuchaj no, Koka - powiada fama po przeczytaniu tej informacji - podaj mi zamszowe półbuciki, bo dziś po południu jest ważne zebranie w Związku Pisarzy. Mamy omawiać sprawy konkursu poetyckiego w Curuzu Cuatia, a jestem już spóźniony o dwadzieścia minut.

Tymczasem kronopie bardzo zdenerwowały się hipotezą - o której niedawno się dowiedziały - że świat mógłby okazać się asymetryczny, co byłoby zupełnie sprzeczne ze wszystkim, czego nas nauczono. Pewien badacz nazwiskiem Paolo Franzini i jego żona, Juliet Lee Franzini (zauważyliście, jak niezależnie od jednego Juliusza, który redaguje, i drugiego, który ilustruje, już się dołączyło dwóch Juliuszów i jedna Juliet?), wiedzą bardzo dużo o nie naładowanym mezonie eta, który niedawno wyłonił się z anonimatu i posiada ciekawą właściwość bycia swoją własną antycząsteczką. Gdy go rozłożyć, mezon wytwarza trzy mezony pi, z których jeden jest, biedaczek, neutralny, a z pozostałych jeden naładowany dodatnio, zaś drugi ujemnie w stosunku do olbrzymiej równowagi świata. Aż tu nagle (przy pomocy

Franzinich) okazuje się, że zachowanie dwóch mezonów pi jest asymetryczne. Harmonijne pojęcie, że antymateria jest dokładnym odbiciem materii, pęka jak balonik. Co z nami będzie? Franzimch absolutnie to nie niepokoi. Bardzo dobrze, że oba mezony pi są braćmi rywalami - to pomaga w rozpoznaniu ich i zidentyfikowaniu. Nawet fizyka ma swoich Talleyrandów.

Kronopie czują, jak mimo ich uszu przelatuje zawrotny wichur, kiedy czytają zakończenie tej notatki : „W ten sposób, dzięki asymetrii. będzie można identyfikować ciała niebieskie stworzone z antymaterii, założywszy, że istnieją, co twierdzą niektórzy naukowcy sądząc po irracjach przez nie emitowanych”.

Na temat fam wypowiedział się już Laforgue z jednej ze swoich przestrzennych kabin

Większość umrze nie zdając sobie sprawy wcale
Z dziejów ni nędzy globu. (Inne żyją w chwale.)
Nie przewiduję słońca agonii w przyszłości.

Nie domyśla się niebios wiekuistej fety,
Nic nie wie, nic nie pozna. Iluż złoży kości
W grób, nie zwiedziwszy nawet własnej swej planety?

przełożył Stefan Godlewski,

P.S. Kiedy zapisałem: „Najzwyczajniejsza sekwencja patafizyczna”, wskazując na związek Laforgue-Duchamp, który w taki czy inny sposób zawsze mnie otacza, nie wyobrażałem sobie, że jeszcze raz otworzy się doświadczenie „Wielkich Przewidywanych” Tego samego popołudnia (11.12.66), zakończywszy pracę nad tym właśnie tekstem, postanowiłem pójść na wystawę poświęconą dadaistom. Pierwszym obrazem, który rzucił mi się w oczy, gdy wszedłem, był Schodzący po schodach. Akt, specjalnie przysłany do Paryża przez Muzeum w Filadelfii.

O uczuciu bycia nie całkiem

Jamais reel et toujours vrai

(podpis pod rysunkiem Antonina Artaud)

W wielu dziedzinach zawsze pozostanę dzieckiem, ale jednym z tych dzieci, które od początku noszą w sobie dorosłego, potworem, który, gdy dorośnie, z kolei nie przestanie nosić w sobie dziecka, co *nel mezzo del camin* daje w wyniku koegzystencję nie zawsze pokojową, opatrzoną co najmniej dwoma wylotami na świat.

Można to rozumieć metaforycznie, ale w każdym razie wskazuje to na usposobienie, które nie zrezygnowało z dzieciennego spojrzenia za cenę uzyskania spojrzenia dorosłego, zaś to zestawienie (dające poetę, może kryminalistę, na pewno kronopia, a ewentualnie humorystę kwestia dozowania, akcentowania, wyboru: teraz się bawię, teraz zabijam) manifestuje się uczuciem bycia nie całkiem we wszelkich strukturach, wszystkich pajęczynach, które przędzie życie, a w których jesteśmy równocześnie pająkiem i muchą.

Wiele z tego, co napisałem, można podciągnąć Pod pojęcie **ekscentryczności**, jako że pomiędzy życiem a pisaniem nigdy właściwie nie zauważyłem wyraźnej różnicy. Jeżeli w życiu (w moim przypadku) udaje mi się zatuszować ten mój niecałkowity udział - w pisaniu nie jestem w stanie go ukryć; przecież dlatego właśnie piszę, że mnie nie ma lub że jestem częściowo; piszę przez bankructwo, przez rozpacz. Ale ponieważ piszę „spomiędzy”, stale zapraszam innych, by szukali swoich „spomiędzy” i z nich spoglądali na ogród pełen drzew, których owoce mogłyby być na przykład drogimi kamieniami. Potworek się nie zmienia.

Ta ciągła obecność ludyczna tłumaczy, o ile nie usprawiedliwia, wiele z tego, co napisałem, jeżeli nie wiele z tego, co przeżyłem. Zarzuca się moim powieściom - tym igraszkom na krawędzi balkonu, tej zapalce obok butelki z benzyną, nabitemu rewolwerowi leżącemu na nocnym stoliku -intelektualne poszukiwanie w zakresie samej powieści, które jest jakoby stałym komentarzem akcji, wielokrotnie zaś akcją komentarza. Nudzi mnie dowodzenie a posteriori, że stosując tę magiczną dialektykę

mężczyzna-dziecko gra o życie; że tak, że nie, że polega na. A czyż gdy patrzymy z bliska, ta gra nie jest procederem poczynającym się z rozpacz, ażeby dojść do umieszczenia się, uplasowania: gol, szach-mat, rzut wolny. Czyż nie jest zakończeniem pewnej ceremonii zmierzającej do ostatecznego zastygnięcia, które by ją ukoronowało?

Dzisiejszy człowiek z łatwością wierzy, że jego wiadomości z historii i filozofii wyzwala go od naiwnego realizmu. Zarówno na wykładach uniwersyteckich, jak w kawiarnianych rozmowach chętnie przyznaje, że nie jest tym, na którego wygląda, zawsze gotów jest twierdzić, że zmysły zwodzą go, zaś inteligencja stwarza znośny, chociaż niekompletny. obraz świata. Ilekroć zamyśla się metafizycznie, staje się „smutniejszy i mędrzy”, ale to zamyślenie jest chwilowe, jest wyjątkiem, podczas gdy ciągłość życia wszystkimi sposobami lokuje go w pozorach, utwierdza je wokół niego, zdobi je w definicje, funkcje, wartości. Ten człowiek jest raczej naiwnym realistą niż realistą naiwnym. Wystarczy obserwować jego stosunek do niecodzienności, wyjątkowości : albo sprowadza je do zjawiska estetycznego, względnie poetycznego („to było zupełnie surrealistyczne, daję ci słowo...”), albo z miejsca rezygnuje z badamy „międzyspojrzenia”, które ewentualnie mógł mu dać sen, jakieś niepowodzenie, rzadko spotykana asocjacja słowna lub przyczynowa, niepokojący zbieg okoliczności -jakikolwiek, choćby migawkowe pęknięcie ciągłości. Jeżeli go zapytać, odpowie, że w ogóle nie wierzy w codzienną rzeczywistość, że akceptuje ją tylko pragmatycznie. Akurat nie wierzy! To jedyna rzecz, w którą wierzy. Jego odczuwanie życia podobne jest do mechanizmu jego spojrzenia: czasem miewa efemeryczną świadomość, że co ileś tam sekund mrugnięcie przerywa widzenie, które jego świadomość postanowiła uznawać za nieprzerwane; ale niemal natychmiast mruganie z powrotem staje się podświadome, zaś książka czy też jabłko utrwalają się w pozornie ciągłym trwaniu. Między okolicznościami a tymi, którzy tym okolicznościom podlegają, tworzy się coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy; ty nie wytrącasz mnie z moich zwyczajów, ja cię nie drażnię i nie łaskoczę. Czasem jednak mężczyzna-dziecko nie jest dżentelmenem, czasem jest kronopiem, nie wyznającym się w liniach zbieżnych, które albo stwarzają zadowalającą perspektywę, albo, jak w nieudolnych kolażach, zdradzają swą nieodpowiednią skalę: mrówka nie mieści się w pałacu, a czwórka zawiera trzy lub pięć jednostek. Mnie zdarzają się dosłownie takie rzeczy: raz jestem większy od konia, którego dosiadam, raz wpadam w któryś , z moich pantofli, tłukąc się

boleśnie, nie mówiąc o trudnościach wylezienia zeń, potykaniu się na supełkach sznurowadeł i potwornym odkryciu już na samym skraju, że ktoś wsadził bucik do szafy i jestem w gorszej sytuacji niż Edmund Dantes w zamku d'If, bo w moich szafach nie ma żadnego proboszcza.

I podoba mi się, i jestem straszliwie szczęśliwy w moim piekle, i piszę. Żyję i piszę zagrożony ową „bocznością”, tą prawdziwą paralaksą, tym byciem zawsze trochę za bardzo na lewo lub za bardzo w głąb od miejsca, w którym należałoby być, ażeby wszystko zsiadło się pomyślnie w jeszcze jeden dzionek bezkonfliktowego życia. Od małego, z zaciśniętymi zębami, przyjąłem ten los, który odróżniał mnie od moich kolegów, jednocześnie pociągając ich ku dziwakowi, ku oryginałowi, ku temu, który pcha paluch w kręcący się wentylator. Ale i ja miałem swoje przyjemności : jedynym warunkiem było, żeby choć czasem zidentyfikować się z kimś (z kolegą, z ekscentrycznym wujem, z jakąś starą wariatką), z kimś, kto by także nie pasował do swojej matrykuły - co rzecz jasna nie było łatwe. Ale szybko odkryłem koty, w których mogłem doszukiwać się mojej doli, i książki pełne hej po brzegi. W tych latach mogłem być przepowiadać sobie - może apokryficzne - wiersze Poego

From childhood's hour I have not been
As others were; I have not seen
As others saw; I could not bring
My passions from a common spring.

Ale to, co dla niego było stygmatem (lucyferycznym, ale przez to samo - potwornym), który izolował go i skazywał

And all I loved, I loved alone

mnie nie odrywało od tych, z których obłym wszechświatem stykałem się tylko w jednym punkcie. Subtelna hipokryzja, zdolność do wszelkich mimetyzmów, czułość, która przekraczała granice, ale równocześnie je zacierała, zaskoczenia i zmartwienia dzieciństwa zabarwiały się uprzejmą ironią. Przypominam sobie, jak mając jedenaście lat pożyczyłem koledze Tajemnicę Wilhelma Storitza, gdzie Verne ofiarowywał mi, jak zawsze, naturalne i serdeczne podejście do rzeczywistości nie całkowicie różnej od normalnej. Kolega zwrócił mi książkę: „Nie doczytałem jej, jest

zbyt fantastyczna". Nigdy nie zapomnę zgorzonego zdumienia tej chwili. Niewidoczność człowieka fantastyczna? A więc tylko futbol, poranna kawa i pierwsze zwierzenia seksualne miałyby nas łączyć?

Będąc dorastającym chłopcem, hak tyłu innych wierzyłem, że moje wyobcowanie jest znakiem zapowiadającym poetę, i w tym okresie życia, w którym wszystkie fary literatury znajdują swoje odbicie w człowieku, pisałem wiersze, jakie wtedy się pisze. Z latami odkryłem, że o ile każdy poeta jest wyobcowany, o tyle nie każdy wyobcowany jest poetą w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Tu wkraczam na teren polemiczny: kto chce, niech podnosi rękawicę. Jeżeli pod słowem poeta teoretycznie rozumiem człowieka piszącego wiersze, powód, dla którego je pisze (me dyskutując ich jakości), bierze się z tego, że jego wyobcowanie, jako takie, zawsze wprawia w ruch mechanizmy challenge und response. Tym sposobem, ilekroć poeta okazuje się wrażliwy na własną „boczność”, na własne wyobcowanie w stosunku do rzeczywistości pozornie pozostającej w zgodzie z otoczeniem, reaguje poetycko (niemal chciałbym rzec „profesjonalnie”, zwłaszcza począwszy od pewnej dojrzałości technicznej). Inaczej mówiąc, pisze wiersze, będące jakby petryfikacją tego wyobcowania, które widzi i czuje zamiast czegoś, obok czegoś, poniżej czegoś, wbrew czemuś, co inni widzą takim, jakim im się wydaje, że jest, bez przesunięć ani autokrytyki. Wątpię, czy istnieje choćby jeden wielki poemat, który by nie był albo rezultatem tego wyobcowania, albo go nie wyrażał. Więcej: który by go nie uczynniał i nie potęgował w przeczuciu, że właśnie to „pomiędzy” jest strefą, którą wiedzie droga. Również i filozof wyobcowuje się i odrywa, dobrowolnie szukając pęknięć w tym, co jest na powierzchni; jego poszukiwanie także bierze się z mechanizmu challenge and response. W obu tych wypadkach, jakkolwiek cele są różne, pojawia się odpowiedź robocza, podejście techniczne do określonego przedmiotu.

Ale jak już wiemy, nie wszyscy wyobcowani są poetami czy też zawodowymi filozofami. Prawie wszyscy zawsze zaczynają od tego, że są nimi lub chcą być, lecz nadchodzi dzień, w którym zdają sobie sprawę, że nie mogą ani też nie muszą udzielać tej response niemal z góry przesądzonej, jaką jest wiersz lub filozofia wobec challenge'u wyobcowania. Ich postawa staje się defensywna, ewentualnie nawet egoistyczna, jeżeli założyć, że chodzi o zachowanie za wszelką cenę jasności myśli, o przeciwstawienie się podstępnej deformacji, którą skodyfikowana codzienność montuje w świadomości z czynnym udziałem intelektu, środków

informacji, hedonizmu, sklerozy, inter alfa małżeństwa. Humoryści, niektórzy anarchiści, niemało kryminalistów i wielka ilość powieściopisarzy sytuuje się w tym niełatwym do zdefiniowania sektorze, w którym dola wyobcowanego nie zmusza do wypowiedzi o charakterze poetyckim. Ci niezawodowi poeci znoszą swoje wyobcowanie z większą naturalnością, acz z mniejszym blaskiem, i można by niemal powiedzieć, że ich świadomość wyobcowania jest bardziej ludyczna w porównaniu do lirycznej czy też tragicznej wypowiedzi poety. Podczas gdy on zawsze podejmuje walkę, ci „po prostu wyobcowani” łączą się w ekscentryczności, ale tylko do punktu, w którym wyjątkowość - filozofa czy też poetę pobudzająca do challenge'u - staje się ich naturalnym losem, losem, który zaczynają kochać, przystosowując swoje zachowanie do tej powolnej akceptacji. Myślę o Jarrym, o tym długim działaniu na zasadzie humoru, ironii, poufałości, które w końcu przechyla szalę na stronę wyjątków, anulując skandaliczną różnicę pomiędzy zwykłym a niezwykłym, i pozwala zwyczajnie (już bez konkretnej response, bo już nie ma challenge'u) przejść na plan, który w braku lepszego określenia będziemy nadal nazywać rzeczywistością, lecz nie będącą już ani flatus vocis, ani głupią pociechą, że lepsze to niż nic.

Powracając do Eugenii Grandet

Może tym razem zdołam wytłumaczyć, o co mi chodzi w tym, co piszę, i tym sposobem zlikwidować nieporozumienia, niepotrzebnie podnoszące obroty firm „Waterman” i „Pelikan”. Ci, którzy mają mi za złe, że piszę powieści, gdzie niemalże nieustannie podaje się w wątpliwość to, co się przed chwilą stwierdziło, lub też stwierdza się z uporem słuszność wszelkich wątpliwości, podkreślają, że stosunkowo najstraszniejsze w moim pisarstwie są niektóre nowele, ożywione jakąś jednoznaczną myślą, bez spojrzenia wstecz i hamletowskich wycieczek w samą strukturę narracji. Coś mi tak chodzi po głowie, że to wartościujące rozróżnienie pomiędzy dwoma sposobami pisania opiera się nie tyle na racjach czy też osiągnięciach autora, ile na wygodzie czytającego. Po cóż wracać do znanego faktu, że im bardziej książka przypomina fajeczkę opium, tym większe zadowolenie odczuwa Chińczyk, który ją pali, w najlepszym razie gotów dyskutować jakość opium, ale nie jego efekty usypiające. Zwolennicy tych opowiadań przechodzą mimo

faktu, że anegdotyczna treść każdej noweli jest również świadectwem wyobcowania, o ile nie próbą, by wzbudzić je w czytelniku.

Mówi się, że w moich opowiadaniach fantazja odrywa się od rzeczywistości albo wtapia się w nią i że to właśnie gwałtowne i prawie zawsze nieoczekiwane niedopasowanie pomiędzy zadowalająco rozsądnym horyzontem a wtargnięciem motywu nieprawdopodobieństwa jest wykładnikiem ich literackiej sprawności. Ale wobec tego cóż szkodzi, że w tych opowiadaniach nie dba się o ciągłość akcji zdolnej urzec czytelnika, skoro tym, co podświadomie go urzeka, nie jest jedność narracji, lecz właśnie rozłam przy wszelkich pozorach jednoznaczności. Znajomość rzemiosła, umiejętność może ujarzmić czytelnika, nie pozwalając mu, by w czasie lektury rozwijał swój zmysł krytyczny, tym bardziej że nie z powodu samego metier opowiadania te różnią się od innych prób literackich; dobrze czy źle napisane, są po większej części z tego samego tworzywa, co moje powieści: wyloty na wyobcowanie, stopnie wiodące ku jakiemuś „wymiejscowieniu”, gdzie zwyczajność nie jest już kojąca, bo nie istnieje, jeżeli tylko poddać ją wytrwałemu, milczącemu badaniu. Zapytać Macedonia, Francisca Ponge, Michaux.

Ktoś powie, że inną sprawą jest ukazanie wyobcowania takiego, jakim jest lub jakie się mieści w literackiej parafrazie, a zupełnie inną omawianie go na planie dialektycznym, jak się to dzieje w moich powieściach. Co do czytelnika, to ma on pełne prawo woleć taki rodzaj wehikułu od innego, wypowiadać się za czynnym udziałem lub za refleksją. Tym niemniej powinien wstrzymać się od krytykowania powieści w imieniu opowiadania (albo odwrotnie, o ile by znalazł się ktoś, kto by tego próbował), ponieważ zasadnicze założenie jest to samo, zaś jedyną rzeczą różną są perspektywy, z których korzysta autor, aby móc mnożyć swoje możliwości z pogranicza. Gra w klasy jest w pewnej mierze filozofią moich opowiadań, indagacją na temat tego, co na przestrzeni wielu lat określiło ich materię, ich impulsy. Nie zastanawiam się, a jeżeli, to niewiele, kiedy piszę opowiadanie; tak jak w wierszach, mam wrażenie, że napisałoby się i samo, i nie mam uczucia, że się chwałę mówiąc, że wiele z nich ma w sobie coś z zawieszenia, przypadkowości i niewiary, w których Coleridge widział nutę zastrzeżoną dla operacji poetyckiej najwyższego lotu.

W przeciwieństwie do nich powieści pisane są systematyczniej, zaś alienacja wywodząca się z poetyckich korzeni włącza się tylko od czasu do czasu, ażeby popchnąć do przodu akcję, wstrzymywaną przez refleksję. Czyż zostało dostatecznie zauważone, że owo zastanawianie się, owa refleksja ma mniej

wspólnego z logiką niż z wieszczaniem, że jest nie tyle dialektyką, ile asocjacją słowną, względnie wyobraźniową. To, co nazywam tutaj refleksją, zasługiwałoby raczej na inną nazwę, a już w każdym razie na inne zaszeregowanie. Przecież i Hamlet дума nad swoimi uczynkami i swą biernością, tak jak Ulrich Musila, jak konsul Malcolma Lowry. Ale jest niemal nieuniknione, że te przerwy w hipnozie, w których autor wymaga czynnego włączenia się czytelnika, będą przyjmowane przez klientów palarni opium z dużymi oporami.

Ażeby zakończyć: mnie także podobają się te rozdziały Gry w klasy, które krytycy zgodnie chwalili: koncert Berthe Trepāt, śmierć Rocamadoura. Tym niemniej nie myślę, żeby nawet w małej części były uzasadnieniem książki. Nie mogę nie wiedzieć, że ci, którzy chwalą te rozdziały, nieuchronnie chwalą jeszcze jedno ogniwo łańcucha powieści tradycyjnej, terenu znanego i praworządnego. Przyłączam się do tych nielicznych krytyków, którzy zechcieli dojrzeć w Grze w klasy niedoskonałe i rozpaczliwe oskarżenie establishmentu literatury równocześnie lustra i ekranu tego innego establishmentu, który z Adama robi cybernetycznie i dokładnie to, co zdradza jego imię czytane na wspak : nic.

Temat dla świętego Jerzego

Od czasu do czasu Lopez musi znowu zabierać się do roboty, forsa bowiem posiada niesympatyczną właściwość kurczenia się i nagle piękny i duży banknot stufrankowy wychodzi z jego kieszeni w postaci pięćdziesięciofrankówki, potem, kiedy on zupełnie o tym nie myśli, zmienia się w dziesięciofrankówkę i w końcu, obciążając kieszenie i pozwalając słyszeć sympatyczne skądinąd pobrzękiwanie, okazuje się paroma jednofrankowymi monetami. W tej sytuacji ów nieszczęsny osobnik wydaje głębokie westchnienia, podpisuje miesięczny kontrakt z firmą, gdzie już tyle razy przejściowo pracował, i w poniedziałek siódmego siedemdziesiątego drugiego, punkt dziewięta rano, wchodzi do sekcji osiemnastej, czwarte piętro, drugie schody, i brzdęk - nos w nos natyka się na miłego smoka-potwora.

Nie ulega kwestii, że nie jest łatwo uwierzyć w miłego smoka-potwora, choćby dlatego, że w pokoju nie ma w ogóle żadnego smoka-potwora: skąd by się wziął potwór tam, gdzie szef i koledzy przyjmują Lopeza z otwartymi ramionami, prześcigają się w opowiadaniu, co słyszeć, i w częstowaniu papierosami. Obecność smoka-potwora to coś całkiem innego, coś, co narzuca się ukośnie albo zgoła pod spodem tego, co się będzie działo tego dnia i następnych, i Lopez musi to uznać, chociaż nikt inny smoka-potwora nie widział, dlatego że potwór jest właśnie wtedy, kiedy go nie ma, kiedy znajduje się tu niby jakieś żyjące nic, rodzaj pustki obejmującej, posiadającej i słyszającej to, co mi się zdarzyło wczoraj wieczorem, Lopez, wyobraź sobie, że moja żona. W ten sposób od razu wie się o istnieniu potwora, właśnie dlatego, że jest nieprawdopodobny, nie do wiary, słuchaj, bracie, mieli dać wyrównanie na stycznia, a teraz sam widzisz, co się dzieje, naturalnie, jak zawsze, ministerstwo.

Gdyby należało go określić, zasypać talkiem słów, aby wyodrębnić jego kształty i granice, prawdopodobnie włączyłyby się sprawy takie, jak fajka Suareza, kaszel, który co chwila dochodzi z pokoju panny Schmidt, perfumy miss Roberts o zapachu z lekka cytrynowym, dowcipy Toguinięgo (a o Japończyku już ci opowiadałem?), sposób stukania ołówkiem w celu podkreślenia ważności zdań, czym urozmaica swą prozę doktor Uriarte, coś na kształt zupy ubijanej metronomem.

A również określone światło drzew i chmur, wyrywające kolorowe upierzenie z polaroidowych szyb w oknach, wózeczek z kawą i drożdżowymi bułkami o dziesiątej czterdzieści punktualnie, popielaty błysk teczek z aktami. Nic z tego nie jest właściwie smokiem-potworem, a może i jest, ale raczej jako nic nie znacząca manifestacja jego obecności, ślady jego nóg, ekskrementów, jego dalekie wycie. A jednak potwór żyje z fajki, z kaszlu, z postukiwania ołówkiem, z takich rzeczy składa się jego krew i jego charakter, zwłaszcza charakter, bo w końcu Lopez zdaje sobie sprawę, że jest on różny od innych znanych mu potworów, wszystko zależy od tego, z czego jest zrobiony, jakie kaszle, okna, cygara płyną w jego żyłach. Gdyby Lopez kiedykolwiek przypuścił, że potwór jest zawsze taki sam, że jest czymś umiejscowionym i nieuniknionym, wystarczyłoby popracować w innych firmach, żeby zobaczyć, że jest ich wiele, jakkolwiek w pewien sposób wszystkie są tym samym, choćby dlatego, że inni koledzy ich nie zauważają. Lopez osiągnął tyle, że potwory z placu Azincourt, z Villa Calvin i z Vindobona Street różnią się od siebie pewnymi niejasnymi cechami, intencjami, tytoniem. Wie na przykład, że na placu Azincourt potwór jest krzykliwy, ale poczciwe chłopisko, można powiedzieć, że to raczej uprzejmy potworek, wszędzie robiący bałagan, przekorny i skłonny do zapominania, jeden z takich, jakie już wyszły z mody, podczas gdy ten z Vindobona Street jest zgorzkniały i oschły, pozornie nawet sam z sobą skłócony, cały ziejący hochsztaplerstwem i gadżetami, pełen pretensji, nieszczęsny smok-potwór.

Teraz Lopez znowu zaczął pracować w jednej z firm, gdzie już dawniej był zatrudniony, i podczas gdy siedzi przy zawałonym papierami biurku, przymykając oczy pali papierosa i słucha kolegów opowiadających kawały, czuje powolne, nieubłagane, meopisywalne krzepnięcie potwora, który czekał na jego powrót, żeby zaistnieć znowu, ażeby przebudzić się ze snu i nadać wszystkim pretensjami, fajkami, kaszlem. Przez chwilę jeszcze wydaje mu się złudzeniem, że potwór czekał właśnie na niego, a nie na żadnego z kolegów, którzy nic nie wiedzą o jego istnieniu, a nawet gdyby wiedzieli, nie zakłóciłoby to ich spokoju, ale może właśnie tak jest, bo przecież kiedy są tylko oni, bez Lopeza - nie ma potwora. Wszystko to wydaje mu się tak absurdalne, że chciałby być daleko, nie być zmuszonym do pracy - ale to na nic, jego nieobecność nie zabije potwora, który będzie czekał wśród dymu fajki, wśród skrzypienia stolika z kawą wwożonego punktualnie o dziesiątej czterdzieści, w kawale o Japończyku. Potwór jest cierpliwy i uprzejmy, nigdy nic nie powie, gdy Lopez odchodząc odbiera mu zdolność widzenia, po prostu w swoich ciemnościach

czeka w pogotowiu, pokojowo, sennie. Tego ranka, gdy Lopez zasiądzie do biurka w gronie kolegów, którzy będą pozdrawiać go i poklepywać po plecach, smok-potwór ucieszy się, że oto raz jeszcze się budzi, ucieszy się ohydną, niewinną radością, że jego oczy raz jeszcze staną się oczami, którymi Lopez będzie na niego patrzył, nie-nawidząc.

O powadze na veloriach

Pewnego razu, gdy wracałem do Francji na pokładzie jednego z tych czubatych stateczków naszej floty handlowej (znam z nich Rio Bermejo i Rio Belgrano, przypominam sobie kapitana Locatelli, eksperta w dziedzinie begonii, kamerdynera Francisco, jednego z tych niewiarygodnych Hiszpanów z Galicji, jakich już me ma na świecie, oraz barmana, który nauczył mnie przyrządzania cocktailu „Serce Indianina”, jak sama nazwa wskazuje bardzo popularnego w Belgii), miałem szczęście spędzić rozkoszne trzy tygodnie w towarzystwie doktora Aleksandra Gancedo, jego żony i dwóch synów, wymarzonych kronopiów. Szybko wyszło na jaw, że Gancedo jest z tej samej rasy, co Mansilla i Edward Wilde, znakomici gawędziarze, a przy kieliszku i z cygarem w palcach staje się arcydziełem własnego przemysłu; jak tamten Wilde, żyje z talentem, chociaż nie brak mu go i w książkach.

Wiele opowieści Ganceda pamiętam do dziś, co dowodzi, jak dobrze były opowiedziane (każde opowiadanie zależy od tego, jak się je opowiada, dowód, że treść i forma nie są oddzielnymi sprawami, tak że dobry gawędziarz me różni się niczym od dobrego nowelisty, jakkolwiek przesady i wydawcy stają po stronie tego ostatniego). Spośród jego historyjek wybieram - wiedząc, że ją popsuję opowiadkę o tym, jak pewni znajomi Ganceda, których dla ostrożności nazwę Lucas Solano i Copitas, poszli na velorio i co z tego wynikło.

Panu Solano przypadło w udziale wyrażenie kondolencji ramieniu kolegów z pracy; obowiązek ten przytłoczył go tak dalece, że postanowił podnieść się na duchu w barze przy ulicy Talcahuano, gdzie natknął się na Copitasa, udowadniającego już od dłuższej chwili, że nie na darmo nosi swoje nazwisko. Przy szóstym kieliszku Copitas zgodził się towarzyszyć Solanowi, ażeby dodać mu ducha, i we dwóch zjawili się na velorio w momencie optymalnego alkoholowego upojenia. Tak się złożyło, że Copitas pierwszy wszedł do pokoju, gdzie stał katafalk, i choć nigdy na oczy nie widział nieboszczyka, zbliżył się do trumny, popatrzył na nią w skupieniu i zwrócił się do Solana tonem, który sugerują (a może zresztą i słyszą) tylko nasi drodzy zmarli

- Jak żywy.

To rozśmieszyło Solana tak dalece, że aby się opanować, ciasno objął Copitasa, ze swej strony niemalże płaczącego ze śmiechu, i stali tak w uścisku długą chwilę, a ramionami ich wstrząsał dreszcz, aż do chwili, gdy któryś z braci zmarłego, osobiście znający Solana, zbliżył się, aby ich pocieszyć.

- Wierzcie mi, panowie, nawet nie przypuszczałem, że Piotr był w biurze tak kochany - powiedział. - Przecież tam nigdy nie chodził...

Śpiewy z więzienia

Za pozwoleniem Dallapiccoli oto inna opowieść Ganceda, w której występuje Luis Solano. W okresie jednej z dyktatur wojskowych (czyli kiedykolwiek) Solano z grupą przyjaciół umówił się na jakiejś budowie, żeby napić się wina i pogadać. Dlaczego umówili się akurat tam - nie wiem, wiem natomiast, że tej nocy policja zrobiła wielką obławę, z której nikt się nie wymknął, mimo że zasadniczo szukano tylko komunistów i katolików o zabarwieniu narodowym, tajemniczym sposobem na równi z tamtymi spędzających sen z powiek dyżurnego pułkownika. W zamieszaniu wpadli również Solano i jego towarzysze, jakkolwiek nie mieli najmniejszych zainteresowań politycznych; całe towarzystwo wylądowało na patio komisariatu, w celu słusznie tak zwanej identyfikacji.

- Komuniści natychmiast zebrali się z jednej strony - opowiadał potem Solano Gancedzie - katolicy z drugiej, tak że my zostaliśmy w środku. Zaczęto coś przebąkiwać o pałkach i o rażeniu prądem, więc komuniści zaczęli śpiewać Międzynarodówkę, co usłyszawszy, katolicy wystąpili z Pod Twoją obronę.

- A wy? Coście śpiewali? - zapytał Gancedo.

- My? Co chcesz, bracie, myśmy uderzyli w Tango milonga.

Jeszcze o powadze i innych veloriach

Któż nas wyzwoli z powagi? - pytam parafrazując wiersz Molinariego. Może dojrzałość narodowa, dzięki której w końcu zrozumiemy, że nie ma powodu, aby humor pozostał nadal wyłącznym przywilejem Anglosasów i Adolfa Bioy Casares. Naumyślnie wymieniam Bioya, po pierwsze dlatego, że jego humor odważnie kpi z własnych literackich słabości, podczas gdy powaga uważa się za wszechobejmującą i zna się na wszystkim od sonetu do powieści, po drugie, bo jest o wiele

skuteczniejszy (na przykład w wykonaniu Leopolda Marechal) niż wszelkie okropności a la Dostojewski, których pełno jest na naszych plażach. W dodatku te plaże sięgają o wiele dalej niż Mar del Plata; Jeanowi Cocteau (francuskiemu odpowiednikowi Casaresa) zdarzyło się to samo, mianowicie „poważni”, w stylu Mauriaca, usiłowali zesać go do tych służbówek feudalnego przedsiębiorstwa literatury, gdzie jest miejsce dla bufonów i kuglarzy. Ze nie wspomnę Jarry'ego, Desnosa, Duchampa. W swej spazmatycznej Kto się boi Wirginii Woolf? Albee wkłada komuś w usta takie zdanie: „Najgłębszy wskaźnik społecznego obłędu to brak zmysłu humoru. Żaden z monolitów nie znośił, by się zeń śmiano. Poczytaj historię. Znam się trochę na historii”. My również znamy dostatecznie historię literatury, żeby przewidzieć, że Dargelos i Elisabeth pożyją dłużej niż Teresa Desqueyroux i że tata Ubu wrzuci do studni wszystkich bohaterów Anouilha i Tennessee Williamsa.

Przecudowna pchła zwana Man Rayem napisała kiedyś: „Gdybyśmy mogli wykarczować z naszego słownika słowo SERIO, załatwiłoby to wiele rzeczy”. Ale monolity ze swym wyglądem siniejących żółwi - jak znakomicie określa je Lezama Lina - czuwają. Och, któż nas wyzwoli z powagi, abyśmy wreszcie stali się naprawdę poważni na poziomie jakiegoś Szekspira, jakiegoś Roberta Burnsa, jakiegoś Verne'a, jakiegoś Chaplina. A Buster Keaton? Raczej z niego powinniśmy brać przykład niż z tych Flaubertów, Dostojewskich, Faulknerów, w których uznajemy tylko ciężar głębi, zapominając o panach Bouvart i Pecuchet, o Fomie Fomiczu, zapominając o uśmiechu, z jakim dżentelmen z południa odpowiedział na zaproszenie Białego Domu: „Śniadanie o pięćset mil - to jednak dla mnie za daleko”. W każdej południowoamerykańskiej szkole figurowałoby wielkie zdjęcie Buster Keatona, a w święta narodowe dyrektor kazałby puszczać filmy jego i Chaplina ku pokrzepieniu przyszłych kronopiów, podczas gdy nauczycielki recytowałyby Konika polnego i mrówkę, a jeżeli nie, to co najmniej coś Guida y Spano, na przykład niemiecką wersję Neniei:

Klage, klage, Urutau,
In den Zweigen des Yatsy.
War einmal ein Paraguay,
Wo geboren ich und du;
Klage, klage, Urutau!

Ale bądźmy poważni i zauważmy, że humor wykarczowany z naszej literatury współczesnej (Macedonio, początkowy Borges, początkowy Nale, Cesar Bruto i czasem Marechal są wywołującymi zgrozę outsiderami na naszym literackim hipodromie) reprezentuje - mimo że nie jest to po myśli żółwi - pewną stałą argentyńskiego sposobu myślenia we wszystkich rejestrach kulturalnych i charakterologicznych, wywodzących się z tradycji Mansilli, Wilde'a, Cambaceresa i Payró'a, aż do wspaniałego humoru przestępcy, który na przepełnionej platformie tramwaju w Buenos Aires odpowiada strażnikowi zabraniającemu mu rozmawiać: „Co jest? Mam umierać w milczeniu?” Nie mówiąc już o tym, że często humorystami są konduktorzy autobusowi, jak ten w „168”, który do pana o ważnym wyglądzie, naciskającego bez przerwy dzwonek, aby zatrzymać autobus, krzyknął: „Przestańże raz, chłopie, nie widzisz, że to autobus, a nie kościół!”

Czemuż, u diabła, między życiem a literaturą istnieje coś w rodzaju muru wstydlivości? Zasiadając do opowiadania lub powieści, pisarz wbija się w sztywny kołnierzyk i włazi na najwyższą szafę. Gdyby pisali tak, jak myślą, biegają albo fantazjują przy kawiarnianych stolikach albo kiedy się kłócą po koncercie lub meczu bokserskim, zyskaliby podziw, którego brak przypisują powodom oplakiwanym przez Związek Pisarzy: snobizmowi publiczności, perfidnej perwersji wydawców i tak dalej, och, przerwijmy, bo nawet dzieci się popłaczą.

Egipski przeskok od pisma demotycznego do hieratycznego: od chwili zdjęcia pokrywki z remingtona nasz skryba przybiera uroczystą postawę lokatora Luwru, minę **hoznaczającą hokrutne hekспериencje** życiowe, który to układ twarzy, jak wiadomo, wcale nie sprzyja najlepszym wzorom światowej prozy. Ci faceci wyobrażają sobie, że powaga musi być uroczysta - inaczej w ogóle jej nie ma. Tak jakby Cervantes był uroczysty, cholera! Wydaje im się, że powaga musi opierać się na negacjach, na straszliwościach, tragediach, Stawroginach i że tylko w ten sposób nasz pisarz dojdzie w dwojakim sensie tego słowa do znaków pozytywnych, do możliwego happy-endu, do czegoś, co by choć trochę przypominało to pełne sprzeczności życie, w którym nawet manichejczyk nic nie osiągnie.

Żartobliwe zastanowienie się nad wielką niewiadomą, jak to robił Macedonio, niemal nikomu nie przychodzi do głowy. Humorystom z punktu przykleja się etykietkę higienicznie odróżniającą ich od pisarzy „poważnych”. Kiedy kronopie odstawily jeden ze swoich numerów na rogu Corrientes i Esmeralda pewna

huznawana i hakceptowana hintelektualistka zakrzyknęła: „Jaka szkoda! Pomyśleć, że to był poważny pisarz!” Humor **hakceptuje** się wyłącznie w jego własnej klateczce, żadne tam ćwierkanie, póki gra orkiestra symfoniczna, bo nie dostaniesz siemienia, żebyś sobie popamiętał, gdzie twoje miejsce. W sumie, proszę pani, humor albo jest all pervading, albo go nie ma, o czym od początku wiedzieli Juan Filloy, Szekspir i Max Ernst. Zdany na własne siły, sam w klateczce, może dać książkę pt. Trzej starsi panowie w jednej łódce, ale nigdy Sancza Pansy na wyspie, nigdy wujka Toby, nigdy velorio utaplanego w błocie. Wyjaśniam więc, że humor, którego alarmujący niedobór na naszej ziemi szczerze opłakuję, tkwi w fizycznym i metafizycznym statusie pisarza, który mu pozwala na to, co dla innych byłoby błędem paralaksy: na przykład zobaczyć, że na zegarze w jadalni jest wpół do drugiej, podczas kiedy w rzeczywistości jest dopiero dwunasta dwadzieścia pięć, i igrać tym wszystkim, co faluje w możliwościach zmieniania świata i jego mieszkańców, bez wysiłku wskakiwać w ironię, w under-statement, przełamywać sztamę idiomatycznych klisz, którą zarżnięte są nawet najlepsze stronicie naszej prozy, tak pewnej, że jest 12,25, jakby ta 12,25 miała jakąś obiektywną rzeczywistość poza konwencją, która o tym zdecydowała przy wybitnym udziale kosmografów i wahadłowców z Moguncji i Genewy. A to o tej sztamie idiomatycznej to nie żarty. Łatwo jest sprawdzić olbrzymią przewagę języka hieratycznego w literaturze południowoamerykańskiej, języka, który na swoim najwyższym poziomie może dać, powiedzmy, *Eksplozję w katedrze*, ale cała reszta zakwasza się w prozie bardziej zbliżonej do kaszki manny niż do życia, które pragnie opisywać. W Argentynie dały się zauważyć pewne oznaki dość zabawnego procesu. Protestując przeciwko prozie siniejących żółwi, spora ilość młodych pisarzy zabrała się do pisania „mówionego” i jakkolwiek najlepsi robią to bardzo dobrze, większość pudłuje, pogrążając się jeszcze głębiej niż „przetopieni w tyglu sztuki”, zwrot, bez którego ci ostatni nie umiemy się obejść. Sądzę, że przerwaniem się z żaru tygla na tor wyścigowy nie załatwimy spraw naszej literatury. Robert Arlt wyrażał się źle, bo nie miał danych, żeby to robić lepiej. Ale robienie literatury na poziomie szoferskiej knajpy przy pierwszorzędnym wykształceniu i kulturze, które cechują wielu Argentyńczyków, wydaje mi się - najdelikatniej mówiąc - reakcją dzieciaka, który oświadcza, że jest komunistą, ponieważ jego ojciec należy do Klubu Postępowej Inteligencji.

Antropologia kieszonkowa

Wszystko, co widzi, widzi na miękko

Znam pewnego znakomitego zmiękczacza, który, cokolwiek widzi - widzi na miękko, zmiękcza to samym widzeniem, nawet nie patrzeniem, bo raczek widzi, niż patrzy, więc łązi tu i tam, widząc różne rzeczy, przy czym wszystkie są straszliwie miękkie - a on jest zadowolony, bo nie podobają mu się rzeczy twarde.

Ponoć był czas, kiedy widział na twardo, może dlatego, że wtedy deszcze był zdolny do patrzenia, a ten, co patrzy, widzi dwa raty, widzi to, co widzi, i jest tym, co widzi, lub chociaż mógłby tym być lub chcieć albo nie chcieć tym być - są to przecież jak najbardziej filozoficzne i egzystencjonalne sposoby sytuowania siebie i świata. Ale pewnego dnia, dochodząc do dwudziestki, ten facet przestał patrzeć, bo w gruncie rzeczy miał delikatną skórę i kiedy raz popatrzył wprost na świat, patrzenie to zadrasnęło mu tę skórę w paru miejscach, wobec czego powiedział sobie : a nie, bracie, tak nie może być, i któregoś dnia zaczął po prostu widzieć, tylko i wyłącznie widzieć, i, rzecz jasna, od tej chwili wszystko, co widział, widział na miękko, zmiękczał to samym widzeniem i był zadowolony, bo wcale a wcale nie podobały mu się rzeczy twarde.

Takie właśnie widzenie pewien profesor z Bahía Blanca nazwał widzeniem trywializującym, i trzeba przyznać, że jak na Bahię Blanca było to sformułowanie nader trafne, ale mój zadowolony z siebie przyjaciel oczywiście nie tylko został takim, jaki był, ale-hak było do przewidzenia - spojrzawszy na profesora zobaczył go szczytowo miękkim, zaprosił do siebie na drinka, przedstawił siostrze i ciotuni, tak że całe zebranie przebiegło w niebywale miękkiej atmosferze.

Mnie osobiście trochę to wszystko niepokoi, bo gdy mój przyjaciel mnie widzi, czuję, że mięknię, i jakkolwiek wiem, że nie chudzi o mnie, tylko o mój obraz w jego duszy, jakby powiedział profesor z Bahía Blanca, mimo to denerwuję się, bo nikt nie lubi, jak go widzą pod postacią kisielu, w konsekwencji zapraszają do kina na kowbojski film albo przez parę godzin bawią rozmową na temat piękności dywanów w ambasadzie Madagaskaru.

Co robić z moim przyjacielem? Oczywiście nic. W każdym razie wyłącznie widzieć go, lecz pod żadnym pozorem na niego nie patrzeć. Bo jakże - pytam - moglibyśmy patrzeć na niego bez straszliwej groźby rozpuszczenia się? Ten, kto tylko widzi, może tylko być widziany. Morał smętny, ostrożny i - obawiam się - wykraczający poza prawa optyki.

Teoria lepkiej dziurki

Nazywa się - powiedzmy - Ramon i to imię jest do niego przyklejone, jak i wszystko inne, wszystko, co ludzie w nim widzą, i wszystko, co on sam w sobie widzi. Niewielu wie, że w rzeczywistości Ramon to lepka dziurka, i nikt właściwie nie umiałby wytłumaczyć sobie czegoś podobnego. Do piętnastego roku życia nie było nic, to znaczy była sama dziurka otoczona macierzyńską tkliwością, trykotowymi koszulkami, tabliczką mnożenia i kopaniem piłki. Aż tu pewnego ranka, po przebudzeniu, dziurka, rzecz faktycznie nieczęsta, przeżyła chwilę spojrzenia w siebie - jak to określa profesor z Bahia Blanca, naśladujący kolegę z Fryburga - zapadła się w sobie i zrozumiała, że aby nie pęknąć po prostu niby bańka mydlana, musi coś zrobić, i z zasługującym na podziw wysiłkiem postarała się, by jej zewnętrzne brzegi stały się lepkie; do banieczki mydlanej z początku przylgnęło parę włosków z powietrza, potem wytworny zwyczaj palenia angielskiego tytoniu pośród ludzi kurzących machorkę, a imię Ramon dotąd chwiejne, będące bowiem synonimem dziurki, utrwaliło się, przylepiło się na fest, otoczyło tweedową marynarką, Ramon zaczął ubierać się sportowo, kupił wiele nowoczesnych gadżetów do kuchni i do łazienki, stał się autorytetem w sprawach mydła do golenia, benzyny najodpowiedniejszej do szwedzkich samochodów, wyboru błon fotograficznych nadających się do zdjęć w czasie mgły, zaabonował Time i Life, wyrobił sobie zdanie o Picassie, o adapterach, o tym, na jakie plaże należy jeździć latem i jak się należy odżywiać - i gazda w górę, kierownik, szef, dyrektor, znawca najróżnorodniejszych spraw, o dźwięcznym głosie, w którym tylko nieliczni wyczuwają rezonans pochodzący z dziurki, poznają, że to dziurka przemawia, podczas gdy Ramon delikatnie wytrząsa swoją fajkę z drzewa wrzosowego, kupioną w Londynie, z którą, możesz mi wierzyć, żadna inna nie wytrzymuje porównania, zapewnia cię Ramon.

The Smiler with the knife under the cloak

W połowie drożdżowego ciastka

Wstał i powiedział: Babilonia.

Tylko niewielu zrozumiało,

Że chciał powiedzieć: Rio de la Plata.

Któż zatrzyma źrebię,

Galopujące z Patmos do Ges.

W cafe Tortoni

Zaczęto mówić o wikingach,

Co poniekórych wyleczyło z Juany Pedra Calou,

Zaś co delikatniejszych zaraziło runami i Dawidem Hume'em.

Przez ten czas on spokojnie

Czytał kryminały.

Napisałem ten poemat w roku 1956 w Indiach, *of all places*. Nie przypominam już sobie okoliczności; wraz z innymi Argentyńczykami gadaliśmy o Borgesie, żeby choć na chwilę zapomnieć o bombardowaniu Suezu i dokumencie UNESCO, mówiącym o zrozumieniu między narodami, który dostaliśmy do tłumaczenia. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że moje uczucie dla Borgesa - niespodziewanie jakby namacalne, pośród sikhów, zapachów korzennych i muzyki sitar - jest czymś w rodzaju practical joke, który on sam płała mi (telepatycznie) ze swego domu przy ulicy Maipu po to, żeby potem móc powiedzieć: „Czyż to nie dziwne, że niespodziewanie ktoś pomyślał o mnie serdecznie w miejscu tak nieprawdopodobnym, jak New Delhi...?” I kartka papieru wkręcona do maszyny, i myśl o wykładach z literatury angielskiej przy ulicy Charcas, w czasie których dowodził nam, że wiersz Chaucera jest dokładnie kreolską metaforą porzekadła „mieć nóż w zanadrzu”, i nagle zalała mnie idiotyczna czułość, ale zatopiłem ją w soku mango i w tym wierszu, którego nigdy nie posłałem Borgesowi po pierwsze dlatego, że widziałem go najwyżej trzy razy w życiu, a po drugie, że w wieku trzydziestu ośmiu lat życie zakręciło mi już kranik z posyłaniem wierszy.

Nigdy też nie chciałem opublikować go, chociaż w końcu nie byłem daleki od tego, kiedy pismo L'Herne zwróciło się do mnie z prośbą o współudział w numerze poświęconym Borgesowi, uznałem jednak, że zawodowi borgesieści dopatrzą się ironicznego braku szacunku w tej lekkiej syntezie całego dobra, które dała nam jego twórczość.

Może i szkoda, bo numer wyszedł tak olbrzymi, że istotnie przypominał słonia, który w rezultacie byłby się okazał znakomitym środkiem transportu dla mojego indyjskiego poematu. Dzisiaj wtasowuję go do tej talii i sądzę, Borges, że może ktoś przeczyta go panu w Buenos Aires, a pan się uśmiechnie, przez sekundę zatrzyma go w pamięci, przyzwyczajonej do wytworniejszych smakołyków, a mnie to wystarczy, na odległość i na zawsze:

O poczuciu fantastyczności

Dziś z rana Teodor W. Adorno wykonał pewien koci numer; w połowie pasjonującej przemowy, pół jeremiady, a pół-ocierania się o moje spodnie, nagle znieruchomiał, sztywno zapatrzył się w jeden punkt w powietrzu, gdzie - aż po ścianę z klatką biskupa z Evreux, który nigdy, przenigdy nie interesował Teodora - moim zdaniem nie było nic do widzenia. Każda angielska dama byłaby wyjaśniła, że kot zobaczył zjawę poranną, jedną z autentyczniejszych i łatwiejszych do zidentyfikowania, i że przejście od początkowego znieruchomienia do powolnego obrócenia głowy aż do drzwi wejściowych świadczyło ponad wszelką wątpliwość, że zjawa akurat sobie poszła, prawdopodobnie zniechęcona faktem, że ktoś tak uporczywie ją śledzi.

Może to i dziwne, ale poczucie fantastyczności nie jest we mnie aż tak zakorzenione jak w tych, którzy później nie pisują opowiadań fantastycznych. Będąc dzieckiem, wrażliwszy byłem na cudowność niż na fantastyczność (w celu rozróżnienia tych dwóch terminów, zawsze niewłaściwie używanych, można skonsultować z korzyścią pana Roger Caillois i, z wyłączeniem bajek o wróżkach, wraz z resztą mojej rodziny byłem zdania, że zewnętrzna rzeczywistość pojawia się każdego ranka z tą samą punktualnością na tych samych szpaltach La Prensa. Że każdy pociąg musi być ciągnięty przez lokomotywę, było oczywistością, którą potwierdzały częste podróże z Banfield do Buenos Atres, dlatego też tego ranka, kiedy zobaczyłem elektryczny pociąg, obywający się bez lokomotywy, wybuchnąłem takim płaczem, że, według opowiadań mojej ciotki Enriquety, trzeba było ćwierć kilo lodów cytrynowych, żeby mnie ukoić. (Dla uzupełnienia wiadomości o moim ohydny ówczesnym realizmie podkreślmy zarówno fakt, że w czasie spacerów z cicią znajdowałem pogubione monety, jak i zręczność, z jaką, rąbnąwszy je uprzednio w domu, upuszczałem na chodnik - ciocia pochłonięta była oglądaniem wystaw - by później znalazłszy je egzekwować bezzwłocznie prawo do kupowania sobie za nie cukierków. W przeciwieństwie do mnie ciocia była bardzo zżyta z fantastycznością, dlatego też nie widziała nic niezwykłego w tym zbyt często powtarzającym się fakcie, a nawet brała żywy udział tak w samym znajdowaniu monet, jak i w spożywaniu niektórych cukierków.)

Na innym miejscu wyrażałem moje zdumienie, że ktoś uznał za fantastyczną opowieść o Wilhelmie Storitzu, w którą ja uwierzyłem bez najmniejszych zastrzeżeń. Po prostu dokonywałem operacji odwrotnej i dość śmiałej wtłoczenia fantastyki w rzeczywistość, zrealizowania jej. Szacunek, jaki miałem dla tej książki, ułatwiał mi zadanie. Jakże wątpić w Jules Verne'a? Wraz z Nasirem-i Chosrou, urodzonym w Persji w XI wieku, czułem, że książka, jakkolwiek ma jeden tylko grzbiet, ma sto twarzy" i że w jakiś sposób należy je wydobyć, wpakować w moją sytuację, do izdebki na mansardzie, w odważne sny, w marzenia na drzewie w porze sjeisty. Myślę, że w dzieciństwie nigdy ani nie spostrzegalem, ani nie odczuwałem fantastyczności wprost: słowa, zdania, opowiadania, biblioteki włączały ją w codzienne życie za pomocą aktu woli, świadomego wyboru. Oburzało mnie, że mój przyjaciel odrzuca przypadek Wilhelma Storitza. Czyż fakt, że ktoś opisał niewidocznego człowieka, nie wystarczał, by przyjąć jego istnienie? W końcu, tego dnia, kiedy napisałem moje pierwsze opowiadanie fantastyczne, po prostu włączyłem się czynnie w coś, co do tej pory robiłem „zastępczo” jeden Juliusz zastąpił drugiego, z wyraźną stratą dla obu.

Ten świat, który jest tym.

W jednej z Iluminacji Rimbaud ukazuje młodzieńca, wciąż ulegającego kuszeniu świętego Antoniego, niewolnika tików młodzieńczej dumy, opuszczenia, przerażenia. Wyjściem z tego uzależnienia od przypadkowości jest chęć zmieniania świata. Zabierzesz się do tego - mówi sobie i innym Rimbaud. - Wszystkie możliwości harmonii i architektury będą po kolei wibrować wokół tej centralnej osi. W tej formule zawiera się prawdziwa alchemia: twoja pamięć i zmysły będą wyłącznym pokarmem twego impulsu twórczego. Co do świata - kiedy go opuścisz, czymże się stanie? W każdym razie niczym podobnym do tego, na co teraz wygląda.

Jeżeli świat nie będzie miał nic wspólnego ze swym obecnym wyglądem, będzie to znaczyło, że impuls twórczy, o którym mówił poeta, przetworzył pragmatyczne funkcje pamięci i zmysłów. Cała ars combinatoria, lęk przed ukrytymi powiązaniem, uczucie, że rewery zadają kłam, mnożą, anulują awersy, są naturalną reakcją tych, którzy żyją oczekując nieoczekiwanego. Absolutne życie się

z fantastycznością prowadzi jeszcze dalej : w jakiś sposób przyjęliśmy to, co jeszcze nie nastąpiło: przez drzwi wchodzi ktoś, kto przyjdzie pojutrze lub kto przyszedł wczoraj. Układ będzie zawsze otwarty, nie będzie się skłaniał ku żadnemu zakończeniu, bo nic się nie kończy i nic nie zaczyna w systemie, w którym znamy tylko bezpośrednie dane. Dawniej lękałem się, że fantastyczność jest bardziej nieugięta w swoim działaniu niż przyczynowość fizyczna. Nie rozumiałem, że znajduję się wobec sporadycznych wypadków stosowania systemu, który przez swe wyjątkowe napięcie stwarza złudzenie nieuchronności, niejako kalwinizmu nadprzyrodzoności. Potem zacząłem rozumieć, że te przygniatające przejawy fantastyki znajdują swoje odbicie w potencjalnych możliwościach, które praktycznie są nie do pojęcia; naturalnie - praktyka jest pomocą, obserwowanie tak zwanych przypadków rozszerza bandy bilardu, uwalnia figury szachowe aż do tej granicy, poza obrębem której działają już inne siły niż nasze. Nie ma zamkniętej fantastyki, bowiem tym, co z niej znamy, jest zawsze tylko jej część, i dlatego wydaje nam się ona fantastyczna. Już odgadliście zapewne, że, jak zazwyczaj, słowa usiłują łączyć dziury.

Przykładem fantastyki ujętej w pewne ramy i niejako fatalistycznej może być opowiadanie *Potwór o pięciu palcach*. Chcąc się rozerwać, w upalny sierpniowy dzień narrator zabiera się do rysowania. Skończywszy, widzi, że narysował scenę odbywającą się w trybunale, gdzie sędzia skazuje na śmierć człowieka. Skazaniec, tęgi i łysy, patrzy na niego; w jego wzroku jest więcej zdumienia niż przerażenia. Narrator wkłada rysunek do kieszeni i idzie się przejść; zmęczony zatrzymuje się przy wejściu na podwórko kamieniarza i widzi człowieka, którego, nie znając, narysował dwie godziny przedtem. Kamieniarz właśnie wykańcza nagrobek, wita go uprzejmie i pokazuje mu swoje dzieło; narrator z przerażeniem odczytuje na nagrobku własne imię i nazwisko, własną datę urodzenia i datę śmierci : dziś. Zdumiony dowiadyuje się, że nagrobek przeznaczony jest na wystawę i że kamieniarz wrył na nim dane, które ot tak przyszły mu do głowy.

Ponieważ z minuty na minutę robi się goręcej, wchodzi do domu. Narrator pokazuje kamieniarzowi swój rysunek; obaj widzą, że podwójny zbieg okoliczności wykracza poza możliwości wszelkich wyjaśnień, zaś absurd robi z nich coś przerażającego. Kamieniarz radzi narratorowi, żeby do północy nie ruszał się z domu i w ten sposób uniknął jakiegokolwiek możliwości wypadku. Siadają w samotnym pokoju, kamieniarz mechanicznie ostrzy swoje dłuto, narrator notuje wszystko, co się dzieje. Jest jedenasta wieczór. Jeszcze godzina i będzie po niebezpieczeństwie.

Upał ciągle wzrasta. Opowiadanie kończy się zdaniem: Jest to upał, który każdemu mógłby odebrać zmysły.

Zachwycająca symetria opowiadania i jego nieuniknione zakończenie nie powinny przysłonić czytelnikowi faktu, że każda z ofiar знаła tylko wycinek losu, który postawił je naprzeciw siebie po to, by je zniszczyć. Prawdziwa fantastyka leży nie tyle w zawężeniu okoliczności, które nam zostały opowiedziane, ile w echu tego pulsowania, w zaskakujących uderzeniach cudzego serca w naszym, w porządku, który w każdym momencie może użyć nas do swoich mozaik, wyrwać z rutyny, aby włożyć nam w rękę ołówek lub dłuto.

Kiedy fantastyka nawiedza mnie (czasem i ja jestem jej gościem, a moje opowiadania rodzą się z tych wzajemnych uprzejmości, świadczonych już od dwudziestu lat), przypominam sobie zawsze pełen uroku ustęp z Wiktora Hugo: „Wszyscy wiedzą, co to jest metacentrum statku, ośrodek zbieżności, punkt przecięcia, tajemniczy dla samego konstruktora, w którym skupiają się wszystkie siły zewnętrzne, działające na statek przy pełnym ożaglowaniu”. Jestem przekonany, że tego ranka Teodor spoglądał w metacentrum powietrza. Nietrudno je znajdować, a nawet wywoływać, ale jeden warunek jest niezbędny: trzeba przyjąć, że w zbieżnościach dopuszczalna jest różnorodność, nie obawiać się przypadkowego zetknięcia parasola z maszyną do szycia (zresztą nie będzie ono przypadkowe). Fantastyka przebija się przez warstwę pozorów i dlatego przypomina o metacentrum; coś staje z nami ramię w ramię, wytrącając nas z normalności. Zawsze wiedziałem, że to, co wielkie i niespodziewane, czeka nas tam właśnie, gdzie w końcu przestaliśmy się czemukolwiek dziwić, gorszyć obalaniem normalnego porządku. Jedyne istoty, które naprawdę wierzą w duchy, są same duchy, czego dowodem słynny dialog w galerii obrazów.

Jeżeli w jakiegokolwiek dziedzinie fantastyki dojdziemy do tej oczywistości, Teodor przestanie być jedynym stworzeniem, które będzie tak spokojnie siedziało patnąc na to, czego my dostrzec jeszcze nie umiemy.

Mogłabym odtańczyć ten fotel - rzekła Isadora

„U Wolfiego nie dostrzegamy ani szczególnego i wyodrębnionego natchnienia, ani wyraźnych koncepcji myśli czy wyomy, jak i cały Procy, nie ma ani początku, ani końca. Nieomal nie zatrzymuje się i jak tylko skończy jedną kartkę, rozpoczyna następną, pisze i rysuje bez przerwy. Jeżeli w fazie początkowej zaPyta go, on ma zamiar narysować na kartce, czasami bez wahania odpowiada, jakby to było rzeczy oczywiste, że ma zamiar narysować olbrzymi hotel, wysoki górę, wielką Boginię, itp.; równie często jednak nie umie przed rozpoczęciem pracy powiedzieć, o co będzie rysował; nie wie tego jeszcze; w końcu coś się z tego wykluje: nierzadko również, rozdrażniony, wymijająco odpowiada na tego rodzaju Pytania; należy zostawić go w spokoju, ma ciekawsze rzeczy do roboty niż gadanie!..”

Ze złamania nogi i z dzieła Adolfa Wölfli rodzi się to spostrzeżenie, które Levy-Bruhl byłby nazwał prelogicznym, zanim jeszcze inni antropologowie wykazali niewłaściwość tego terminu. Mówię tu o podejrzeniu (pochodzenia archaicznego, magicznego), że istnieją zjawiska i rzeczy będące tym, czym są, i takie, jakie są, właśnie dlatego, że równocześnie są lub mogą być zupełnie innym zjawiskiem, inną rzeczą, i że wzajemne oddziaływanie na siebie zbioru pewnych elementów nie tylko jest w stanie wywołać analogiczne interakcje w innych zbiorach elementów pozornie z tym zbiorem nic nie mających wspólnego (w rozumieniu sympatycznej magii i kilku zawiedzionych tłuscioszek, które dotąd wbijają szpilki w woskowe figurki), ale że jakkolwiek jest to niemal obraza rozumu, egzystuje głęboka zbieżność pomiędzy jednym zbiorem elementów a drugim.

Wszystko to pobrzękuje tam-tumem i mambo jumbo, a równocześnie ma pewien wydźwięk techniczny, ale tak nie jest, jeżeli tylko zawiesimy rutynę i oddamy słę tek przemkli

Morgenthaler, Obląkanv ar~yria w: L'Art hrm 72

ADOLF W~LFLI

wości w stosunku do samych siebie, w której Antonin Artaud upatrywał akt par excellence poetycki „poznania owego wewnętrznego dynam~cznego przeznaczenia myśli”. Wölfli Jest przykładem, że wystarczy iść za radą Freda Astaire'a: let yourself

go, bowiem niektóre z jego prac są znakomitym skryształizowaniem tego właśnie typu działania.

O Wtiffim dowiedziałem się, gdy Jean Dubuffet opublikował tekst pewnego szwajcarskiego lekarza, który leczył Wólfliego w zakładzie dla obłąkanych; tekst ten w przekładzie francuskim nie wydaje się zbyt inteligentny, ale jest anegdotyczny i pełen dobrej woli, przyjąwszy więc, że dodamy do niego własną inteligencję, może być interesujący.

Na temat curriculum vitae Wólfliego odsyłam do książki, ale zanim ją dostaniecie, nie zaszkodzi przypomnieć, jak ten owłosiony gigant, przerażająco męski góral, genitalia i muskuły, pierwotniak, nie na miejscu nawet w swojej pasterskiej wiosce, po wielokrotnym gwałceniu nieletnich, więzieniach, nowych wyczynach, nowych więzieniach i nowych gwałtach, po raz nie wiem który na progu więzienia, wreszcie trafił na mądrego człowieka, który zdawszy sobie sprawę z tego, że potwór jest zupełnie nieodpowiedzialny, odesłał go do domu wariatów; Wófli robił tam absolutne piekło wszystkim aż do chwili, gdy pewnemu psychiatrze przyszło na myśl, aby ofiarować szympansovi banana pod postacią kolorowych ołówków i papieru. Szympanś zaczyna rysować i pisać, z jednej kartki papieru skręca tubkę, robiąc sobie w ten sposób instrument muzyczny, po czym przez dwadzieścia lat, z przerwami na jedzenie, spanie i leczenie, pisze i rysuje, tworząc dzieło całkowicie obłądne, które powinni z pożytkiem oglądać liczni artyści, dla jakichś powodów pozostający na wolności.

Opieram się tu na jednym z jego malowideł, zatytułowanym (zmuszony jestem odwołać się

do wersji francuskiej) La ville de biscuit d biere Saint-Adolf. Jest to obraz zrobiony kolorowymi ołówkami (nigdy mu nie dano tempery ani olejów, zbyt drogich, by je trwonić dla wariata), który według Wólfliego przedstawia miasto - co inter alias jest zgodne z prawdą - ale jest to miasto z biskoptu; jeżeli nie chodzi tutaj o biskopt, lecz biskwit, to znaczy o pewien rodzaj porcelany, mogłoby to oznaczać miasto z porcelany piwnej, a może z biskoptu do piwa, albo jeżeli biere nie ma oznaczać piwa, lecz trumnę, byłoby to miasto z porcelany trumiennej albo z trumienego biskoptu. Wybierzmy to, co się wydaje najbardziej prawdopodobne: miasto z biskoptu do piwa świętego Adolfa, a trzeba zaznaczyć, że Wófli uważał się między innymi za świętego Adolfa. W takim wypadku tytuł obrazu będzie zawierał w sobie wielowizję, dla Wólfliego jednoznaczną, widzi ją bowiem jako miasto (z biskoptu) (z

biskoptu do piwa) / (mias~o świętego Adolfa)))))). Dla mnie jest jasne, że święty Adolf nie jest nazwą miasteczka, tylko, tak jak w wypadku biskoptu i piwa, miasto jest świętym Adolfem i na odwrót.

Jakby tego nie było dosyć, kiedy doktor Morgenthaler okazywał zainteresowanie sensem dzieła Wólfliego, a ten raczył mówić, do czego nieczęsto dochodziło, zdarzało się, że na zapytanie: „co oznacza”, olbrzym odpowiadał „to” i biorąc swoją tubkę z papieru wydmuchiwał nawiej melodię, która dla niego nie tylko była wythmaczeniem malowidła, ale samym obrazem i vice versa, co by świadczyło, że i wiele z jego rysunków zawiera pentagramy z jego kompozycjami murycznymi i znaczną część obrazów również wypełniają teksty, ujmujące w słowa jego wizje rzeczywistości. Ciekawe, niepokojące, że Wólfli z racji swego przymusowego zamknięcia był równocześnie zaprzeczeniem i potwierdzeniem pesymistycznego zdania Lichtenberga: „Gdybym

74 75

chciał mówić o tego rodzaju sprawach, świat miałby mnie za wariata. dlatego milczę. Jest to tak samo niemożliwe jak wygranie na skrzypcach melodii, do które) nutami byłyby plamy z atramentu na moim stole...”

O ile powyższe studium psychiatryczne kładzie nacisk na obłądną koncepcję muzycznego tłumaczenia malarstwa, o tyle nic nie mówi o możliwości analogicznej, a mianowicie o tym, że Wólfli malował swą muzykę. Mnie, upartemu mieszkańcowi stref pogranicznych, wydaje się rzeczą zupełnie normalną, że miasto, biskopt, piwo, święty Adolf i jakaś muzyka są pięciorgiem w jedności i jednością w pięciorgu. Istnieją przecież precedensy, np. Trójca święta i zdanie Rimbauda: c°ar je est un autre. Ale byłoby to o wiele bar~ziej statyczne, gdybyśmy nie zakładali, że te pięcioraczki swoim losem wewnętrznym i dynamicznym (przenosząc w ich sferę czynności, które Artaud przypisywał myśleniu) spełniają rolę równoległą do dwóch elementów atomu, czyli że gdyby używać tytułu obrazu Wólfliego metaforycznie, ewentualne działanie biskoptu na miasto mogłoby determinować pewne metamorfozy u świętego Adolfa, podobnie jak i najmniejszy gest świętego Adolfa mógłby całkowicie zmienić zachowanie się piwa. Jeżeli teraz ekstrapolować ten przykład do spraw mniej gastronomicznych i hagiograficznych, dojdziemy do tego, co mi się zdarzyło ze złananą nogą w Hópital Cochin, a co polegało na świadomości (nie na czuciu ani wyobrażeniu sobie: była to pewność z rodzaju tych, które stanowią dumę logiki arystotelesowskiej), że zgangrenowana noga (a asystowałem jej bez

przerwy z mojej pozycji delirium i gorączki) tworzyła pole walki, której perypetie śledziłem drobiazgowo, z ich geografią, strategią, atakami i kontratakami, widząc zniechęcony i zaangażowany równocześnie, w miarę jak każda drzazga bólu stawała się spotkaniem wręcz, każde pulsowanie gorączki wolną

szarżą lub szeregiem proporczyków powiewających na wietrze ~ ~;.. ,

Nie można dotknąć aż tak głęboko dna i nie wrócić potem na powierzchnię z przekonaniem, że każda wojna w historii mogła być herbatką z grzankami w hrabstwie Kent albo że wysiłek, który z siebie daję od paru godzin, żeby napisać tych parę stron, równa się na przykład mrowisku w Adelaidzie (Australia) albo trzem ostatnim rundom z czwartej eliminacji, które odbyły się w zeszły czwartek na Dawson Square, Glasgow. Daję przykłady elementarne, zredukowane do akcji idącej od x do z, na bazie zasadniczej koegzystencji x i z. Ale jakież to ma znaczenie w porównaniu z jednym dniem z twojego życia, z miłością Swanna, z koncepcją katedry Gaudiego w Barcelonie? Ludzie wzdrygają się, kiedy im się tłumaczy pojęcia lat śmetlnych, wymiary najmniejszych gwiazd, zawartość galaktyk. A cóż pomedzieć o trzech pociągnięciach pędzla Masaccia, które może są pożarem Persepolis, który może jest czwartym morderstwem Petera Kurtem, które może jest drogą do Damaszku, która może jest Galeriami Lafayette, które może są czarnym kotem Hansa Magnusa Enszehsbergera, która może jest prostytutką z Awinionu imieniem Jeanne Blanc (1477-1514)? Przy czym powiedzieć to - to mniej niż nic nie powiedzieć, skoro chodzi nie o przenikające się nawzajem egzystencje, lecz o ich dynamikę („ich wewnętrzne i dynamiczne przeznaczenie”), które, rzecz jasna, odbywa się na marginesie wszelkich możliwości mierzenia, ważenia i wykrywania, opartych o nasze Greenwiche i Geigery. Metafory, które zmierzają w tym nieokreślonym, podniecającym kierunku; wstrząs po

trójnego karambolu, posunięcie laufra, które zmienia napięcia na całej szachownicy; ileż razy czułem, że jakaś nieprawdopodobna kom

W wiele lat później przeczytałem taki aforyzm Lichtenberga: „Dla walczących bitwy są chorobami .

76 77

binacja futbolowa (przede wsrystkim w wykonaniu „River Plate”, drużyny, której byłem wierny przez wszystkie lata, kiedy mieszkałem w Buenos Aires) może sprowokować pewne myślowe asocjacje u rzymskiego fizyka (chyba żeby on sam wymyślił te asocjacje) albo, już obłądnie, że liryk ~ futbol są elementami jakiegoś

jeszcze innego procesu, przebiegającego na gałęziach wiśniowego drzewa w Nikaragui, a z kolei te trzy elementy na raz...

~J~ell .jlllllSZ O dR1~1111

Książka ta powstaje tak, jak tajemnicze potrawy niektórych paryskich restauracji : do zasadniczego składnika, tak zwanego ford de cuisson, dorzuca się potem latami mięsa, jarzyny, przyprawy, w stałym procesie, który zachowuje w swojej najgłębszej głębi złożony zapach tej nie kończącej się konkocji. Tutaj

jeden Juliusz spoziera na nas, obawiam się, że z odrobiną złośliwości, z dagerotypu, drugi zasmarowuje, a potem przepisuje na czysto niezliczone arkusze papieru, a trzeci. uzbrojony w cierpliwość, zbiera to wszystko do kupy, opracowuje strona po stronie. od czasu do czasu przeklinając albo swojego bardziej bezpośredniego imiennika, albo kawałek skocza, który mu się przyczepił do palca, z tą gwałtowną gorliwością, z jaką skocze dąż~ do demonstrowania swojej przydatności.

Najstarszy z Juliuszów milczy, pozostali dwaj pracują, gadają, a od czasu do czasu zjadają befsztyki i palą Gitany. Znają się tak dobrze, tak przywykli do tego, że są Juliuszami, do równoczesnego podnoszenia głowy, kiedy ktokolwiek wymawia ich imię, że nagle jeden z nich podskakuje, bo zdał sobie sprawę, że książka postępuje naprzód, a on jeszcze ani słowa nie powiedział o tamtym, o tym, który zbiera zapisane arkusze, z początku patrzy na nie tak, jakby były jakimiś przedmiotami nadającymi się tylko do mierzenia, diagramowania i przyklejania, potem, kiedy jest sam, przechodzi do czytania ich, a wtedy czasem, wiele dni później, między jednym papierosem a drugim, rzuca jakieś zdanie albo aluzję, aby Juliusz-długopis wiedział, że on zna książkę również i od środka, i że owszem, podoba mu się. Dlatego też Juliusz-długopis czuje, że powinien teraz powiedzieć coś o Juliuszu Silva, może najlepiej o tym, jak w 1955 roku przyjechał z Buenos Aires do Paryża, w parę miesięcy później wpadł do mnie i... został całą noc, rozprawiając o poezji francuskiej i często wspominając niejakiego Sarę, który zawsze mówił rzeczy nader subtelne, jakkolwiek nieco sybilliczne. W owym czasie jeszcze nie byłem z Silvą tak blisko, żeby mi było warto zastanawiać się nad zidentyfikowaniem owej tajemniczej muzy, popychającej go w stronę, surrealizmu, ale wreszcie w pewnej chwili, pod sam koniec rozmowy, zdałem sobie spra

Ho

wę, że chodzi o Tristana Tzarę, wymawianego tak, jak wszystko i zawsze będzie wymawiał ten kronopio, który nie musi mieć lepszego akcentu, ażebyśmy docenili sam sposób jego przezabawnego gadania. Zaprzyjaźniliśmy się z punktu, pewnie dzięki Sarze, a Julio zaczął wystawiać swoje obrazy w Paryżu i zasypywać nas rysunkami, na których fauna w stałej metamorfozie w sposób z lekka ironiczny zagrażała rozgromieniem naszego livingroomu, i rób co chcesz.

W owych latach działy się rzeczy nieprawdopodobne, na przykład, gdy Juliusz zamienił

obraz na samochód, zupełnie podobny do słoika jogurtu, do którego wchodziło się przez dach z pleksiglasu, zamykający go niby kapsułkę. Przekonany, że doskonale prowadzi, pojechał po swój nowy nabytek, pozostawiwszy w bramie żonę, czekającą, by mąż wziął ~ą na pierwszą przejażdżkę. Nie bez pewnego wysiłku wpakował się do jogurtu w samym sercu Quartier Latin, ale kiedy postanowił ruszyć, zauważył, że drzewa i chodniki przesuwają się do przodu zamiast się cofać - detal, którego nie wziął sobie zbyt do serca, jakkolwiek spojrzenie na drażek biegów byłoby mu uprzytomniło, że jedzie tylnym biegiem, który to sposób poruszania się po Paryżu o piątej po południu ma swoje złe strony

który zakończył się wcale nie zaplanowanym zetknięciem jogurtu z jedną z tych nieprawdopodobnych budek, w których zmarznięte staruszki sprzedają bilety loteryjne. Kiedy się w tym wszystkim zorientował, smrodliwa rura wydechowa była już wbita w sześcianik, a sędziwa rozdawczyni szczęścia wydawała okrzyki, jakimi paryżanie oplacają od czasu do czasu kurtuazyjną ciszę wysokiego stopnia swojej cywilizacji. Przyjaciel mój chciał wyjść z auta, aby pospieszyć z pomocą na wpół zaccadziałej ofierze wypadku, ponieważ jednak nie wiedział, jak się otwiera pleksiglasowa pokrywa, okazało się, że jest hermetyczniej zamknięty niż Gagarin w swoim pojeździe kosmicznym, że nie wspomnę o oburzonym tłumie, oglądającym dramatyczną scenę zdarzenia i żądającym zlinczowania cudzoziemców, jak na prawidłowo reagujący i szanujący się tłum przystało.

Wiele rzeczy w tym stylu zdarzało się Juliuszowi, ale mój szacunek dla niego opiera się w głównej mierze na podziwieniu dla sposobu, w jaki powoli zagarnął wspaniały apartament w domu położonym ni mniej, ni więcej, tylko przy ulicy de Beaune, w którym mieszkali muszkietierowie (jeszcze można zobaczyć że

łazne podpory, na których Porthos i Athos zostawiali szpady przed wejściem do pokoju, i wyobrazić sobie, jak Konstancja Bonacieux nieśmiało spoglądała z rogu

rue de Lille na okna, za którymi d'Artagnan śnił o chimerach i diamentowych podkowach). Z początku Juliusz miał kuchnię z alkową, z biegiem lat zajął sąsiedni, nieco większy pokój, w którym po jakimś czasie odkrył drzmczk~, a za mm~ trzy stopnie, po których schodziło się do miejsca będącego obecnie jego pracownią; wszystko to zdobywał z uporem kreta połączonym z przebiegłością Talleyranda, po drodze uspokajając właścicieli i sąsiadów (ze zrozumiałych przyczyn zaalarmowanych takim fenomenem ekspansji, nigdy nie przestudiowanym przez Vlaxa Plancka). Dziś może się pysznić posiadaniem domu, którego bramy wychodzą na dwie różne ulice; utrwała to jeszcze aurę, w której jak możemy sobie wyobrazić - kardynał Richelieu, pragnąc wykończyć muszkietierów, zastawiał zasadzki i w której miały miejsce potyczki i przysięgi na honor (jak mawiali muszkietierowie w katalońskich tłumaczeniach, którymi zatruwano nam dzieciństwo).

Tenże kronopio świeci teraz w oczy odwiedzającym go przyjaciółom kolekcjami cudów technik, wśród których wyróżnia się powiększalnik nadnaturalnej wielkości, fotokopiarka, wydająca niepokojące bulgotania i usiłująca w miarę możliwości postawić na swoim, nie mówiąc o całych seriach murzyńskich masek, przypominających bezlitośnie każdemu to, czym w gruncie rzeczy jest - nieszczęsnym Białym. No i wino, nad którego dobozem nie będę się rozwodził, bo nigdy nie szkodzi, gdy ludzie zachowują swoje sekrety, i żona, która znosi z niezmienną dobrocią innych kronopiów, zapełniających pracownię, i dwoje dzieci - bez wątpienia rezultat inspiracji wywołanej przez przepiękny obraz Malarz i jego rodzina pędzla Juana Bautisty Muzo, zięcia Velasqueza.

Ten oto Juliusz nadał formę i rytm podróży

82 g3

dookoła dnia. Myślę, że gdyby tamten Juliusz go znał, ulokowałby go wraz z Michelelem Ardanem w księżycowej torpedzie, aby jeszcze wzmóc ryzyko improwizacji, fantazji i zabawy. Dziś inny rodzaj kosmonautów wysyłamy w przestrzeń - a szkoda. Czyż mogę portret ten zakończyć próbką teorii estetycznych Juliusza, raczej nie nadającą się dla damskich uszu? Pewnego dnia, kiedy omawialiśmy rozmaite sposoby podejścia do rysunku, mój wielki kronopio, zniecierpliwiony, wypowiedział się raz, a dobrze: „Słuchaj, stary, trzeba pozwolić, żeby łapa rysowała to, co ci szumi w jajach”. Po czymś podobnym mam wrażenie, że końcowa kropka jest jak najbardziej na miejscu.

O sposobie podróżowania

z Aten na przylądek Stmion

...and the recolction d Chat absa~ d tree, that ooHtingoess, is more vivid to me thao aoy me~oory d the tree itsell

E. F. Bozman. The Whire Road

Pamięć prowadzi z samą sobą niejasną grę, czego przykłady mnożą się w traktatach psychologicznych. Zachodzi pewna arytmia pomiędzy człowiekiem a jego pamięcią, która czasem pozostaje w tyle, czasem zaś udaje bezbłędne lustro, któremu konfrontacja z oburzeniem zadaje kłam.

Kiedy Diagilew zaczął znowu „stawiać” swoje rosyjskie balety, krytycy zarzucali mu, że dekoracje do Pietruszki straciły swą uprzednią, olśniewającą wielobarwność. Były to te same, znakomicie zakonserwowane dekoracje, ale w rezultacie Bakst poczuł, że musi wzmocnić kolory, ażeby dorównały pamięci, która je ulepszyła.

Ty, który chodzisz do filmoteki, czy możesz się dogadać ze swym własnym wspomnieniem filmów Pabsta, Dreyera, Lupu Picka?

Dziwaczne echo, które gromadzi swoje repliki na zasadzie innej akustyki niż akustyka świadomości i nadziei: sala popiersi rzymskich wywołuje z pamięci satrapów perskich lub subtelniej-na twarzy Kommodusa czy też Gordiana pojawia się uśmiech pochodzący z dagerotypu Nadara lub jakiegoś karolińskiego marmuru, jeżeli nie z twarzy cioci częstującej nas ciasteczkami w Tandil. Archiwum fotokopii, na które mamy prawo liczyć, zwraca nam przedziwne stwory: zielony raj dzieciennych miłości, o których wspomina Baudelaire, jest dla wielu jakimś odwróconym czasem przyszłym, awersem nadziei w zestawieniu z szarym czyścem miłości dojrzałych, i w tym milczącym odwróceniu, które pomaga nam

s~

wierzyć, że może nie żyliśmy zbyt źle, skoro jakkolwiek dawno - poznaliśmy jakiś eden, jakieś niewinne szczęście, pamięć jest jak ów schizofreniczny pająk z laboratoriów, gdzie wypróbowuje się środki halucynogenne, pająk przędący oszalałą sieć, pełną dziur, cer i łat. Pamięć przędzie nas i chwyta równocześnie, zgodnie ze schematem, w którym nie bierzemy świadomego udziału. Nigdy nie powinniśmy mówić o naszej pamięci, bo jeżeli już jest - nie jest nasza, pracuje na swój rachunek, pomaga nam w oszukiwaniu samych siebie czy też może oszukuje nas, by nam pomóc.

W każdym razie z Aten jedzie się na przylądek Sunion rozklekotanym autobusem, co mi opowiadał w Paryżu mój przyjaciel, Carlos Courau, kronopio niezmordowany, jeżeli tacy bywają. Opowiadał mi to przekazując i inne wskazówki dotyczące wycieczek - po Grecji, ulegając przyjemności, jakiej doznaje każdy podróżnik, który, wspominając swoje przy

gody, raz jeszcze je przeżywa (dlatego Penelopa będzie czekała meczme), a równocześnie rozkoszuje się zastępczo podróżą, którą odbędzie przyjaciel, ten właśnie, któremu tłumaczy, jak się jedzie z Aten na przylądek Sunion. Trzy podróże w jednej : realna, ta już minioną, imaginacyjna - ale właśnie obecna w słowach, i ta, którą ktoś odbędzie w przyszłości, po śladach przeszłości, na podstawie rad teraźniejszości, tych oto, że autobus wyjeżdża z jakiegoś placu w Atenach około dziesiątej rano, ale że należy przyjść wcześniej, bo zawsze jest dużo pasażerów, tak miejscowych, jak i turystów.

Już tej nocy, pośród wyliczania, gdzie mam być i jakie pomniki powinienem obejrzeć, dziwny był wybór pająka, bo przecież, u diabła, opowiadanie Carlosa o Delfach albo opis przejażdżki morskiej na Cyklady lub plażę Mikonos po południu, jakkolwiek ze stu epizodów odnoszących się do Olimpu i Mistry, widok Kanału Korynckiego, gościnność pasterzy - wszystko to było znacznie ciekawsze i bardziej podniecające niż skromna rada, ażebym zawczasu zjawił się na zakurczonym placu i nie został bez miejsca pośród koszyków pełnych kur i marines o paleolitycznych szczękach. Pająk wysłuchał wszystkiego i z tej sekwencji obrazów, zapachów i piedestałów na zawsze zatrzymał wyimaginowaną wizję placu, na który należało przybyć zawczasu, i autobusu, czekającego pod zakurczonymi drzewami.

W miesiąc później pojechałem do Grecji i pewnego dnia ruszyłem na poszukiwanie placu, naturalnie w niczym nie przypominającego tego, który sobie wyobraziłem. W tym momencie nie porównywałem : otaczająca rzeczywistość łokciami rozpiera się w świad-

mości, przestrzeń, którą zajmuje drzewo, nie zostawia już miejsca na nic innego; autobus był rozklekotany, jak to zapowiedział Carlos, ale niczym nie przypominał tego, kury wi

R9 działałem tak wyraźnie, gdy o nim mówił. Na szczęście były wolne miejsca, obejrzałem przylądek Sunion, odszukałem podpis Byrona w świątyni Posejdona, na bezludnej plaży usłyszałem tępy odgłos: rybak tłukł ośmiornicą o skałę.

A oto co się stało po powrocie do Paryża; kiedy opowiadałem o mojej podróży i zahaczyłem o wycieczkę na przystanek Sunion, tym, co zobaczyłem w czasie opowiadania, był plac Carlosa i autobus Carlosa. Najpierw mnie to ubawiło, potem zastanowiło, a kiedy znalazłem się sam, usiłowałem powtórzyć doświadczenie, starannie wywołując z pamięci prawdziwą scenerię tej banalnej przejażdżki. Przypominałem sobie fragmenty, jakąś parę chłopów na sąsiednim siedzeniu, ale autobus w dalszym ciągu był tamtym, tym Carlosa, a kiedy odtwarzałem moje przybycie na plac i oczekiwanie (Carlos mówił o sprzedawcach fistaszków i o upale), jedyną rzeczą, która pojawiła się bez wysiłku, jedyną naprawdę realną, był tamten plac, który poznałem w moim paryskim mieszkaniu, słuchając Carlosa. Autobus czekał o kilkadziesiąt metrów dalej, pod drzewami, osłaniającymi go przed palącym słońcem, nie zaś na rogu, na którym (wiedziałem to przecież) zastałem go tego dnia, kiedy wybrałem się na przystanek Sunion.

Minęło dziesięć lat i obrazy krótkotrwałej podróży do Grecji zbladły i ściemniały, redukując się coraz bardziej do kilku momentów, które wybrały moje serce i mój pajak. Pozostała noc w Delfach, kiedy poczułem bliskość Boga i nie umiałem umrzeć, czyli narodzić się, pozostały wysokie godziny w Mykenach, schody w Faistos, drobiazgi, które pajak zachowuje dopełniając jakąś sylwetę, wymykający się nam rysunek fragmentu przeciętnej mozaiki na rzymskiej bramie w Delos, zapach lodów w jakiejś uliczce Plaki. A przede wszystkim podróż z Aten na przystanek Sunion, z placem Carlosa i autobusem Carlosa, wymyślonym pewnej

91

Jules Verne - mN1111 nil pnrfmorskie - żegluga

paryskiej nocy, kiedy doradzał mi, abym przyszedł zawczasu, bo inaczej będę podróżował na stojąco. Pozostał jego plac i jego autobus; te, których szukałem i znalazłem w Atenach, nie istnieją dla mnie, wyeksmitowane, skasowane przez te mamidła silniejsze niż świat, wymyślające go na zapas po to, ażeby potem jeszcze lepiej go zniszczyć w ich ostatniej redukcji - w fałszywej cytadeli wspomnień.

...Lecz tego dnia około godziny jedenastej rano, gdy Nicholl upuścił szklanę, ta, zamiast spaść na podłogę, zawisała w powietrzu.

- Ach - zawołał Michał. - Oto mamy pogładową lekcję fizyki.

Natychmiast różne przedmioty, broń, butelki, pozostawione samym sobie, jakby cudem zaczęły utrzymywać się w powietrzu. Nawet Diana, podniesiona wysoko przez Michała, odtworzyła, i to bez żadnych specjalnych forteli,

akrobatyczną figurę na wzór słynnych sztukmistrzów. Zresztą biedna psina nie zdawała sobie sprawy, że zawisa w powietrzu.

Wreszcie i nasi trzej śmiałkowie, wkraczając w dziedzinę cudów - zdumieni i osłupiali mimo wszelkich argumentów naukowych - poczuli, że ciała ich pozbyły się ciężkości. Gdy wyciągali ręce, nie opadały wcale. Głowy chwiały się na prawo i na lewo. Nogi nie trzymały się dna pocisku. Zachowywali się jak pijani, którym nie dopisuje zmysł równowagi. Fantazja potrafiła stworzyć ludzi, którym brak odbicia w lustrze, lub pozbawionych cienia. Tutaj rzeczywistość, przez zneutralizowanie siły przyciągania, stworzyła ludzi, którzy nic nie ważyli.

Nagle Michał, nabrawszy rozpędu, podskoczył w górę i pozostał tak zawieszony w powietrzu, jak ów dobry mnich z Kuchni aniołów Murilla. Dwaj jego przyjaciele natychmiast poszli w jego ślady i wszyscy trzej w środku pocisku wyobrażali jakiś cudowny wzlot

Ten obraz wielkiego malarza hiszpańskiego z XVII wieku, Murilla, przedstawia fragment z legendy o św. Jakubie, który w czasie modlitwy został uniesiony w górę, podczas gdy uproszeni przez niego aniołowie zaopatrują w żywność kuchnię ubogiego klasztoru. (Przyp. tłum.). t~~ Jules Verne, Wokół k.się.:yca, przekład Ludmiły Duninowskiej, Nasza Księgania, Warszawa 1970, s. 215.

Dialog z Maorysami

Un auteur prophetisait la fm de l'Eternel.

Noas nam contenterons de trsvailler a la fm de l'Immobile.

Rene Crevel. Le clavecin de Diderot

Pni ~f P~~ ó° P~ ~|~ jem dosyć...

Konduktor autobusu w Buenos Aires.

Crevel i konduktor mają rację: rzeczywistość jest giętka i porowata i scholastyczny podział na firykę i metafizykę traci sens, ~eżeh sprzeciwiemy się postawie nieruchomej, jeżeli tylko posuniemy się trochę do przodu, skoro miejsca jest dosyć. Nie mówię tu o imprezach filozoficznych, mówię o chlebie z masłem na śniadanie albo o randce z Esther o wpół do dziewiątej w „Gaumont Rive Gauche”, po prostu wskazuję, że stanie w miejscu to fizyka, a posuwanie się do przodu - metafizyka i że wystarczy trochę się posunąć, ażeby nieposuwanie się zeszło do poziomu uwag nosorożca na temat rzeźby Brancusiego.

Pewnego dnia Polanco zapytał Calaca, co rozumie pod tym chlebem z masłem i obserwacjami na temat ssaków o zrogowaciałej skórze.

- Coś bardzo zwyczajnego, bracie - odparł Calac. - Po pierwsze, wyeliminuj różnice po między fizyką a metafizyką, bo to są dwie dźwigienki stołowego futbolu. Jeżeli w chwili, kiedy smarujesz chleb masłem (pamiętaj, że najlepsze jest z Isigny), jesteś w stanie połączyć całość, w którą wchodzi te dwie ingrediencje, twój apetyt oraz nóż - powiedzmy - z frazą sonaty Szopenowskiej albo z jednym z tych uporczywych wspomnień, które nie bez powodu są uporczywe - zdasz sobie sprawę, że na marginesie analogicznych asocjacji otwiera się jakby jakaś powtórna opcja, pozwalająca zrozumieć te składniki jako rzeczywistość wzbogaconą, w takim sensie, w jakim fizycy mówią o wzbogaconym uranie albo plutonie. O ile

będziesz wytrwały i wsrystkie twoje posunięcia (tej godziny czy tego dnia) nastawisz na wyjście z siebie i związanie z innymi przeżyc~ami fizycznymi czy psychicznymi (o czym wiedzieli niektórzy z lekka wizjonerscy romantycy), w rezultacie, w ostatnich etapach tej sekwencji, zaledwie powiesz: „jaka ładna jest ta blondynka” lub zaledwie zawiążesz sobie sznurowadła, dojdiesz do pewnego rodzaju porowatego ula, do olbrzymiego komina, którym wyjedziesz do innej rzeczywistości. Prakseo

94

logia, bracie. Prakseologia, mówię poważnie. - To przecież robi każdy poeta -
odpowiedział Polanco, rozczarowany.

- Jasne, ale potem wyraża to poetycznie, a wiesz, że ludzie prawie zawsze czytają poezje jako coś wyjątkowego, jako znakomitą formułę, pomagającą wrócić do prory i zbytnio się nie podniecać. Dlatego ci mówię, że zalecenia konduktora należy stosować do życia jabłka, życia-pasty do zębów, życia-dzień dobry, mamó, które, jeżeli uważnie na to spojrzeć, zabiera dziewięćdziesiąt osiem procent naszej egzystencji. W końcu to właśnie powiedział Książę Poetów, prawdziwa poezja musi być robiona przez ogół, nie przez pojedynczych ludzi. A elastyczność, obsuwanie się, poślizg pomiędzy szynką a chlebem są jedynie przysposobieniem wszystkiego na naszą modłę, nie mówiąc o tym, że ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka, jak mnie uczyli w trzeciej klasie.

- Ale pchasz ten chleb do każdego przykładu - powiedział Polanco. - Jeżeli dobrze rozumiem, proponujesz gąbki przeciw pumeksowi.

- Wyjdiesz na ludzi, człowieku, wyjdiesz na ludzi - ucieszył się Calac. - Zdałeś sobie sprawę, że przez żywe szczeliny dojdziemy do numenu. Nigdy nie przekonało mnie twierdzenie Kanta, że jesteśmy zdecydowanie zlimitowani. Podczas kiedy on to twierdził, niejaki Jean-Paul (Richter, uwaga, nie mylić) i niejaki Novalis już tańczyli w rytmie, którego żadna pedanteria nie przeszkodzi mi nazwać kosmicznym, i stosowali się do wskazówek konduktora tak dalece, że w rezultacie wylatywali przez okna (co w gruncie rzeczy powinniśmy robić wszyscy). Negować z góry zakładaną jedność i celowość faktów - w tym cała rzecz. Wczoraj umarł doktor Noriega. Jest to fakt i przyjęcie go jako takiego jest faktem dla wszystkich. A ja wtedy słyszę Kościeja, o którym mówi Frater w Złotej gałęzi, Kościeja, który chciał zbagatelizować i uplasować swoją śmierć: 96

„Śmierć moja przebywa daleko stąd i trudno ją odnaleźć na rozległym oceanie. Jest na tym morzu wyspa, a na wyspie zielony dąb, a pod dębem jest skrzynia żelazna, a w skrzyni mały koszyk, a w koszyku jest zajac, a w zajacu jest kaczką, a w kaczkę jajko; ten zaś, kto znajdzie jajko i stłucze je, spowoduje moją śmierć” ~. Nie uważasz, że ten Koście mógłby być konduktorem w autobusie?

- I to na linii La Palma, którą może przypominasz sobie z młodych lat - odparł Pólanco z nostalgią. - Wsiadałem w ten autobus na rogu Avenida San Martín, żeby pojechać na Florestę. Miałem tam dziewczynkę, ale ten autobus tak straszliwie się spóźnił, że w rezultacie wypięła się na mnie - podejrzewała mnie o jakieś nieprawości, idiotka. Według tego, cośmy w paru facetów, wiecznie na tym upal wyczekujących, wykombinowali, to cała La Palma miała w sumie jeden, najwyżej dwa wozy, którymi obsługiwała siedmiokilometrową trasę. Popatrz tylko, do czego zdolny jest magistrat. Czy to nie granda?

- A co to ma do wilkołaka?

- Nic. Raz czekaliśmy tak długo, że tamtejsze cwaniaki, z tych, co to cię mogą wykończyć, bo im się nie podoba twój nos, twój sposób gwizdania tanga czy dlatego że dziś akurat mają taki dzień, więc te cwaniaki tak się wściekły, że w końcu, jak autobus przyjechał, to zbili i kierowcę, i konduktora. Nikt nigdzie nie pojechał, a pobitych zatrzymała policja.

- Palim męczeństwa, można powiedzieć - zauważył Calac.

- No pewno, a ten wilkołak byłby tam w sam raz, żeby uplasować, jak ty mówisz, te kopniaki. Co ci będę mówił, wiadomo, że jedna bójką powoduje drugą. A tu dziewczynka czeka na mnie z matę i ciastkami własnego wypieku.

- A wiesz ty, jak Budda wstępował w nirwanę?-zainteresował się Calac.

k;~ Przełożył Henryk Krzeczowski

98

Jules Verne, Dzieci kapitana taranta

Polanco nie wiedział, ale Calac pozostawił go w niewiedzy, natomiast zaczął mówić o giętkości. do której powinny być zdolne dwa pojęcia lub dwie przeciwstawne oczywistości, które, jego zdaniem, sytuują się binarnie z normalnego lenistwa i żeby nie słuchać konduktora. Zacytował mu zdanie Lezama Limy: „Nasz lekarz dostrzega tylko dwa rytmy serca tam, gdzie lekarz chiński rozróżnia czterysta odrębnych dźwięków”. Polanco uznał, że czterysta to jest przesada, ale Calac wzgardził jego obiekcją, jako zbyt małoduszną.

- Jeżeli me umiesz ocenić tego żółtego powiedzenia, odbitego w kubańskim lustrze rzekł ze współczuciem - dowiedz się chociaż, w jaki kosmogoniczny sposób przechodzą z chaosu do przestrzeni Maorysi. Tak, Maorysi, te małpoludy z wytatuowanymi twarzami. Tak jak ich widzisz, przeculi, że między pierwotnym chaosem a porządkiem poprzedzającym powstanie czasu i przestrzeni. nie istnieje nasz piorunujący ,dat lux ani też żadne seryjne produkcje tworzenia. Podejrzewają, że już przejście z chaosu do materii jest procesem niebywale subtelnym, i usiłują wyobrazić go sobie kosmogonicznie. Uprzedzam cię, że jeszcze nie doszli do materii : tyle jest faz pośrednich, że człowiek z góry ma dosyć. Ograniczę się do wyliczenia ci kroków między chaosem a pierwszym stopniem. mającym umożliwić stworzenie i ro7różnienie materii, powiedzmy: między chaosem a przestrzenią antropologiczną. Licz na palcach, a sam zobaczysz, że czterysta chińskich dźwięków to w porównaniu mucha.

- A skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał zdumiony Polanco.

- Z książki, którą mi pożyczył Bud Flakon,. ale już mu oddałem. Pierwsze kroki Maorysów w kierunku stworzenia są następujące: pustka pierwotna, po której następuje pierwsza pustka, druga pustka, wielka pustka, rozległa pustka, sucha pustka, pustka szczodra, pustka wspaniała, pustka ściśniona, noc, noc zawie

szona, noc mijająca, noc jęcząca, córa niespokojnego snu, zorza poranna, stały dzień, dzień lśniący, a wreszcie przestrzeń.

- Rany boskie - powiedział Polanco. Mam nadzieję, że rozumiesz, że jest to raczej wolny przekład - skromnie wyjaśnił Calac - wzięwszy pod uwagę, że nazywa się to Te Po-teki, Te Povrhawha i inne dźwięki w tym stylu.

i

ioo

Spotkania poza czasem

Czas pisarza : diachronia, wystarczająca sama w sobie, by wyłamać się z wszelkiej uległości w stosunku do obowiązującego czasu; czas pochodzący z rejonów leżących gdzieś bardziej w środku lub poniżej : spotkania w przeszłości, rendez-vous przyszłości z terażniejszością, słowne sondy, zgłębiające jednocześnie przedtem i teraz, by zanulować oba. Kiedy byłem niejakim Morellim i w książce oddałem mu głos, nie mogłem przypuścić, że dziś, w tyle lat później, pewna niewybaczalnie zapóźniona lektura (L'ame romantique et le reve) zwróci mi go pod postacią XIX-wiecznego filozofa o nazwisku Ignaz Paul Vitalis Troxler. Była to subtelna gra: ktoś, kto półtora wieku temu pisał w Niemczech, czekał w mojej przyszłości, podczas gdy ja w terażniejszości połowy XX wieku stworzyłem w Paryżu włoskiego myśliciela.

I oto dzisiejszego popołudnia w przerwach między naprawami węża do polewania, który z sardonicznym uporem wyłaził z kranu, poprzez Alberta Beguin poznałem Troxlera i przeczytałem zdanie, które wróciło mi mnie samego sprzed pięciu czy też sześciu lat: „Na pewno istnieje inny świat, ale w naszym; żeby osiągnął on pełną doskonałość, trzeba tylko rozpoznać go i znać, że istnieje. Człowiek musi szukać przyszłego stanu w terażniejszości, a nieba nie nad ziemią, lecz w sobie samym”.

Jako że wąż pod wieczór znowu się popsuł, zaś moja żona nie wierzy w fontanny Villi d'Este, gdy chodzi o tę pożyteczną ciecz, która by mocnym strumieniem ożywiła metabolizm trawnika, odbyłem seans obcęgowo-druciano-gumowy, który dał mi dość czasu na myślenie o krytyce literackiej i o tym, jak lubi się przypisywać nie istniejące wpływy poetom którzy może nigdy nie słyszeli o me~akim Troxlerze, a którzy mimo to później oskarżyliby Morellego o częściowy lub całko

kity plagiat systemu Troxlera; mnie także, jako że tego popohxdnia zostałem doprowadzony do ostateczności przez węża, stary, zgniewał, bo nie wolno do tego stopnia nic me medzieć o wielkich wizjonerach romantycznych Niemiec.

Po części dlatego, a po części z uwagi na to, że moja wizja czasu (tym cię czekał! Murowany wpływ Inngarettiego!) poszerzyła się po tym trychronicznym .spotkaniu na wzgórzu Prowansji, przypominałem sobie Mrs Lunt i zachciało mi się pogadać o innych igraszkach czasu, które czają się w zegarkach z papieru i atramentu.

Lubię fantastyczne opowiadania Sir Hugh'a Walpole'a, lecz kiedy zetknąłem się z Mrs Lunt ~ . zabrakło mi czasu, żeby napić się whisky i zapalić cygaro, bez czego angielskie opowiadania nie mogą być właściwie ocenione. Na trzeciej stronie zapoznałem się z panem Robertem Lunt i, mimo otaczające go specyficznej atmosfery, nie zwróciłem na niego większej uwagi. Na stronie piątej pojawiła się Mrs Lunt i z niechęcią pomyślałem o żyjącej osobie, którą wiele lat przedtem znałem w pewnym argentyńskim miasteczku, a która dokładnie odpowiadała jej opisowi. Dopiero na końcu noweli zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy, które mnie zaniepokoiły: że Robert Lunt także odpowiadał komuś, kogo znałem, i że powinienem był od pierwszej chwili zauważyć nie tylko to podobieństwo, ale i fakt, że obie osoby, o których pomyślałem, w życiu rzeczywistym były zmażane dokładnie takimi stosunkami, jak Luntowie w opowiadaniu.

W parę sekund później wszedłem w ten lodowaty stan, jaki dają tego typu lunatyczne spotkania.

Czytając raz jeszcze opowiadanie Walpole'a (teraz już inaczej, krytyczniej, czujniej), zdumiałem się, że nie zauważyłem od pierwszej chwili

W Ghost Stories, wybór Johna Hampdena.

102 | 103

tego podobieństwa z osobą, o której pomyślałem, niemal że męczącego, bowiem zasadzającego się na nie mogących mylić cechach fizycznych Roberta Lunta. Portret pani Lunt był znacznie mniej charakterystyczny, a jednak wtedy i dopiero wtedy, gdy ją zidentyfikowałem, zwróciłem uwagę i na niego. Poza tym -fakt już zupełnie absurdalny - ta druga zbieżność odsyłała mnie nieuchronnie do pierwszej, gdyż, niezależnie od wszelkich podobieństw, osoby żyjące, które zjawily się w mej pamięci, łączył w rzeczywistości ten sam stosunek, co postaci w opowiadaniu.

Czas, w swojej wersji bardziej uncanny, zagrał tu na melu płaszczyznach. Chyba nie ulega wątpliwości, że Sir Hugh Walpole nigdy nie odmedził miasteczka Chimlcoy w prowincji Buenos Aires i nie mógł znać osób, które dla mnie były odbiciem bohaterów; w dodatku opowiadanie zostało napisane, zanim obie (żyjące) osoby miały ze sobą jakikolwiek kontakt, i diaboliczny dramat, który Walpole opowiedział, nie miał miejsca w ich życiu.

Ale teraz wchodzi się w jakąś inną płaszczyznę, w inną maszynę liczącą, łączącą gdzieś te dwa symetryczne obrazy: jeszcze przed przeczytaniem Walpole'a medziałem, że (w strefie najstraszliwszych koszmarów - w życiu rodzinnym) dramat tych ludzi musi się dopełnić. Jego żyjący bohaterowie o tym nie niedzieli (w każdym razie nie oboje), ale ja czułem, że coś musi się zdarzyć w tej domenie diabolicznych opętania i zależności ofiary od wampira. Coś we mnie wie takie rzeczy ~ nie mogę temu przeszkodzić: z powodu tych przeczuć, których nie można ująć w słowa, nie wzbudzając podejrzeń, że się jest wariatem, wiele lat temu zdecydowałem się nie widywać więcej tych ludzi, z którymi uprzednio utrzymywałem bardzo bliskie stosunki. A dzisiaj wpada mi w ręce historia, napisana o wiele wcześniej niż to wszystko, w której ktoś, kto nie mógł znać moich ówczesnych przyjaciół, opisuje ich tak,

jakby ich widział. i popycha ku straszliwemu losowi, który ja przewidziałem na innym planie i który oddzielił mnie od nich, budząc we mnie rozpacz człowieka, który nic nie może zrobić, właśnie dlatego, że nic z tego nie zdarzy się na płaszczyźnie, na której można by cokolwiek zrobić.

~.ś ąą,

~ oa

Szlachetna sztuka

~P~Y, JeBo ~acja ~)Broadwayu Carpentier - bar os Etoile

Firpo - jego dom na wsi i Mercedes-Benz Jack Minos

Georges Esco

L~tis Angel Radamsnto Og~ZSj~, że boks jarl Pozostaje likwidatorzy ich spadku Kawalerowie godni tego imienia poeta Archie Moore

wielki Ray_ sugar Robinson Rem~ty zostani uplynnione Po tym jak nożyce Parek Paetn~ wszystkie cztery liny.

papierosów, z kryształkiem, i mój wujek, w słuchawkach na uszach, z wielkim trudem wyłapujący rozgłośnię buenosaireńską, która transmitowała cały mecz.

Ku widocznemu zakłopotaniu mojej matki na patio ulokowało się pół naszej ulicy patriotyzm raczył się piwem, jak to bywa w takich wypadkach - w przewidywaniu przygniatającego triumfu tego, którego jankesi nazwali „dzikim bykiem pampasów”, a który bez wątpienia rzeczywiście był dziki. W owym czasie nie mogłem tego pojąć, ale tej nocy na Polo Grounds zmierzyli się ze sobą najslawniejszy mistrz wagi ciężkiej, jaki kiedykolwiek istniał, z czymś w rodzaju muru z cegieł, zdolnym do parcia w przód, które do tej pory zmiatało wszystkich swoich przeciwników. Mur z cegieł zaczął od czegoś niezwykłego: postać

Pewnej nocy, właściwie niechcący, zdumiałem pewną damę, która mnie zapytała, jakich wielkich chwil XX wieku przyszło mi być świadkiem. Bez namysłu, tak jak zawsze wtedy, kiedy mówię coś naprawdę ważkiego, odpowiedziałem : „Byłem świadkiem narodzin radia i śmierci boksu”. Dama w kapeluszu natychmiast przeszła do rozmowy na temat Hitlera.

Później, w jednej z tych kawiarenek przy rue Lhomond, gdzie elektryczność musi być specjalnie droga, bo zawsze jest niemal ciemno, pomyślałem sobie o tak wywołanych efemerydach i odkryłem, że i w nich istnieje pewne metacentrum, że w jakimś momencie rodzące się radio i zmierzch boksu dramatycznie zbiegły się w moim życiu. W 1923 roku Argentyńczycy słuchali z Polo Grounds w New Yorku transmisji meczu, w którym Jack Dempsey w drugiej rundzie zdobył mistrzostwo świata w wadze ciężkiej, eliminując z walki Luisa Angela Firpo. Miałem wtedy dziewięć lat, mieszkałem z rodziną w Banfield; jako jedyni w całej dzielnicy, mieliśmy radio z olbrzymią anteną, na końcu której był odbiorniczek wielkości pudełka od

106

Dempseya na liny i na maszyny reporterów (tak, młody przyjacielu, w owym odległym czasie zabierano na ring maszyny do pisania) i gdyby nie to, że sędzia był jankesem, a na dodatek stracił głowę, dokładnie w tym momencie Firpo zostałby mistrzem świata, bowiem markiz de Queensberry, tatunio Bossie Douglasa, twardo ustanowił, że „zdefenestrowany” bokser musi o własnych siłach wrócić na ring, a tymczasem trzydzieści rąk podniosło Dempseya, który był całkowicie groggy, i pieśczośliwie złożyło na płótnie, gdzie uratował go ~on~, bowiem tego wieczoru, gdzie nie spo~rzec, Bozia była po stronie gwiazdzistego sztandaru.

Zgodnie z tym, czego się nauczyłem w dziesięć lat później, czytując kroniki i ustalając skalę wartości, Argentyna powinna była być więcej niż uszczęśliwiona z tej pierwszej rundy, bowiem Dempseya nic podobnego od nikogo nigdy nie spotkało. Ale już mówiłem o patriotyzmie i o piwie, szkoda więc słów na opisywanie pandemonium, jakie nastąpiło na naszym patio na skutek spazmatycznych informacji, które wujek wpuszczał przez ucho, a wypuszczał przez usta. Tak, Firpo przeżył godzinę swej

107

nieśmiertelności, która trwała trzy minuty, a w dodatku regulaminowo wygrał walkę, ale przez złośliwość prawdy, która zawsze musi się pchać na miejsce złudzeń, w czasie następnych trzech minut Dempsey zademonstrował, że jest w stanie oprzeć się podwójnemu uppercutowi (po którym nastąpiło ganiecie go po ringu z jednej strony na drugą), po czym zaczął burzyć mur z cegieł aż do chwili, gdy na ziemi została kupka gruzów z piętnastoma milionami Argentyńczyków, wijących się z rozpacz i żądających zerwania stosunków, wypowiedzenia wodny i podpalenia ambasady Stanów Zjednoczonych. Była to smutna noc. Ja, dziewięcioletni, ryczałem, uspokajany przez wuja i wszystkich sąsiadów, urażonych do głębi w swej patriotycznej jaźni. Potem radio szybko udoskonaliło się, pojawiły się głośniki, lampy i te słowa, które stały się magią mojego dzieciństwa: superheterodyna, skala, magiczne oko, a w tym samym czasie szlachetna sztuka dochodziła do ostatniego dziesięciolecia swojej wielkości, Gene Tunney, Tony Canzoneri, u nas Julio Mocoroa i Justo Suarez, po czym zaczęła się dekadencja, który jeszcze wydała Joe Luisa, Kida Gavilana, niemalże mitycznego Henry Armstronga i końcowy kwiat - w którym sztuka najwspanialej połączyła się z umiejętnością - imieniem Ray Sugar Robinson. Reszta była i pozostaje entropią; ten smutny patałach, który nawet pisze wiersze - Cassius Clay.

(Kiedyś, w 1952 roku, w deszczowe popołudnie w moim paryskim pokoiku wszystko to przesunęło mi się przed oczami, trochę jak orszak bogów w poemacie Kawafisa, wraz ze łzami dumy, przeżywanej na prowincjonalnych ringach, wraz z nocami za innych odczuwanej chwały. Było to, jakbym jeszcze raz poczuł zapach terpentyny, którą ich nacierano, usłyszał sakramentalne zapowiedzi, wszystko z tak daleka i ja tak daleko, na ostatnich stopniach wspomnienia. Wtedy, między mate a mate, napisałem Torito).

C~OI~ ~-.

Trudno przyzwyczaić się, że nie żyje. Jak Bird, jak Bud, he didn't stand the ghost of a drance -lecz zanim umarł, wyrzekł swoje najciemniejsze imię, podtrzymał nić tajemnego przemówienia, zroszony tą wstydlivością, która drży na pomnikach greckich, gdzie zamyślony chłopiec spogląda ku białym nocom z marmuru. Muzyka Clifforda wyznacza coś niemal zawsze skłaniającego się ku jazzowi, coś skłaniającego się ku temu, co piszemy, co malujemy, co kochamy. W połowie wiemy nagle, że trąbka, która z niezawodnym wyczuciem stara się przekroczyć granicę, jest mniej monologiem niż kontaktem. Opis jakiejś złudnej, niełatwiej szczęśliwości, jakiegoś pod-zbliżenia przedtem i potem normalność. Kiedy pragnę wiedzieć, co przeżywa szaman na najwyższym drzewie poza czasem, twarzą w~twarz z nocą, raz jeszcze słucham testamentu Clifforda Browna, który niby dotknięcie skrzydłem rozrywa ciągłość, który pośród bezładu wymyśla wyspę absolutu. A potem znowu przyzwyczajając się, że on i tylu, tylu innych, wszyscy nie żyjemy.

~Clifford Brown (1930-1956). Remember Clifford płycie „Merkury”. Ghost of a chance jest przedostatnim gmentem na odwrocie tej płyty.

109

Europejskie ministerstwa po nocy

Warto jest być tłumaczem Jree-lance

bo z czasem poznaje się europejskie minister stwa po nocy, . i jest bardzo dziwnie, pełno posągów oraz przejść, gdzie wszystko mogłoby stę zdarzyć, a nawet czasami się zdarza. A kiedy mówię „ministerstwo”, należy rozumieć ministerstwo, również jednak trybunał albo parlament, na ogół wielkie kolubryny z marmuru, pełne dywanów i ponurych woźnych, zależnie od roku i miejsca mówiących po fińsku, angielsku, duńsku albo dracku. Tym systemem poznałem pewne ministerstwo w Lizbonie, potem londyński Dean's Yard, ministerstwo w Helsinkach, ohydną oficjalną budację w Waszyngtonie, D.C., pałac senatu w Bernie, że przez skromność nie będę wyliczał dalej, zaznaczając tylko, że zawsze było to po nocy, czyli że jakkolwiek widywałem je również rano i po południu, pracując na konferencjach, których były czasową siedzibą, prawdziwe potajemne poznawanie odbywało się po nocy, czym się pysznię, bo wątpię, czy inni mogą pochwalić się znajomością tylu europejskich ministerstw o porze, gdy gubią one nazwę, która jest maską, i stają się tym, czym są w rzeczywistości ustami cienia, zejściem do piekła, spotkaniem z lustrem, w którym nie odbijają się jaż żadne dzienne krawaty ni kłamstwa.

Odbywało się to zawsze podobnie .• praca przeciągała się do popołudnia, a był to kraj niemal nieznany, gdzie mówiło się językiem rysującym w uszach najrozmaitsze przedmioty i nieprzenikalne wielości, i nawet nie warto było rozumieć poszczególnych słów, później znaczących co innego i niemal zawsze wiodących do jakiegoś korytarza, który, miał prowadzić na ulicę, kończył się podziemiem pełnym

tFree-lance (ang.)-nie związany etatem, angażowany sporadycznie.

112

R

akt lub strażnikiem zbyt uprzejmym, aby nie było to podejrzane.

Na przykład w Kopenhadze, gdzie pracowałem przez tydzień, była winda niepodobna do niczego, co przedtem widziałem, winda otwarta, funkcjonująca bez przerwy niby ruchome schody, runda ta jednak - zamiast spokoju wzbudzanego przez wyżej wymienione mechanizmy, o których wiadomo, że jeżeli nawet źle się obliczy moment wejścia na pierwszy stopień, w najgorszym razie noga obsunie się na następny z niewielkim wstrząsem - oferowała albo wielki czarny otwór, z którego powoli wynurzały się otwarte klatki (i właśnie do takiej klatki należało wejść we właściwym momencie po to, aby dać się unieść w górę lub w dół, przy czym oglądało się kolejne piętra, wiodące w regiony nieznane i zawsze ciemne), albo - rzecz gorszą, która zdarzyła mi się chyba przez manię samobójczą, czego sobie nigdy nie wybaczę - dopłynięcie do miejsca, gdzie klatki, osiągnąwszy najwyższe piętro, schodzą w ciemny, zamknięty obwód, a człowiek czuje się dosłownie o krok od jakiegoś strasznego objawienia, bowiem niezależnie od ciemności, przez długą chwilę coś jeszcze trzeszczy i kołysze, gdy klatka przekracza punkt wjeżdżania i zjeżdżania, tajemną wskazówkę wagi.

Pewno, że z czasem zaczynało się rozumieć tę windę, a nawet dla rozrywki wsiadało się do którejś z klatek i, paląc papierosa, podróżowało wśród spojrzeń woźnych z kolejnych dziewięciu pięter, ze zdumieniem kontemplujących wybitnie nie duńskiego pasażera, który bez przerwy wozi się po piętrach, ale nocą nie było woźnych, właściwie me było nikogo prócz nocnego stróża, który tylko czekał, aby kilku tłumaczy ukończyło swą pracę. Wtedy właśnie zaczynałem moje wędrówki po ministerstwach i w ten sposób poznałem je wszystkie, a w czasie tych piętnastu lat do moich koszmarów sennych dołączyłem rozmaite pokoje, galerie, windy,

schody pełne czarnych posągów, udekorowałem je chorągwiami, dołożyłem galowe sale i intern sujące spotkania.

Wystarczy trochę fantazji, ażeby zrozumieć przywilej tego bywania po różnych ministerstwach, niemal niewiarygodny fakt, że cudzoziemiec może nocą włóczyć się po miejscach, do których obywatel danego kraju nigdy nie miałby wstępu. Na przykład garderoby Dean's Yardu w Londynie, szeregu wieszaków, na każdym nazwisko, a na wieszakach płaszcze, kapelusze, nieraz teczki pozostające tam z powodu Bóg wie jakich dziwnych przyzwyczajień czcigodnego Cyryla Romneya lub Humphreya Barnes'a Ph.D. Jakaż niewiarygodna gra absurdów doprowadziła do tego, że sardoniczny Argentyńczyk mógł po nocy wałęsać się między tymi wieszakami, otwierać teczki, studiować podszeewki u kapeluszy?

Ale najbardziej oszałamiające było wracanie do ministerstwa późną nocą (zawsze były dokumenty z ostatniej chwili, które należało przetłumaczyć), wchodzenie przez jakieś boczne wejście (autentyczne drzwi dla upiora opery), gdzie woźny pozwalał mi wejść nie pytając o żadne zezwolenie i pozostawiał mnie wolnego, niemalże samego, nieraz dosłownie samego, w ministerstwie pełnym archiwalnych dokumentów, szuflad, nieustępliwych dywanów. Przecher dzień przez pusty plac, zbliżanie się do ministerstwa, odnajdowanie bocznego wejścia, często pod zawistnym okiem miejscowych nocnych przechodniów, definitywnie odciętych od możliwości wejścia do czegoś, co w pewnym sensie było ich własnym domem, ich ministerstwem, to oburzające przerwanie spójnej i fmlandzkiej rzeczywistości, od pierwszej chwili pogrążało mnie w nastroju odpowiednim do przyjęcia tego, co oczekiwało mnie wewnątrz, do tego powolnego, ukradkowego błędzenia samopas po korytarzach i schodach, i pustych salach. Moi nieliczni koledzy woleli ograniczyć się do znanego terytorium biura, w którym pracowaliśmy, i whisky,

117 116

s. 116-116

Paul Delvaux: Morze jest blisko (szczegóły); Nagi na schodach

ewentualnie śliwowicy, przed przystąpieniem do gstatniej partii pilnych dokumentów. Mnie o tej porze coś wzywało i mimo że trochę się bałem, zapaliwszy papierosa wychodziłem na korytarz i, zostawiając za sobą oświetlony pokój, w którym pracowaliśmy, zabierałem się do zwiedzania ministerstwa. Już mówiłem o czarnych posągach, teraz przypominam sobie olbrzyzue postacie w galenach berneńskiego senatu, w ciemnościach rozproszonych przez jedną lub dwie błękitne

żarówki, ich bezkształtne masy najeżone lancami, niedźwiedzie i sztandary, ironicznie mnie poprzedzające, aż do początku pierwszej galerii. Tam kroki dźwięczały inaczej, każde stąpienie podkreślało rosnącą samotność, coraz większą odległość od tego, co było mi znane. Nigdy nie lubiłem pozamykanych drzwi, korytarzy, gdzie podwójny szereg dębowych framug przedłużał głuchą grę powtórzeń. Każde drzwi ukazują mi rozpaczliwą niemożność przeżycia pustego pokoju, wiedzenia, czym jest pokój, kiedy jest pusty (nie mówię o wyobrażeniu sobie tego ni też opisaniu - zajęcia zbędne, mogące pocieszyć innych); korytarz ministerstwa, któregokolwiek z tych ministerstw o północy, sale nie tylko puste, ale i nieznanne (czy są wielkie stoły pokryte zielonym suknem, szafy archiwalne, sekretariaty lub poczekalnie, pełne malowideł i dyplomów, jakiego koloru będą tapety, jakiego kształtu popielniczki, a może w którejś ze ściennych szaf siedzi martwy sekretarz, może jakaś kobieta porządkuje papiery w olbrzymim sekretariacie Przewodniczącego Sądu Najwyższego... ?), powolny marsz dokładnie środkiem korytarza, nie za blisko pozamykanych drzwi, marsz w każdej chwili mogący zwrócić mnie ku oświetlonej zonie, ku hiszpańszczyźnie w ustach kolegów. Pewnej nocy w Helsinkach, na jednym z korytarzy, natknąłem się na zakręt nieoczekiwany w znajomej regularności pałacu: jakieś drzwi otwarły się na obszerny pokój, gdzie już księżyc był zaczątkiem obrazu

Paula Delvaux; podszedłem do balkonu i odkryłem ukryty ogródek, ogródek ministra czy może sędziego, mały ogródek otoczony wysokimi murami. Prowadziły do niego żelazne schodki z boku balkonu, całość w skali mrówczej, tak jakby minister był jakimś karzełkiem. Kiedy poczułem, jak niestosowna była moja obecność w tym ogródku, w środku pałacu, w środku miasta, w środku kraju, o tysiące kilometrów od mojego codziennego ja, pomyślałem o białym jednorożcu, umęczonym na małej pomerzchni, uwięzionej na błękitnym arrasie, uwięzionym w Cloister's, uwięzionym w New Yorku. Wracając przez wielką salę, ujrzałem na biurku kartotekę i otworzyłem ją: wszystkie fiszki były puste. Miałem przy sobie niebieski flamaster i przed opuszczeniem sali narysowałem na paru fiszkach kilka labiryntów i dołączyłem je do pozostałych. Zabawiła mnie myśl, że któregoś dnia zdumiona Finka natknie się na moje rysunki, co może nada bieg jakiejś sprawie, wywoła pytania urzędników, zdziwienie sekretarzy.

Przed zaśnięciem nieraz przypominam sobie wszystkie europejskie ministerstwa, które oglądałem nocą; pamięć je przetasowuje stwarzając jakiś nie

kończący się pałac w półcieniu; na zewnątrz może być Londyn albo Lizbona, albo New Delhi, ale ministerstwo jest tylko jedno i w jakimś jego kącie czyha to, co mnie wzywało po nocach i pełnemu lęku kazało się wałęsać po przejściach i korytarzach. Może oczekują mnie jeszcze jakieś nieznane ministerstwa, z którymi dotychczas nie udało mi się spotkać : wtedy znowu zapalę papierosa, aby mi dotrzymywał towarzystwa, podczas gdy będę gubił się pośród sal i wind, niejasno poszukując czegoś, czego nie znam i czego znaleźć nie pragnę.

iis

Gardel

Tea tekst okam! się pod koniec r. 1953 w miesigcmiku SUR wycóo~Cym w)~OOS Aires

Jeszcze parę dni temu jedynym argentyńskim skojanxniem, jakie nasunąć m~ mógł widok z mojego okna wychodzącego na rue Gentilly, były wróble, takie jak nasze, równie wesole, beztroskie i leniwe, jak te, które się kąpią w naszych fontannach lub tarzają w piasku na placach Buenos Aires.

Teraz pewni przyjaciele zostawili mi gramofon z tubą i płytą Gardela. Jest rzeczą usną, że Gardela należy słuchać przy pomocy gramofonu z tubą, ze wszystkimi wynikającymi z tego zmianami i odkształceniami. Z tuby głos jego wychodzi taki, jakim go słyszał lud, który, nie znając go osobiście, słuchał go po, patiach i mieszkaniach z początkiem lat dwudz>estych. A więc Gardel-Razzano : La cordobesa, El sapo y la comadreja, De mi tierra; a także sam jego głos z orkiestrą lub bez, głos jego wysoki i załamujący się przy akompaniamencie metalowych gitar, trzeszczących w głębi różowych lub zielonych tub: Mi nocte triste, Irg copa del olvido, El tafta del arrabal. Do słuchania go wydaje się niemal niezbędny poprzedzający rytuał nakręcania gramofonu, zakładania igły. Gardel okresu elektrycznych adapterów łączy się nam już z kinem, ze sławą, która zażądała od niego wyrzeczeń i zdrad. Ten dawniejszy, na patiach w porze mate lub w letnie wieczory, ten z kryształkowego radia lub z okresu pierwszych aparatów lampowych - to jest on w całej swojej prawdzie, w tych tangach, które określiły go i utrwaliły w naszej pamięci. Młodzi wolą Gardela z okresu El dia yue me quieras, przepiękny głos z towarzyszeniem orkiestry, żądający sztywnego kołnierzyka, liryzmu. My, którzyśmy wzrosli wśród tego pierwszych płyt, wiemy, ile stracił od Flor de fango do Mi

Buenos Aires querido, od Mi noche triste do Sus ojos se cerraron. Cały upadek naszej historii odbija

się w tej zmianie, jak i w tylu innych metamorfozach. Gardel z lat dwudziestych zawiera

i wyraża mieszkańca Buenos Aires, tak zwanego „porteño”, zamkniętego w swym małym, zadowolającym świecie; zmartwienie, zdrada, nędza nie są deszczem bronią, którą od następnego dziesięciolecia atakować będzie zarówno porteño, jak i prowincjusz, obaj pełni żalu i frustracji. Ostatnia wątpliwość deszczu chroni przed wtopieniem się w bolera i teatrem radiowym.

? Gardel żywy jeszcze nie wywołuje tych uczuć, Y które wyzwoli jego śmierć; budzą serdeczność, zachwyt, tak jak Legui, tak jak Justo Suarez. Daje i bierze przyjaźń, bez niejasnych erotycznych podtekstów, które podtrzymują renomę śpiewaków „tropikalnych”, odwiedzających nasz kraj, bez delectowania się złym gustem i pozerskim cwaniactwem, które tłumaczą triumfy takiego Alberta Castillo. Kiedy Gardel śpiewa tango, jego styl wyraża styl tego ludu, który go ukochał. Rozpacz czy wściekłość porzuconego przez kobietę są konkretną rozpaczą, konkretną wściekłością, zwróconą do ja

I kiedyś Juany czy Pepy, nie zaś agresywnym udawaniem, które łatwo rozeznaczyć w głosie „histerycznego śpiewaka tych czasów”, tak nastąpi

winnego na histerię słuchaczy. Różnica w tonie; moralnym między Lejam Buenos Aires que linda que lisa de estar śpiewanym przez Ciardela a wyciem Adios, Pampa mia w wykonaniu Castilla oddaje całą głębię tej różnicy, którą mam na myśli. Nie tylko wielka sztuka odzwierciedla procesy społeczne.

Raz jeszcze nastawiam sobie Mano a mono, które wolę od wszystkich innych tang nagranych przez Gardela. Słowa, bezbłędnie wyrażają

jącej ciężkie życie kobiety będącej kobietą lekkiego życia, w niewielu zwrotkach opiewają „wszystkie zdarzenia” wraz z nieomylną wróżbą ostatecznego upadku. Rozmyślając nad jej losem, z którym przez chwilę był związany, śpiewak nie wyraża ani złości, ani pogardy. Pograżony w swoim smutku, wspomina tę

120 121

była wątpliwość, jeżeli wymagała tego zalewu niskiej zmysłowości i ponurego humoru, które dziś płyną z głośników i z popularnych płyt, tym niemniej trzeba przyznać, że Gardel trafił w „najpiękniejszą chwilę”, w chwilę dla wielu z nas

ostateczną, niepowracalną. W jego głosie, w tym dźwięcznym lustrze porteńcowaniaka, odbija się Argentyna, którą coraz trudniej wywołać z pamięci.

Chciałbym zakończyć te stronice anegdotą. Skierowana jest - oby skutecznie - przeciw muzykom wykrochmalonym. W restauracji przy ulicy Montmartre pomiędzy przekąską a mięsem zacząłem mówić z Jane Bathori o mojej czułości dla Gardela. Wtedy dowiedziałem się, że przypadek zetknął ich kiedyś w samolocie. „I jaki ci się wydał Gardel?” - zapytałem. Głos Bathori, ten głos, który swojego czasu

kobietę i dochodzi do wniosku, że w całym jego podłym życiu była ta jedyna dobra kobieta. Do końca, wbrew pozorom, będzie bronił uczciwości swej dawnej przyjaciółki. I będzie jej życzył jak najlepiej, będzie jej życzył, żeby niezależnie od alfonsów i pieniędzy - chłopaki mówiły o niej : „To była dobra dziewczyna”.

Może dlatego najbardziej lubię to tango, że jest ono jakąś miarą tego, kim naprawdę był Carlos Gardel. Jeżeli jego pieśni poruszały wszystkie rejestry popularnego sentymentalizmu od nieubłaganej nienawiści aż do radości śpiewu dla śpiewu, od apoteozy zwycięskich dżokejów aż do chwalenia osłabniętej policji, niezapomniane miejsce, w które na zawsze wpisała się jego sztuka, zajmuje to właśnie tango, pełne zamyślenia, gdzie z pogodą mówi się o klęsce bez ratunku. Jeżeli ta równowaga

przekazywał nam kwintesencję Debussy'ego, Faurego, Ravela - odpowiedział mi ze wzruszeniem : „Pełen wdzięku, rzeczywiście uroczy. A jak przyjemnie z nim rozmawiać!” I po przerwie, z zupełną naturalnością: „A w dodatku ten głos !”

124

Nie ma głuchszego od

Tu, w Paryżu, niewiele czytam z tego, co wychodzi nad La Plata, bo my, sfrancuziali, jesteśmy, proszę panią, faktycznie niemożebni. Natomiast tłumy fam, nadziei i kronopiów, z bliżej nie określonych przyczyn, obrzucają mnie nie kończącymi się publikacjami pod postacią manuskryptów, zwitków, papirusów, rulonów, artykułów, pojedynczych kartek w teczkach albo bez, przede wszystkim zaś tomami drukowanymi w Buenos Aires lub Montevideo, że nie wspomnę o ciotkach, podtrzymujących płonąca żagiew niedzielnych dodatków, żagiew specyficzną, która w zetknięciu z moimi rękami natychmiast zmienia się w papierową kulę, ku szaleńczej radości Teodora W. Adorno, z miejsca zaczynającego koziołkować z nią w wojowniczym zwarcie.

Po trosze dlatego, a może zresztą i z innych powodów, zdaje mi się, że jeszcze ciągle mam dość wyczulone ucho na nasz sposób mówienia i pisania, i po trosze dlatego, a może zresztą i z innych powodów, zdarza się, że wiele książek i artykułów również zmienia się w papierowe kule, prawie nigdy „z intelektualnego punktu widzenia”, niemal zaś zawsze „z estetycznego punktu słyszenia”.

To, co powiedziałem, i to, co jeszcze nastąpi, mówię d propos Nestora Sancheza i jego książki *My dwoje*, którą przeczytałem parę lat temu w maszynopisie (Sancheza nie widziałem nigdy, czasem tylko dostaję od niego listy sztywno-sybiliczne). Obecnie wyszła jego książka i tak się złożyło, że przeczytałem parę recenzji i zrozumiałem rzecz niełatwo wchodzącą do głowy, a mianowicie, że nad La Platą ludzie z każdym dniem robią się większymi Beethovenami w materii stylu. Nie jestem ani krytykiem, ani eseistą i nie myślę bronić Sancheza, bo z niego już duży chłopaczek i wolno mu wieczorem samemu wychodzić; nawet nie biorę jego książki jako

znamiennego przykładu, ograniczam się do stwierdzenia, że jest to obecnie jedno z najlepszych osiągnięć w materii tworzenia stylu powieściowego, godnego tej nazwy, i że niezależnie od zasług czy też win Sancheza jest to rzadki przypadek osobowości w kraju, w materii wypowiedzi literackich tak jej pozbawionym.

Sanchez posiada wrażliwość muzyczną i poetycką na język: wrażliwość muzyczną dzięki poczuciu rytmu i kadencji, która sięga poza prozodję, aby opierając się na wszystkich zdaniach, ze swej strony opierających się na wszystkich akapitach i tak dalej, dojść do tego, że wreszcie cała książka nabiera rezonansu i przekazuje go niby pudło gitary: wrażliwość poetycką - bowiem w każdej prozie opierającej się na pokrewieństwie uczuć przekazywanie znaków ma zawsze drugie dno powstałe z przemilczeń, symetrii, polaryzacji i kataliz, na których opiera się sens istnienia wielkiej lite

126

ratury. Otóż tego wszystkiego, co zresztą ujmuję źle, większość recenzentów książki w ogóle nie była w stanie dostrzec, natomiast z przenikliwymt minami odkrywców rcucili się, aby opłakiwać to, co według nich było „galimatiasem”, „niejasnościami” - monotonne powtarzanie klasycznego mijania się krytyka, spoglądającego wstecz, z artystą, patrzącym naprzód.

Na innym miejscu mówię o drugim kamieniu obrazu - Jose Lezamia Limie. Jako obrońca spraw przegranych (innymi zajmują się pióra autoryzowane, ja zaś, jak

w piosence: „ani nim jestem, ani chciałbym być”), chcę kruszyć kopie w obronie owych solili ignoti. To, co teraz nastąpi, jest jedną z wersji złego nastroju i smutku pośród mate i pap><erosów; z góry proszę o wybaczenie mi ewentualnego braku informacji, ale nie prowadzę kartotek, a w dodatku w tym roku zajmuję się raczej słuchaniem Ornette Colemana t doskonaleniem się w grze na trąbce, instrumencie niesfornym.

Mały słowniczek,

aby~x >~ ~ę n~ro~~

Styl. 1. Definicja w encyklopedii jest trafna: „Specyficzny sposób mówienia albo pisania, czyli wyrażania swoich myśli i uczuć”. Ponieważ słowo „styl” odnosi się przeważnie do pisania i dlatego mówi się o „stylu pisania długimi zdaniami” i tak dalej, zaznaczam, że pod słowem „styl” rozumiem tutaj rezultat oszczędności wyrazu danego dzieła, jego cechy ekspresyjne i idiomatyczne. W każdym wielkim stylu język przestaje być środkiem „wyrażania uczuć i myśli”, zbliżając się do stanu-granicy, w którym nie liczy się już jako język, stając się wyłącznie obecnością rzeczy wyrażanej. Coś podobnego zdarza się czasem wykonawcom muzyki, którzy, doprowadziwszy do bez

A pośredniego kontaktu słuchającego z utworem, ~~ w pewnej chwili przestają działać w charakterze pośredników.

2. Takie rozumienie stylu można będzie lepiej ocenić z punktu widzenia bardziej otwartego, bardziej semiologicznego. jak go nazywają struk

„ turaliści, za de Saussure'em. Na przykład zdaniem Michela Foucauld w każdym opowiadaniu należy przede wszystkim odróżnić fabułę, to, co się opowiada, od fikcji, która „rządzi opowiadaniem”, która sytuuje narratora wobec tego, co powiada. Ale ta diada natychmiast okazuje się triadą. „Kiedy się po prostu gada, można spokojnie opowiadać

„ bajki; trójką, jaki tworzą narrator, rodzaj jego wypowiedzi i to, co opowiada, jest zdeterminowany z zewnątrz przez sytuację; żadnej fikcji. Natomiast w analogonie wypowiedzi, jakim jest dzieło literackie, stosunek ten może zaistnieć tylko wewnątrz samego aktu słownego; to, o czym się opowiada, musi samo przez się wskazywać, kto opowiada, z jakiej odległości, z jakiej perspektywy i jaki jest rodzaj wypowiedzi. Dzieło określa się nie tyle przez elementy fabuły czy ich uszeregowanie, ile przez

t~~ W studium o... Juliuszu Verne. Por.: L'Arc, Nr 29, Av-en-Provence 1966.

9 - Cortazar i

129

rodzaje fikcji ukazane jakby obocznie, przez sam wykład fabuły. Fabuła opowiadania mieści

się wewnątrz możliwości mitycznych kultury: ~" jej zapis wewnątrz możliwości tworu języko

wego, jej fikcja wewnątrz możliwości aktu mó- i

Pisarze fikcji między La Piaty

Odnosi się to do pisarzy bez wątpienia nie mających takiego poczucia stylu, jak ten, o którym była powyżej mowa. Jeżeli tylko trochę pogrzebać, głuchota stylistyczna staje się niemal symptomem nieudacności i, przyjąwszy, że prawdę mówi wytarte przysłowie, że styl to człowiek, człowiek argentyński lub urugwajski jest bezkarnym rozrzutnikiem wielu swoich wspaniałych cech. Odnosi się to również do tych pisarzy, którzy przy piątej czy siódmej książce są w stanie napisać: „Powiedziałem jej to pewnego ranka w mleczarni, podczas gdy nasze łokcie opierały się o zimny marmur”, tak jakby można było opierać o marmur łokcie naszej prababki i jakby marmur stolików w mleczarni zazwyczaj znajdował się w stanie wrzenia; a także do tych, którzy pozwalają sobie na nonszalancję w stosunku do Borgesa, produkując równocześnie rzeczy w stylu: „milczące przyzwolenie odwiecznego, władczygo wołania jego krnąbrnej, pełnej inicjatywy natury”, albo prostactwa w rodzaju: „twarzy, płonącej nieugaszonym ogniem hańby”, że nie wspomnę o tych, którzy dokładnie wyjaśniają: „wziął jej twarz w obie ręce”, z czego można by wnioskować, że inni są zdolni obejmować ją trzema albo ośmioma rękami ~

=~Na wypadek, gdyby ktoś zwrócił mi słuszną uwagę, że bardzo jest wygodnie cytować nie wymieniając nazwisk, zaznaczam, że powyżej wymienione cytaty zaczerpnąłem (w porządku alfabetycznym) z dzieł następujących pisarzy: Julia Cortazara, Maria Lancelottiego, Edwarda Mallei i Dalmira Saenza, po prostu dlatego, że te, a nie inne książki miałem pod ręką.

130

Tyle na temat najpospolitszych patałachów literackich; z dzieł ich, zasadniczo otoczonych szacunkiem, wydedukować można większy lub mniejszy brak słuchu w stosunku do elementów eufonicznych języka, do rytmu cząstkowego

i ogólnego oraz irytujący paradoks, że jakkol- I wiek napisane językiem przeraźliwie biednym

z powodu braku kultury i wynikających z tego ograniczeń słownictwa, niemal każde zdanie obfituje w słowa zbyteczne. Dużo gadać, by mało powiedzieć- oto dewiza pisana tego typu.

Mają słuch i nie

Już nie pamiętam, gdzie i kiedy powiedział Bńce Parafin, że tak będziemy traktowani, jak sami będziemy traktować język i literaturę. Islikogo wobec tego nie zdziwi, że raczej źle traktuję tych pisarzy znad La Platy, którzy w pisaniu widzą przede wszystkim pewien system znaków informacyjnych, jakby przejście od Remingtona do imprimatur polegało tylko na zdejmowaniu arkuszy z wałka.

Możliwe, że nigdy nikt nie rozstrzygnie problemu treści i formy, bowiem gdy tylko okaże się, że to problem pozorny, nasuwają się trudności innego rodzaju. Jeżeli można dowieść, że sposób wyrażania się zawsze w końcu odzwierciedla treść i że wszelki manichejski wybór pomiędzy tymi rzeczami prowadzi do katastro

fy, bo nie ma tutaj dwóch terminów, jest tylko jedna ciągłość (co nie zmienia faktu, jak to dzisiaj widać, że ta ciągłość jest bardziej złożona, niż się wydaje), można uznać, że osiągnięcie stadium pisarstwa zasługującego na miano literatury wymaga czegoś więcej niż wypełniania niebieskich i białych ryz, nie troszcząc się o nic innego poza poprawną składnią, do czego dochodzi w najlepszym razie jakieś niejasne wyczucie eurytmicznych wymogów języka. Wyznaję, że w pewnym okresie literatura, którą nazywam „głuchą”, wydawała mi się

132

przede wszystkim produktem tężcowego sposobu nauczania języka w naszych szkołach i wynikającą z tego niezdolnością do rozróżniania czegokolwiek. Później, obserwując fakt, że czwarta książka lksa pojawia się w witrynach

księgarskich, chociaż jest równie nienagannie fatalna jak pierwsza, doszedłem do gorzkich wniosków: wytrwałość w robieniu szmiry wydała mi się sygnałem innych zjawisk: nie należy zbyt wierzyć w praksis, by przyjąć, iż uważne praktykowanie literatury powinno doprowadzić do równoczesnego postępu w sposobie prowadzenia auta i odczuwaniu samej podróży. Jakże nie widzieć, że jedynym możliwym usytuowaniem autentycznego pisarza jest centrum literackiego atomu, gdzie cząsteczki - zarówno znane, jak i te, które dopiero należy poznać, układają się w doskonałej intencjonalności dzieła, w intencjonalności, która uwypukla

to wszystko, co je wywołuje, stwarza i przekazuje. Skoro nie ma postępu, skoro każda następna książka Iksa powtarza braki poprzednich, należy przyjąć, że jakaś skaza poprzedza fachowe doświadczenia, że unicestwia je i blokuje cenzurą (rozumianą psychoanalitycznie).

Zastanawiając się nad tą inicjalną przeszkodą, która może byłaby w stanie wytłumaczyć literacką głuchotę tylu piszących, i skupiwszy się, dla zrozumiałych powodów, na środowisku pisarzy znad La Platy, zrewidowałem nasze niemożności, jak to już kiedyś, z innego powodu i na innym terenie, zrobił Borges. Zacząłem, jak wyżej, od wspomnień parodii lingmstycznego i literackiego wykształcenia, jakie dawano w moich czasach młodym Argentyńczykom, wykształcenia pełnego patriotyzmu, bijącego na głowę patriotyn San Martena i Bolivara, którzy wykończyli hiszpańskie wojska, nie odcinając się mimo to od hiszpańskich korzeni. Profesorowie hiszpańskiego i literatury w naszych szkołach dopuszczali się w umysłach uczniów najpotworniejszego ojcobójstwa, sącząc w nie śmierć przez miesiące zanudzania ich infantem Juanem Manuelem, Arciprestą, Cervantesem i wszystkimi klasykami, którzy mieli nieszczęście wpaść w pułapkę szkolnych programów lub lektur obowiązkowych. Wyjątki można porównać do tego jedyne go pączka z konfiturą, który uśmiecha się do dzieci z wielkiego półmicha pustych. Ja na przykład miałem szczę

R

a s t

n,r-~ .,~. __-~

ście, że za kilku idiotów dostałem jako profesora ni mniej, ni więcej tylko Artura Marasso, możliwe zresztą, że i ty, czytelniku, wygrałeś na loterii podobny los. Ale są to lotene Heliogabala, statystycznie mówiąc, kształcimy się (czas przeszły jest pewnie równoznaczny z terażnie~szym, od dawna już jestem daleko, więc tego nie wiem) na mezna~omości Matek języka, nieznajomości głęboko sięgających stałych elementów, które powinniśmy byli poznać, zanim przystąpiliśmy do freudowskiego ojcobójstwa : nawet i tego nie zrobiliśmy świadomie, bowiem mówienie wzor~n mętów: „Te, ciapciak, odwal się od moich moniaków”, albo wzorem gaLet: „kompleksowe rozwiązanie problemów ekonomicznych na miarę człowieka”, albo

wzorem powieści : „hydra pożądania konwulsyjnie wżerała się w jego psychikę”, nie stanowi ani zdobyczy, ani strat językowych, nie jest buntem ani cofnięciem, ani zmianą, a tylko biernością mątwy, z konieczności podda~ającej się okolicznościom.

Równolegle myślałem o neutralizującym i dewitalizującym wpływie thunaczeń na nasze poczucie językowe. Między 1930 a 1950 czytelnik znad La Piaty przyswajał sobie cztery piąte światowej literatury współczesnej w przekładach, a znam zbyt dobrze zawód tłumacza, żeby nie wiedzieć, że w takich wypadkach język redukuje się do roli wyłącznie mfonnacyjnej, że tracąc swą oryginalność gubi podniety eufoniczne, rytmiczne, chromatyczne, strukturalne, stępia wszystkie kolce swego stylu, które powinny kłuć wrażliwość czytelnika, ranić go i drażnić poprzez uszy, oczy, struny głosowe, zapach, grę rezonansów i skojarzeń, a nawet wydzielanie adrenaliny, która, wchodząc w krew, modyfikowałaby system refleksów i reakcji, zachęcając do brania udział~ w tym życiowym doświadczeniu, jakim jest opowiadanie lub powieść.

Wprawdzie począwszy od roku 1950 wielka rzesza czytelników znad La Piaty odkryła

literaturę zarówno własną, jak i reszty swojego kontynentu, ale zło już się stało, i podczas gdy z jednej strony duża część pisarzy tworzyła już z porycji zdegradowanych (o czym powyżej) - z drugiej czytelnicy, nie mający już żadnych wymagań, czytali autora urugwa~skiego czy też meksykańskiego z tą samą bierną akceptacją znaków własnego języka, z jaką czytali Manna, Moravię czy Mauriacę w tłumaczeniu. Istnieją co najmniej dwa rodzaje martwych języków, ale ten, którym posługują się ci pisani (i czytelnicy), to ten gorszy, przy czym może go nie uspramedliwia, bo jego śmierć jest jakby odwrotnością autentyzmu, a tylko od nas zależałoby przemienienie go w jasnym słońcem oświetlone - życie.

Ale cóż? Jeżeli nie ma - jak mawiał Unamuno - ucha, jeżeli nie ma zasadniczego rytmu, odpowiadającego pewnej ekonomii zarówno intelektualnej, jak estetycznej, jeżeli nie ma niezachwianego poczucia ani słownictwa, ani składni, ani osiągnięć, ani wykroczeń językowych, które tworzą styl wielkiego pisarza, a autor i czytelnik są współnikami siedzącymi

;; w tej samej celi o tym samym suchym chlebie szkoda gadać, leżymy, bracie.

Zadawałem sobie również pytanie, jakie są rozkosze „literackiego konkubinatu” i na jaki słowny znak reaguje Eros pisarzy i czytelników znad La Piaty,

spółkujących z identycznie roztargnionym wyrazem koguta i kury. Pierwszy lepszy voyeur naszej obecnej literatury szybko odkryje, że te dziewczuszki (płeć nie ma tu znaczenia) zadowolają się powierzchownym orgazmem klitorisu, nigdy niemal nie dochodząc do waginalnego. W ten sposób informacja

' i przesłanie, zatrzymane na progu przez naiwność i nieudolność, tracą możliwość pełnego erotycznego zaspokojenia, które rodzi się z zetknięcia z każdą literaturą rzeczywiście godną tej nazwy.

W Argentynie rozkoszowanie się lekturą kończy się - w niemal zawsze słusznym przy

136 137

puszczeniu, że nic się za tym nie kryje - na skraju jasno wyłożonych treści. Początki głębszych rozkoszy mogą dać ewentualne wycieczki autora w jakąś swobodę językową w dialogach, gdzie lunfardo oraz dialekty z rozmaitych prowincji chociaż na chwilę zastępują oddech żywego języka. Ale gdy tylko pisarz, mały, zeszywniały bożek, pomiędzy te dialogi usiłuje wtrącić „komentarz odautorski”, natychmiast wracamy do głównych znaków. Niestety, nie zauważa tego ani szary czytelnik, ani większość krytyków, dla których literatura równa się luksusowej informatyce.

Między nami mówiąc, jest chyba bardzo niewielu twórców i czytelników wrażliwych na ' styl jako na strukturę „oryginalną” w obydwóch

znaczeniach tego wyrazu, na strukturę, w której wszelki impuls i znak mierzy ku siłom najwyższym, działa na wysokość, szerokość, głębokość, pobudza i wzrusza, porusza i przemienia - „alchemia słowa”, której ostateczny sens

'- leży w przesunięciu operacji poetyckiej w kierunku równie skutecznego, alchemicznego działania na czytelnika. Pozostawmy na boku powierzchowny pseudostyl, przeważnie przychodzący do nas z towarzyskiego ple-ple Hiszpanii (ta druga Hiszpania drzemie i czeka), który polega na krągłych zdaniach, usztywnieniach głosu, obrzucaniu luksusowymi przymiotnikami i jazda dalej, w rodzaju: „oczy napełniły mu się głębokim smutkiem na y dok zmniejszającej się, tak dotąd krągłej, kupki pieniędzy” lub: „kilku panów z rodziny szanownej, poważnej, zgodnej, zadowolonej z siebie, zarówno dojrzałych, jak i młodzieńcy...”

Cała ta cudowna kwiecistość umrze śmiercią " naturalną, zaś jej ostatnimi echami będą pożegnalne mowy ku czci ich autorów na cmentarzu Chacarita. Prawdziwym niebezpieczeństwem nie są te dęte orkiestry języka, lecz

Dialekt niższych warstw Buenos Aires. (Przyp. tłum.

139

głuchota. Zło leży w dobrowolnym zubożaniu wyrazu (równoległym do cholernego wydymania się Hiszpanów), równocześnie z przecenianiem anegdoty, na której opiera się tekst. Nie trzeba zaznaczać, że przy niedobrej transmisji odbiór oscyluje między niepełnym a fałszywym. Literacko wciąż jesteśmy w epoce kryształkowego radia. Czy zrozumiemy w końcu, że w tym fachu zarówno przekaz, jak i przekazujący nie tworzą światowej unii pocztowej, nie są listem i listonoszem.

7~x~ie na tym etapie pos~a~kiwań

- Nie pieprz, bracie - słycać z którejś strony; chociaż wrażliwy jestem na tego rodzaju aluzje, nie odejdę, póki me wypowiem ostatniej uwagi, bowiem w tym punkcie medytacji podejrzewam, że obojętność na sprawę stylu, zarówno u autorów; hak i u czytelników, nasuwa myśl, że przekaz, tak łatwo rezygnujący ze stylu, sam w sobie niewiele musi być wart. Mam na myśli coś więcej : moralne korzenie tego, co zdarza się nam w dziedzinie literatury, to, co, zanim jeszcze ty podziałac na nas negatywne wpływy ~ i tłumaczeń, już mieliśmy we krwi: fakt bycia Argentyńczykiem lub Urugwajczykiem. Tak w literaturze, jak i w wielu innych dziedzinach na naszą niekorzyść działają nasze plusy: inteligentni, giętycy, w razie potrzeby szybko unieniający kierunek, pozwalamy sobie na smutny luksus nieszanowania elementarnego dystansu dzielącego dziennikarstwo od literatury, amatorstwo od nawodownstwa, powołanie od pracowitości. Dlaczego statystycznie nasi naukowcy więcej są wari od naszych pisarzy? Nauka i technika nie znoszą improwizacji, wyskoków i łatwizny (w tej samej mierze, w jakiej nasi literaci wciąż naiwnie wierzą, że pisarstwo na nie pozwala), wobec czego w najlepszy sposób wykorzystują nasze

zaiety. W literaturze, jak w futbolu, w boksie i w teatrze (zawodowym), łatwość nasza staje się samozadowoleniem, czymś podobnym boskiemu prawu do pisania, czytania lub bezbłędnego strzelania bramek. Wszystko zostało nam dane, a więc należy nam się wszystko, państwo to my, ten, kto idzie z tyłu... i tak dalej. Ale za każdego Pascualita Perez lub Jorge Luisa Borgesa jakie cięgi, bracie, na każdym kroku. Viva yo - oto żarcik, którego naczytałem się i napisałem po dziurki od nosa na

wszystkich murach mojego dzieciństwa, niemal zawsze w towarzystwie drugiego żarciku, który także nas określał: Puto yo.

Tym sposobem pewnego pięknego dnia ogłaszamy się pisarzami lub czytelnikami, ex officio, bez nowicjatu przechodząc od niejasnych lektur do okrągłego redagowania naszej pierwszej powieści i do powoływania się na patriotyczne instynkty biednego wydawcy, który niewiele rozumiejąc z tego, co się dzieje, przerażony, opuszcza żaluzję swego katalogu. Kiedy czasem postanawiałem zmarnować noc, szedłem na róg San Martin i Corrientes lub do jakiejś kafejki 'na Saint-Germain-des-Pres i tam przysłuchiwałem się rozmowom niektórych pisarzy i czytelników argentyńskich na temat prądu, który uznają za obow~nążający, a który grosso modo polega na autentyzmie (?), na patrzeniu prosto w oczy rzeczywistości (?), na wykarczowaniu borgesowskich bizantyzmów (z hipokryzją załatwiając sprawę swego kompleksu niższości w stosunku do tego, co najlepsze u Borgesa, przy pomocy znanego zabiegu wytykama mu jego smutnych, polityczno-społecznych aberracja nie mających nic wspólnego z dziełem, które w ten sposób pragną umniejszyć). Było i jest rzeczą interesującą opisywanie, jak te cwaniaki doszły do przekonania, że dość jest być sprytnym, inteligentnym i mieć za sobą sporą dozę lektur, aby reszta była już tylko kwestią baskerwilów i garmondu. Jeżeli mówisz o Flaubercie, wyskakują ci z rzeczami w ro

dzaju la tranche de vie, nie myśląc o tym, że Gustaw osmalił sobie rzęsy. Trochę chytrzejsi odpowiadają ci, że Balzac i Emily Bronte lub D. H. Lawrence nie musieli tak się gimnastykować, żeby stworzyć arcydzieła, zapominając, że tak jedni, jak drudzy (wyłączając geniuszy) ruszali do walki z lancami ostrzonymi przez wieki wspólnych tradycji intelektualnych, estetycznych i literackich, podczas gdy my zmuszeni jesteśmy do stwarzania języka, który by musiał, po pierwsze, wyprzedzić don Ramira i inne mumie hiszpańskie, po drugie, ponownie odkryć tę hiszpańszczyznę, co wydała Quevedo lub Cervantesa, nam zaś dała Martina Fierro i Recuerdos de Provincia, która by umiała wymyślać, otwierać drzwi, bawić się, zabijać na lewo i prawo jak każdy naprawdę żyjący język, a przede wszystkim, która by uwolniła się od prozy dziennikarskiej i translatorskiej, aby w końcu ta generalna wyprzedaż nędz i blasków przywiodła nas któregoś dnia do stylu zrodzonego z długiej i płonącej medytacji nad naszą rzeczywistością i naszym sposobem wyrażania się.

Ostatecznie - na co się tu skarżyć? Czyż to nie cudowne, że musimy utorować sobie drogę wśród niejasności języka, która, jak zawsze, nie jest niczym więcej niż niejasność w nas samych?

Tu, we Francji, co roku publikuje się tony nic nie znaczących książek, dowodzących, jak łatwy może być dla przeciętnych język dostępny w całej swojej skuteczności, w rozumieniu szkolnym. Kiedy czasem wychodzi jakaś wielka książka, logiczne jest, że wzbudza naszą zawiść i użytek, który umie zrobić geniusz z takiego języka, jak francuski albo angielski. Ale i nasze książki mogłyby dojść do tego, aby były wielkie, gdyby za każdym razem były walką o podbicie języka, a nie marzeniem o kwiecie paproci. Szkoda, że tu, niestety, po raz drugi wkracza brak chęci do walki, naiwność lub łajdactwo dążenia, aby zdobywać nie zadawczy ani jednego udane

142 i

go ciosu: la fiata, lenistwo znad La Platy, tak godne pochwały w lecie, w porze sjeisty, tak godne polecenia pomiędzy jedną książką

drugą, tak pięknie meblujące nasze sny gorzką matę i wspaniałym byczeniem się, w melkiej mierze ponosi winę za naszą współczesną bibliografię. Ciao.

Dokoła dnia

w trzecim świecie

Raport Amerykanina na temat dramatu dzieci południowowietnamskich

Nowy Jork, 22 grudnia (AFP). Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dzieci zmarło w Wietnamie od 1961 roku jako ofiary wojny. Przeszło siedemset pięćdziesiąt tysięcy zostało rannych, okaleczonych, poparzonych napalmem. Wiele tysięcy dzieci umiera z wycieńczenia, głodu i chorób zakaźnych w szpitalach, przepełnionych i pozbawionych niezbędnego wyposażenia. Więcej niż dziesięć tysięcy dzieci rozlokowano po sierocińcach nie posiadających najprymitywniejszych urządzeń. Tysiące ginie w obozach przesiedleńczych, dziesiątkowane przez gruźlicę i tyfus. Tysiące porzuconych żebrze i wałęsa się po miastach. Oto cyfry przedstawione przez Williama Peppera, dyrektora centrum „Studiów i badań do spraw dzieci” w Mercy College, katolickiej instytucji w stanie New York, jako rezultat sześciotygodniowej ankiety przeprowadzonej w Południowym Wietnamie zeszłej wiosny.

Raport Williama Peppera ukazał się w postępowym miesięczniku Ramparts, opatrzony przerażającymi zdjęciami. Według Peppera, od 1961 roku w Wietnamie zginęło około czterystu piętnastu tysięcy osób ludności cywilnej, czyli sześciu

cywilów na jednego wietnamskiego żołnierza. Jako że pięćdziesiąt procent ludności Wietnamu Południowego ma mniej niż szesnaście lat, zaś wszyscy ludzie powyżej tego wieku walczą, nie ulega wątpliwości - pomada autor - że co najmniej siedemdziesiąt procent ofiar napalmu użytego przeciwko wsiom to dzieci.

Poza tym autor opowiada o przerażających warunkach, w jakich znajdują się w Wietnamie ranni. W odległych wioskach nie ma ani le

karstw, ani żadnej możliwości pomocy lekarskiej. Transport trwa tak długo, że ci, którzy p><zeżyją, przybywają do szpitali z wszelkiego rodzaju komplikacjami. W samych szpitalach, gdzie na siedmiuset chorych przypada niecałe trzysta łóżek, nie sposób zapewnić im należytej opieki.

Brak lekarstw, antybiotyków, krwi do transfuzji; niewystarczające jest wyposażenie, śmiesznie mała ilość lekarzy: dwustu na cały Południowy Wietnam. Lżej ranni zostają pospiesznie opatrxni, po czym ustępują miejsca nowo przybyłym. Nieraz, w przypadkach beznadziejnych, kładzie się koniec cierpieniom przy pomocy zastrzyku. Nieraz amputuje się bez koniecznej potrzeby, po prostu z pośpiechu. Przy wszelkich brakach w zakresie personelu i leków - zdaniem Peppera - położenie utrudniają jeszcze sympatie i antypatie polityczne. Lekarze, których podejrzewa się o przekonania antyrządowe, nie otrzymują ani funduszków, ani leków. Organizacje charytatywne np. „Terre des Hommes” z siedzibą w Szwajcarii, walczą z trudnościami natury politycznej.

Pepper mówi jeszcze o tysiącach dzieci w ohozach dla wysiedlonych, chorych na dżumę, cholera, tyfus, gruźlicę, o dziesięciu tysiącach sierot przygarniętych przez instytucje, w których brak wszystkiego, tak pożywienia, jak leków. Sygnalizuje, że tysiące dzieci rozrzuconych po melkich miastach żyje na ulicy żebrząc i prostytuując się już w wieku lat dziesięciu. W końcu mówi o rozpaczach młodych, prowadzącej nieraz do samobójstwa.

Pismo Ramparts podało do wiadomości Henri Labouisse'a, prezesa Unicefu, dokument sporządzony przez Peppera i fotografie przyw~ezione z W>etnamu oraz skierowało do Umcefu wezwanie, ażeby jak najszybciej przeprowadzić ankietę na temat dzieci-ofiar wojny, wydać odpowiednie rozporządzenia i pospieszyć im z pomocą.

Porywanie nieletnich w Wenezueli

„...Ale sprawa ta nabiera specyficznej wymowy w związku z problemem żebractwa, i to nie dlatego, że ofiary tej nikczemności po prostu zmusza się do żebrania, ale dlatego, że fakt ten pociąga za sobą coś o wiele straszliwszego i bardziej nieludzkiego: okaleczanie”.

Tego typu porywanie nieletnich i jego konsekwencje po raz pierwszy zostały zasygnalizowane w marcu 1965 roku przez psychiatrę Hernana Quijadę, przewodniczącego komisji do walki z przestępczością. W doniesieniu swym Quijada ujawnił groźnego zbrodniarza wojennej narodowości niemieckiej, który jakoby był sprawcą okaleczania dzieci, aby je zmuszać do żebractwa.

W maju 1963 roku w komendzie policji w El Recreo zatrzymano ślepego. Był to Kolumbijczyk, Abraham Remolino, prowadzony przez nieletniego, pochodzącego z Santander del Norte (Kolumbia). Chłopiec, indagowany, zeznał, że nie jest żadnym krewnym Remolina, że przywieziono go z Kolumbii, zwiódłszy obietnicami, że dostanie samochód, po czym sprzedano ślepemu 7a pięćset bolivarów.

W czerwcu tegoż roku pracownicy komendy policji w El Recreo zatrzymali pod mostem, położonym we wschodniej części miasta, grupę ludzi bez dokumentów, w której rozpoznali członków międzynarodowej bandy porywaczy dzieci. Ludzie ci sprzedawali swoje ofiary po pięćset bolivarów od sztuki, w charakteru przewodników dla ślepych.

Jeden z tych ludzi, Pedro Ignacio Rincón Granados, został wydalony z kraju przez Urząd dla Spraw Cudzoziemców 31 października 1962 roku, po ujęciu go wraz z nieletnim Luisem Francisco Torresem, który natychmiast poinformował władze, że pod pozorem jakichś obietnic został zwabiony do Caracas, po czym sprzedany wyżej wymienionemu ślepcowi przez handlarzy nieletnimi, którzy porywali dzieci

w miasteczkach leżących w interiorze Kolumbii, a potem przez granicę przemycali je do Wenezueli.

Tym razem Rincón Granados po raz drugi został zatrzymany z nieletnim, sziszącym mu za przewodnika; chłopiec podał sporo szczegółów na temat operacji dokonywanych na nieletnich przy handlarzy.

Według wiadomości z prasy, w tym samym okresie jakaś kobieta z Wenezueli w małym, pozbawionym obu rąk żebraku rozpoznała swojego syna, który dwa lata przedtem zaginął!”

Trzeba być

naprawdę idiotą, żeby

Od lat już o tym wiem, ale się tym nie przejmuję i nigdy nie przyszło mi do głowy o tym pisać, głupota bowiem nie wydaje mi się specjalnie atrakcyjnym tematem, zwłaszcza jeżeli idiotą jest ten, kto się nad nią rozwodzi. Może słowo idiota jest zbyt dobitne, ale wolę je z punktu, jeszcze ciepłe, położyć na talerzu, nawet gdyby przyjaciele mieli uznać, że przesadzam, zamiast użyć innych, jak: głuptyś, infantylny, niedorozwinięty, po to, żeby potem ci sami przyjaciele powiedzieli, że tym razem nie dosadzam. Niby nic, ale sam fakt bycia idiotą stawia człowieka poza nawiasem i, jakkolwiek ma to swoje dobre strony, jest rzeczą oczywistą, że chwilami budzi uczucie nostalgii, chęć przejścia na drugą stronę ulicy - gdzie zebrali się krewni i znajomi na tym samym poziomie umysłowym i dobrze się między sobą rozumiejący - by otrzeć się o nich trochę i odczuć, że różnica nie jest aż tak wielka i że wszystko idzie jak najlepiej. Niestety, wszystko idzie jak najgorzej, kiedy ktoś jest idiotą; na przykład teatr; idę z żoną i z kimś z przyjaciół na czeską pantomimę i balet syjamski, i nie ma wątpliwości, że jak tylko zacznie się przedstawienie, uznam je za cudowne. Bawię się i wzruszam bardzo łatwo, dialogi, gesty, tańce, wszystko to dochodzi do mnie jak jakieś cudowne wizje, klaszczę do bólu rąk, a nieraz lecą mi łzy albo śmieję się, że mało się nie posusiam, w każdym razie cieszę się życiem i tym, że miałem szczęście pójść dziś wieczorem do teatru albo do kina, albo na wystawę obrazów, gdziekolwiek, gdzie nadzwyczajni ludzie grają, pokazują albo robią rzeczy, o których przedtem się nie śniło - objawienia i spotkania, oczyszczające z chwil, w których nie dzieje się nic innego niż to, co się codziennie dzieje.

I jestem tak olśniony i tak zadowolony, że

w czasie przerwy wstaję i zachwycony dalej oklaskuję aktorów, mówiąc do żony, że ci Czesi to cudo, a scena, w której rybak zarzuca przynętę i nad podłogą widać chwiejącą się fosforyzującą rybkę, jest wręcz niesłychana. Moja żona także się ubawiła i klaskała, ale nagle widzę (ta chwila ma w sobie coś z rany, z chropowatej, wilgotnej dziury), że zabawa jej i oklaski były zupełnie inne niż moje, w dodatku prawie zawsze jest z nami ktoś z przyjaciół, kto też się bawił i oklaskiwał, ale nigdy tak jak ja, a teraz mówi rozsądnie i inteligentnie - sam to czuję - że spektakl

owszem, dobry, aktorzy nie najgorsi, ale same pomysły mało oryginalne, nie mówią o kostmach, a już scenografia co najwyżej przeciętna itede, itepe. Kiedy to mówią żona i .przyjaciel a mówią to uprzejmie i bez żadnej złośliwości rozumiem, że jestem idiotą, ale na nieszczęście za każdym razem, gdy człowieka coś zachwyci, zapomina o poprzednich doświadczeniach, które

~Y!' błyskawicznie wyzwoliły jego głupotę (podobnie jak się to zdarza korkom, latami towarzyszącym winu, a potem jedno pstryk i znów są tylko korkami). Chciałbym bronić czeskiej pantomimy i baletu syjamskiego, bo wydały mi się wspaniałe, i taki byłem szczęśliwy, patrząc na nie, że poważne i sensowne słowa moich przyjaciół czy żony bolą mnie pod paznokciami, chociaż znakomicie rozumiem, że mają rację i że spektakl wcale nie był aż tak dobry, jak mi się wydawało (właściwie nie wydawał mi się ani dobry, ani zły, an(nic, po prostu dałem się porwać temu, co widziałem, bo jestem idiotą, i to mi wystarczyło, żeby wyjść z siebie i znaleźć się tam, gdzie lubię się znajdować, jak tylko mogę, a mogę tak rzadko). I nigdy nie przychodzi mi go głowy spierać się z żoną lub przyjaciółmi, bo mem, że mają słuszość nie dając się unieść entuzjazmowi, wzięwszy pod uwagę, że rozkosze inteligencji i wrażliwości powinny się rodzić z trzeźwego osądu, przede wszystkim z podejścia komparatywnego, bazu

iso j isi

jącego - jak powiedział Epiktet - na tym, co już znamy, aby oceniać to, co poznajemy, bo to właśnie jest kulturą i sofrosyne. Więc w żadnym razie nie zamierzam z nimi dyskutować, ograniczam się do odejścia o parę metrów, żeby nie słyszeć dalszego ciągu porównań i osądów, usiłując równocześnie zatrzymać w sobie ostatnie obrazy fosforyzującej rybki unoszącej się nad sceną, choć moje wspomnienie już jest zmienione pnxz te inteligentne krytyki, które właśnie usłyszałem, i nie pozostaje mi nic innego, jak uznać przeciętność tego, co widziałem i co mnie jedynie porwało, bo nie mam wymagań i zadowolam się byle czym, o ile tylko ma kolory lub kształty trochę niekonformistyczne... Więc znowu przypominam sobie, że jestem idiotą, że byle co potr~ zabawić mnie w tym pokratkowanym życiu, a wtedy myśl o tym, co pokochałem i czym zachwyciałem się tego wieczoru, mać się i staje współnikiem innych idiotów, tych, którzy źle łowili lub źle tańczyli, w brzydkich kostiumach i nieefekownych układach, i jest to niemal pociechą, choć ponurą pociechą, że tylu jest idiotów, którzy tej nocy wyznaczali sobie rendez-vous w owej sali, by tańczyć, łowić i oklaskiwać. Najgorsze, że jak w dwa dni potem biorę gazetę i

czytam recenzję z tego spektaklu, prawie zawsze pokrywa się ona (niemal dosłownie) z tym, co tak inteligentnie i sensownie wyrazili moja żona i przyjaciele. Teraz już jestem przekonany, że nie być idiotą to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu człowieka... aż powoli udaje mi się zapomnieć, najgorsze jest bowiem, że w końcu zawsze zapominam, bo właśnie zobaczyłem na którymś ze stawów Lasku Bulońskiego kaczkę, a była tak cudowna, że nie wytrzymałem i kucnąłem na brzegu tylko po to, żeby gapić się na nią bez końca, na połyskliwą wesołość jej spojrzenia, na delikatną podwójną linię, którą pierś jej otwierała w wodzie stawu, coraz dalej i dalej aż po horyzont. Mój zachwyty nie rodzi się tylko z kaczki, nagle

coś się ze mną robi i kaczka czy też inna jakaś rzecz po prostu to polaryzuje, bo czasem to może być byle zeschnięty liść, chwiejący się na brzeżku ławki, albo olbrzymi różowo-pomarańczowy dźwig odcinający się na błękitnym tle popołudniowego nieba, albo zapach wagonu, kiedy z biletem w ręku wsiadamy do pociągu, podróż ma być długa i wiemy, że teraz wszystko będzie następowało po kolei, rozmaite stacje, kanapki z szynką, guziki, które się będzie naciskało, żeby gasić albo zapalać światło (jedno jasne, a drugie fiołkowe), wentylacja, którą można regulować, wszystko to wydaje mi się takie wspaniałe, że niemal nie mogę uwierzyć, że mam to wszystko tu, w zasięgu ręki, i w środku rosnąć mi zaczyna wierzba, czuję zielony deszcz rozkoszy, który nigdy nie powinien ustać. Ale wielu mi już powiedziało, że mój entuzjazm jest dowodem niedojrzałości (niby że jestem idiotą, tylko delikatniej wyrażone) i że nie wolno zachwycać się pajęczyną błyszczącą w słońcu, wychodząc z założenia, że jeżeli popadam w tego typu przesadę z powodu pajęczyny z kroplami rosy, to co mi zostanie na wieczór, gdy będą dawać Króla Lira? To mnie trochę zaskakuje, przecież zachwyty nie wyczerpuje się u kogoś, kto rzeczywiście jest idiotą, może się wyczerpuje u inteligentnych, którzy mają poczucie wartości i historyczności spraw, ale ja mogę polecieć z jednego końca Lasku Bulońskiego w drugi, żeby lepiej obejrzeć kaczkę, i w niczym mi to nie przeszkodzi tego samego wieczora skakać do góry z zachwyty nad śpiewem Fischera-Diskaua. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że głupota to możliwość nieprzerwanego zachwycać się rzeczami, które się człowiekowi podobają, z tym, że obraz fresków Giotta w Padwie nie osłabia mojej radości z powodu byle rysunku na ścianie.. Głupota jest jakimś rodzajem obecności i stałego zaczynania od początku; teraz mi się podoba ten żółty kamyk, teraz mi się podoba Zeszłego roku w Marienbadzie, teraz ty, myszko,

teraz ta niebywała lokomotywa sapiąca na Gare de Lyon, teraz ten zerwany, brudny afisz. Och, podoba mi się, tak mi się podoba, to wreszcie ja, znowu ja, idiota doskonały w swej głupocie, nie wiedzący, że jest idiotą, i tonący w swoich zachwytach aż do chwili, gdy pierwsze inteligentne zdanie wróci mu świadomość jego głupoty i każe mu - z oczyma wbitymi w ziemię, niezdarnymi rękoma hak najszybciej sięgając po papierosa - zrozumieć, a nawet czasem zgodzić się na to, że rozumie, bo przecież idiota także musi żyć, aż do następnej kaczki albo do następnego afisza, i tak w kółko.

Dwie opowieści zoologiczne i jedna prawie

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

Thun ludzi, rozkładany stolik na rogu ulicy, pełen puszek ze środkami owadobójczymi, i żar walący z nieba, ale nasz Jose, berecik na bakier; traktuje gapiów bez cienia uprzejmości, towar, który ma zaszczyt oferować, sam za siebie mówi i nie wymaga podlizywania się, środek owadobójczy w aerosolu pod ciśnieniem, niezawodny i niedrogi - dwie zalety, które rzadko chodzą w parce. Produkty, którymi handlują w drogeriach, mają prospektów od cholery i sprzedają je w kolorowych puszkach, na których widać zdychające muchy, ale przysięgam, że więcej jak połowa z nich to środki wzmacniające, psikniesz na robaka, a on, zachwycony, tylko nóżkami majda i drapie się na ściany, chętnie fikałby koziółki, w sumie za osiemdziesiąt pesos zaprowadziłeś go pan do doktora. Tu żadne takie, puszczałka skromna, wprost za darmo, a w ogóle nie rozchodzi się o nabieranie gości na obrazki w technikolorze, całość sama się reklamuje, uwaga, może mnie państwo szczerze wierzyć, a jak nie, to za moment same się państwo przekonają.

Jose bierze szklany słoik i podnosi go, żeby wszyscy mogli zobaczyć komara naturalnej wielkości, który bez entuzjazmu fruwa po małej

przestrzeni. Jose uchyla pokrywki słoja, przytka produkt w aerosolu i psik - porządnie zrasza dwuskrzydłowca. Wyżej wymieniony, jak przy

stało na mężczyźnie, lata deszcze około dwóch sekund, po czym przykleja się do szkła, jakby chciał wypocząć, wyciąga nóżki, nagle traci oparcie i spada na dno słoika, publiczność zaś zachłannie wpatruje się w jego efektowne i urozmaicone konwulsje aż do końcowego zeszywnienia.

- Dwie sekundy osiem, a zaczyna działać,

cztery sekundy pięć, a towar należy do państwa - sentencjonalnie wygłasza Jose. - Chwileczkę, nie pchać się, starczy dla wszystkich, najpierw ta pani tutaj, bo coś mi się rodzi, że jej się pieczonka przypala w piecyku. Sześćdziesiąt pięć peziaków i od dziś idzie pani z mężulkiem do łóża i robi sobie figle migle bez strachu, że jakieś robactwo będzie pani w tem trakcie na plecach siadać... oj, przepraszam, nie widziałem, że są dzieciaczki, lepiej zmieńmy temat. Dla pana puszczkę, proszę uprzejmie, dla panienki... ale ci się, laluniu, bluzeczka opina na... no, proszę tylko spojrzeć,

ale kolorki; przecież nic złego nie miałem na myśli. Uwaga, bo mnie krzywdę państwo zrobicie, do ogonka i po jednemu, jak się należy. Dla wszystkich starczy.

Kupujący rozchodzą się w różne strony, Jose chwilę odczeka, po czym podnosi słoik i potrząsa nim

- Hajda, Toto - powiada. - Nie widzisz, że jur poszli? Wstawaj, bracie, i zbieraj się do kupy, bo wyglądasz Jak zdychająca krowa. No, wstawaj, mówię ci, bo idą następne. Dobra, tera mi się podobasz, obleć do góry aż do przykrywki naokoło ze trzy razy, hak Pan Bóg przykazał, no prędze, pośpiesz się, bo stare tuż, tuż. No, fajnie, Toto - przychwala Jose odstawiając słoik na miejsce-leżeli będziesz się dalej tak prowadził, wieczorem usadzę cię na dwie minuty na dupie gospodyni. Puma sort, Toto, możesz mi wierzyć na słowo. E, co mi będziesz mówił, bracie, przecież nie od parady jesteśmy współnikami.

Kurę napisane przez

Co się nam niebywałe zdarza to. Właścicielkami jesteśmy świata nagle. Canaveral puszczo

na pozornie przyładka przez z niewinna do Amerykanów była rakietą. Zeszła może czegoś z i powodów powróciła z na nieznaną orbitę dotknęła ziemię. Plaf grzebienie nagle na i w spadły mutację nam weszłyśmy. Nagle histom się tabliczki stałyśmy sportów literatury mniejsza że zdolne niebywale są dość mnożenia chemii uczymy nawet do: hip będzie do kosmos teraz hurra kur należał hip.

O sposobie rozwiązywania kontrowersy pycó problemów

Jeżeli jakiś rząd uzna jakiegoś admirała za niezrozumiałego, w kraju będą się działy dziwne nxczy, bo dotąd nie słyszano, ieby admirałowi spodobało się uznawanie go za niezrozumiałego ani też aby rządy (cywilów) miały prawo uznawać admirałów za niezrozumiałych.

Cóż nastąpi, jeżeli mimo wszystko rząd to uzna? Wtedy admirał uznany za zadzwoni do innych admirałów i w jakimś miejscu na statku odbędzie się tajne zebranie, gdzie rozliczne odznaczenia i epolety będą się konwulsyjnie miotaly, usiłując wyjaśnić, eo znaczy niezrozumiałość, dlaczego uznaje się admirała za niezrozumiałego, a w wypadku gdyby to uznanie za było czymś umotywowane, jak to było możliwe, .by uznany za admirał wystąpił aż tak niezrozumiale, by to zostało uznane za, i tak dalej.

Najprawdopodobniej admirałowie będą solidaryzować się z uznanym. za w takiej mierLe, w jakiej wyżej wymienione uznanie za będzie obrażało dobre imię i honor kolegi, który w czasie swojej zasłużonej kariery nigdy nie dał najmniejszego powodu, ażeby go za takiego uznano. Wnioski : uszanowanie rządowego uznania za będzie równało się żeglowaniu całą parą ku anarchii i wymuszeniu rezygnacji. Wobec tak poważnej sytuacji i faktów nie do obalenia pozostaje tylko jedna

mo

solidarna odpowiedź: koncentracja eskadry na redzie i zbombardowanie siedziby rządu, którą jakiś nieprzytomny architekt wybudował nad samym brzegiem rzeki - co ze strategicznego punktu widzenia posiada swoje dobre strony.

Nie można jednak odrzucić i tej możliwości, że admirałowie, świadomi, że ich prawomocna reakcja-wywoła ze strony rządu ogólną mobilizację wojska wraz z lotnictwem (pod pretekstem, że w bombardowaniu zginęło parę tysięcy obywateli), wymogi na admirała uznanym za, żeby publicznie dowiódł, że uznanie za było bezpodstawne. W tym celu po poważnych na

i i co~ceZn~

radach przekonają admirała uznanego za, że musi niezwłocznie przystąpić do wyplucia gumy, którą żuje i z której robi bulki od ostatniego Bożego Narodzenia; w wypadku zaś gdyby uznany za admirał oznajmił, że tak cxni swoją gumę, że w żadnym razie jej nie wypluje, ścisną mu nos i będą trzymać tak długo, aż otworzy usta, w której to chwili okrętowy dentysta wydobędzie mu gumę szczypczykami, jakie dentyści okrętowi zawsze mafią w pogotowiu w przewidywaniu podobnych wypadków.

Gdy jui będzie zakończony ten etap, równie nieodzowny jak gorzki, admirałowie kostycznie i telefonicznie zawiadomią rząd, że admirał uznany za nie

tylko nigdy nie był niezrozumiały, ale że jego zrozumiałość jest dumą i radością admiralicji, z którego to powodu w terminie dwudziestoczterogodzinnym rząd musi cofnąć uznanie za pod groźbą poważnych represji. Rząd okaże zaskoczenie z powodu suchości tego oświadczenia i zażąda przekonujących dowodów rzeczowych, w którym to wypadku uznany za admirał będzie miał znakomitą okazję do wykazania, że jest admirałem doskonale zrozumiałym i że uznanie za jest pozbawione jakichkolwiek podstaw, kończąc epizod wymianą zdań i wzajemnymi zapewnieniami o lojalności i patriotyzmie.

Jako dodatkowy i spektakularny dowód rzeczowy, przesyłką poleconą rząd otrzyma pleksiglasowe pudełeczko z gumą do żucia, zapakowane nader troskliwie, aby nie pękła ostatnia, starannie przechowana, wyprodukowana przez admirała bulka, wyglądająca zupełnie na perłę, a wiadomo, że tak admirałowie, jak ich żony mają ogromny szacunek dla tych narośli, symbolizujących morze, nie mówiąc o tym, że autentyczne kosztują majątek.

What Happens, Minerva?

Sonie ot ts were ah~ady ftóe oeoes~ty bo explore the art m.t lay behveen me aria

Dick Higgins, pnedmowa do Four Suita.

Nie trzeba brać udziału w wielu happeningach, aby wiedzieć, na czym rzecz polega, zarówno dlatego, że istnieje na ten temat obfita literatura, jak dlatego, że prawdziwe happeningi przeważnie zdarzają się bez uprzedzenia i wtedy są najlepsze. Amerykański muzyk Benjamin Patterson wymyślił rzecz pod tytułem Lawful Dance, polegającą na zatrzymywaniu się na rogu w oczekiwaniu na zielone światło po to, by przejść na drugą stronę ulicy i tam znowu zatrzymać się w oczekiwaniu na zielone światło, po to, by wrócić na poprzednio opuszczoną stronę ulicy, którą to operację należy powtarzać ad usrandum. Higgins, któremu za wdzięczam tę wiadomość, twierdzi, że wyżej wymieniony happening dał mu okazję do zazna~omienia się z trzema bogatymi facetkami, które opanowawszy pierwsze zdziwienie na widok gościa, niezliczoną ilość razy przechodzącego tam i na powrót przez ulicę w dokładnej synchronizacji ze światłami, uznały, że tego rodzaju taniec jest bardzo zabawny, z czego wynikły daleko idące intymności i wiele rozmaitych nowych happeningów. Pomysł Pattersona może być praktykowany przez każdego, w dodatku można go uznać za dzieło potencjalnie kolektywne, skoro, jak widać na załączonym obrazku, panienki chętnie przyłączają się do tego tańca

Z Jeffersona Birthday. Something Else Press, New York. 1964. Większość publikacji tego wydawnictwa warto polecić tym, którzy pragną wiadomości na temat współczesnej antropologa. W każdym wypadku powinni zainteresować się nią ci Latynoamerykanie, którzy wciąż uważają, że John Coltrane, Ionesco-beckett, Jim Dine lub Heinz Karl Stockhausen są jeszcze awangardą czegokolwiek, podczas gdy w rzeczywistości już tylko wytrzepują mole z kamizelek.

163

W wypadku, gdybyś był lepszym aktorem aniżeli tancerzem, czytałem gdzieś, że Niemiec Paik (jeżeli to rzeczywiście Niemiec) pozostawił szczegółowe instrukcje, w jaki sposób każdy, kto tylko ma na to ochotę, może „robić” teatr. Wychodząc z założenia, że odległość dzieląca scenę od widowni odpowiada wygodnemu mieszkańskiemu eskapizmowi, dzięki któremu za cenę nabycia biletu i usadowienia się w krzesłach już się ma czyste sumienie, Paik uważa, że radykalniejszą opozycją w stosunku do tego zgniłego pojęcia byłoby całkowite zniesienie różnicy pomiędzy aktorami a publicznością (ideał, jak dotąd, jeszcze nigdy nie osiągnięty w normalnych happeningach) i dojście do anonimowego teatru, wywierającego na obecnych wrażenie lub nie - to obojętne, polegającego jedynie na doprowadzeniu zaczętego pomysłu do końca. Tak więc, aby dać ci najskromniejszy przykład: możesz zagrać w sztuce teatralnej polegającej na tym, że wsiądziesz do metra na stacji Vaugirard, a wysiądziesz na Chatelet. I nie chodzi tu o wysiłek aktora, który musi dokładnie wypełnić zalecenia Paika (właśnie takie, a nie inne). W ten sposób, jeżeli czytasz Monele, przechadzając się pod arkadami rue de Rivoli, również występujesz w anonimowym teatrze, o ile twoja lektura i spacer zgodne są z instrukcjami Paika. Z tych próbek łatwo wydedukować, że gama możliwości, którą ofiarowują dramatopisarze w stylu Dicka Higginsa, Paika, Thomasa Schmidta i innych kronopiów, jest niemal niewyczerpana.

Jak zwykle, ludzie myślący serio zabawiają się w wartościowanie : „trwałość-postęp-humanizm-kultura-etc.”, aby zaznaczyć z rozsądkiem - inna cecha przy okazji nadająca się do wartościowania - że najcharakterystyczniejszą cechą happeningów jest ich jałowość. Jestem już za stary, żeby przeżywać muzykę Filipa Cornera lub topologię Spoerriego, mam jednak zbyt dużo komórek Schultzego, żeby

165

pomysł w rodzaju tego, który rozwinął Paik w swym Omnibus Musik Nr 1, atakując od środka monotony podział na wykonawców i sztuczaczy (scenawidownia) przy pomocy systemu przeciwnego, a mianowicie: dźwięki brzmią po kolei w rozmaitych punktach budynku, a publiczność musi przenosić się z miejsca na miejsce, żeby je słyszeć. Istnieje koncert, mam wrażenie, że Filipa Cornera, polegający po prostu na rozwaleniu fortepianu i licytowaniu jego części wśród publiczności. W Paryżu wystarczy popatrzeć na wielkie blaszane fallusy, gdzie ogłasza się cotygodniowe koncerty, żeby zrozumieć, wraz z całą zawartą w tym nadzieją, likwidację instrumentu, który może już być słuchany tylko historycznie: począwszy od Schumanna, począwszy od Bartoka, ale już nie począwszy od Ciebie samego, w 1967 roku stojącego dokładnie w punkcie Bomby.

nie widzieć, w jakiej mierze tak potępione przez policję i impresariów pomysły po prostu przecierają drogę dla wielu usankcjonowanych „wartości”. Nie można pozostawać obojętnym na

Gniewna nota

Ponieważ tych parę zdań nie jest żadnym hintelektualnym hesejem na temat happeningów, chciałbym ewentualnie nowym hepigonom Herazma i Halfonsa Reyes podsunąć myśl, że wszelka krytyka, kpiny, zakazy policyjne, tezy, obozy pracy, strzyżenie czupryn, powoływanie się na kulturalne obyczaje lub dekrety oparte na epifenomenach działalności beatnikowo-podziemno-happeningowej są czystą hipokryzją ze strony przywódców kulturalnych czujących, że im parkiety drżą pod podszwami. Niechże happeningi, wystawy pop, seanse, na których się niszczy przedmioty użytku kulturalnego, będą kontrowersyjne same w sobie, niepotrzebne, idiotyczne, groźne lub po prostu śmieszne liczyć się powinna tylko ich świadoma motywacja; dlatego też nie powinno się w poważnych sprawozdaniach ani przemilczać ich, ani analizować z punktu widzenia marksistowskiego, liberalnego, nazi, zen i tym podobnych, ani też redukować do protestów lub rewindykacji. Może to i słuszne, tyle że daleko nas nie zaprowadzi. W literaturze latynoamerykańskiej dzieje się to samo: niepewność wobec beletrystyki ostatnich paru lat wyraża się w gorączkowych esejach interpretacyjnych, w których robi się wszystko, ażeby unieszkodliwić powieściopisarzy wywołujących ten zbawczy terror i odnawiających linię Romualda Gallegos (nie kończące się wańanty fałszywych pochwał „powrotu

do źródeł", „uniwersalnego kosmopolityzmu", „zejścia w podświadomość"), albo żąda się, aby związki pisarzy i herbatki u intelektualnych dam organizowały energiczne protesty przeciw tym kanibalom literatury, dla których nie ma nic świętego. Nie warto zaznaczać, że krytyka stwierdza kategorycznie, iż przeżywamy okres buntu jednostki, czego specjalnie groteskowymi formami są happeningi wszelkiej natury, wszelkiego rodzaju, przy czym ta sama krytyka nie waha się przyznać, że tak artyści, jak i pisane mają wiele powodów do buntowania się przeciwko panującemu porządkowi rzeczy. Zaledwie to powiedziawszy, niemal pochwaliwszy, krytyk wraca do swojego poprzedniego sposobu bycia i życia w niejasnym oczekiwaniu jakiejś ewolucji, która by wszystko naprawiła, nie pozbawiając nas ani służącej, ani domku na wsi. Ja, który to piszę, również nie umiem zmienić mojego życia, takie żyję prawie tak samo, jak dotąd. Wielu najzaciętszych protagonistów happeningu nie przekracza aktorstwa i agitatorstwa, a potem po prostu wraca do swych zwyczajów, nieraz nawet do gapienia się w telewizor.

Tak więc zostaje wyjaśnione, że ani nie przyznaję sobie prawa do wytykania tych rzeczy, ani nie myślę, by wytykanie ich tym, którzy to teraz czytają, miało w czymkolwiek pomóc, by inni czuli się mniej sami, jeżeli potrzebują poczucia wspólnoty i towarzystwa, ani bardziej sami, jeżeli wolą samotność, najwyżej dowiedzą się, że - jak to kiedyś sformułował Rene Daumal - są inni, równie samotni jak oni, i że samotność tak wielu (teraz już mówię ja) pewnego dnia zakończy się fałszywym poczuciem wspólnoty społecznej, które w rezultacie da tylko masy Słodujące, armie robotów, grupowe historie bobbr-soxers'ow, demagogie nastolatków, pośród dekoracji organizowanych przez gangsterów prasy i rozrywek. Happening jest chociaż dziurą w teraźniejszości. Wystarczyłoby wyrzeć przez taką dziurę, żeby dojrzeć coś mniej nieznośnego niż to, co każdego dnia znosimy.

przeog~~y kronopio

Kanoert Lo~sa Magtronga 9 listopada 1952 r. w Paryżu. Ten tekst od poprce~iego dzieli niemal piętnaście lat, ale nie mam wrażenia, żeby to był zbyt widorme: o jazae mówię zawsze tym samym glosam.

~P~ ~ ~. W tys~C dziewięćset pigócdziesi~tym dnim roku te afronice, które opublikowało pismo „L.iterackie Buenos Aires» dzięki prcyjs~i Daniela Devoto i A>bafa Salss. W wiele lat później kronopie wtargnęły t~oie drogi k~ow~ i stały się

doić ataoe po kawisrniacb, ea międzynwodowydr spotkanisd~ poetyckich, w rewolucjach socjtlistycznych i imych miejscach zguby.

Wydaje mi się sł~e prz~rukowaoie tego tekstu, który w odróżnieniu od imych jest óistoriq, jako 3x krooopie s~ sprawdzah~e, nie mówiąc o tym, że mnie osobiście wznsza i że Narcyz... etc.

Podobno ptaszek-uparciuszek, bardziej znany pod nazwą Boga, dmuchnął pierwszemu człowiekowi w bok, żeby obudzić w nim życie i ducha. Gdyby wtedy zamiast ptaszka dmuchnął Louis, człowiek o wiele lepiej by się udał. Chronologie, historie i tym podobne wymysły to jedno wielkie świństwo. Świat, który by się zaczynał od Picassa, zamiast na nim się kończyć, byłby światem zarezerwowanym dla kronopiów, które tańcowałyby na wszystkich rogach, a siedzący na latarni Louis dmuchałby całe godziny, strącając z nieba olbrzymie płyty gwiazd z malinowego kremu prosto do brzuszków dzieci i psów.

Takie myśli chodzą po głowie, kiedy siedzi się na widowni teatru Des Champs Elysées i czeka na zbliżające się wejście Louisa, który tegoż popołudn>a sfrunął z nieba nad Paryżem niby anioł, czyli przyleciał Air France'em, można sobie wyobrazić, co się tam wyprawiało : samolot pełen fam (portfele wypchane dokumentami i kosztorysami), a między nimi pękający ze śmiechu Louis, paluchem wskazujący krajobrazy, których famy nie chcą

169

oglądać, bo robi im się niedobrze. Potem Louis zajadający hot-doga, który stewardessa specjalnie dla niego zrobiła, bo sobie tego życzył, niechby zresztą spróbowała go nie zrobić, tak długo latałby za nią po całej kabinie, ażby go dostał. Wśród tego wsyrstkiego lądują w Paryżu, na dole już moc dziennikarzy, dzięki czemu rpam teraz zdjęcie z France-Soir, a na nim Louisa otoczonego białymi twarzami i, odrzuciwszy na bok wszelkie uprzedzenia, można powiedzieć, że na tym zdjęciu jego twarz jest naprawdę jedyną ludzką twarzą pomiędzy wieloma twanami reporterów.

A teraz proszę posłuchać, jak się mają rzeczy w teatrze. Na tej samej scenie, na której ongi wielki kronopio Niżyński odkrył, że w powietrzu unoszą się tajemne huśtawki i ukryte schody, co modą ku radości, za minutę zbawi się Louis i zacznie się koniec świata. Jasne, że Louis nie ma najmniejszego pojęcia o tym, że tego samego miejsca, na którym stawia teraz swoje żółte buciska, kiedyś dotykały baletki

Niżyńskiego, ale to właśnie cała zaleta kronopiów, że nie interesują się tym, co kiedyś miało miejsce, ani tym, że ten pan tam w łoży to księżę Walii. Niżyńskiego też guzik by obchodziło, że Louis będzie grał na trąbce w jego teatrze - te sprawy pozostawia się famom, a także nadziejom, które zajmują się zbieraniem kronik, ustalaniem dat i oprawianiem całości w safian z płóciennym grzbietem. Tego wieczoru teatr jest całkiem opanowany przez kronopie, które nie zadowolając się wypełnieniem sali po brzegi i wdrapaniem się na wszystkie lampy, włączają na scenę, gdzie układają się na podłodze, na każdym wolnym albo zadętym kawałku miejsca, ku niebywałemu oburzeniu bileterów, którzy nie dawniej jak wczoraj na koncercie harfy z fletem mieli do czynienia z publicznością tak wytworną, że proszę siadać, nie mówiąc o tym, że kronopie nie dały żadnych napiwków i nie oglądając się na bileterów same szukają swych

miejsc. Ponieważ bileterami są przeważnie nadzieje, zachowanie kronopiów źle na nie wpływa, więc głęboko wzdychając zapalają i gaszą swe latarki, co w ich pojęciu oznacza wielki smutek. Następnie kronopie przystępują do gwizdania i wrcasku, by wywołać Louisa, który, pękając ze śmiechu, umyślnie, już tylko dla hecy, jeszcze chwilę ich przetrzymuje, wskutek czego sala w teatrze Des Champs Elysees chwieje się jak grzyb, rozentuzjasmowane kronopie nadal wywołują Louisa, zaś setki maleńkich papierowych samolocików fruują na wszystkie strony włączając w oczy i za kołnierze zgorszonych nadziei i fam, zresztą również i kronopiów, które podnoszą się wściekle, łapią samolociki i odrzucają je z całej siły, czyli z deszczu pod rynnę, i wszystko idzie coraz gorzej w teatrze Des Champs Elysees.

Teraz wychodzi jakiś pan i chce powiedzieć parę słów do mikrofonu, ale ponieważ publiczność czeka na Louisa, a ten tutaj będzie truł bez końca, rozwścieczone kronopie wymyślają mu bez pardonu, kompletnie zagłuszając przemówienie, i widać tylko, jak pan otwiera i zamyka usta, co niebywale upodabnia go do ryby w sieci.

Louis nie bez przyczyny jednak jest przeogromnym kronopiem, więc mu się robi żal straconej przemowy i nagle pojawia się bocznymi drzwiami, przy czym pierwsza ukazuje się lego wielka bała chustka drgająca w powietrzu, za nią potok złota, który jest trąbką Louisa, również drgający w powietrzu, a wreszcie wychodząca z ciemności drzwi druga ciemność pełna światła, to właśnie Louis, który przesuwając się przez scenę - i skończył się świat, a to, co się zaczęło, to jedno wielkie pandemonium.

Za Louisem wsuwają się chłopaki z orkiestry, oto Trummy Young, co gra na puzonie, jakby obejmował nagą dziewczynę z miodu, oto Arvel Shaw, co gra na kontrabasie, jakby

173 . 172

obejmował nagą dziewczynę z cienia, i Cozy Cole, który znęca się nad perkusją niby marliz de Sade nad ośmioma nagimi, wychłostanymi kobiecymi tyłkami, po czym wchodzi dwóch innych muzyków, których nazwisk wolę nie pamiętać, a którzy znaleźli się tu albo pnxz pomyłkę impresaria, albo dlatego, że Louis zobaczył ich pod Pont Neuf zdychających z głodu (na dobitkę jeden nazywa się Napoleon, co samo przez się musiało być argumentem nie do odparcia dla tak przeogromnego kronopia jak . Louis).

Ale oto rozpętała się apokalipsa, wystarczyło, że Louis wzniósł w górę swą złocistą szpadę i pierwsza fraza When it s sleepy finie down South spada na ludzi niby lamparcia pieszczota. Z trąbki Louisa muzyka wyłazi jak wstęgi słów z ust świętych na prymitywach, w powietrzu zarysowuje się jego ciepłe, żółte pismo, i za tym pierwszym sygnałem rozszalało się Muskat Ramble, a my na widowni chwytamy się wszystkiego, czego można się chwytać łącznie z sąsiadami, na skutek czego sala przypomina kłębowisko oszalałych ośmiornic, a w środku Louis, oczy białkami do góry, skryte za trąbką, Louis z chusteczką pomewającą hak nie kończące się pożegnanie czegoś, ale czego, nie wiadomo, jakby musiał przez cały czas mówić „żegnaj” tej muzyce, którą stwarza i która się natychmiast rozplywa, jakby znał cenę swojej własnej, straszliwej wolności. Oczywiście przy każdym chorusie, kiedy Lou>.s karbuje loczki ostatniej frazy, a złota taśma urywa się, jakby przecięta lśnącymi nożycami, kronopie ze sceny skaczą po kilkanaście metrów we wszystkie strony, kronopie z widowni, nieprzytomne z zachwytu, wiercą się w swych fotelach, a famy, które znalazły się na koncercie przez przypadek albo ponieważ wypadło, albo ponieważ bilety były drogie, spoglądają po sobie z wyszukanie uprzejmymi wyrazami twarzy, lecz oczywiście nic nie rozumieją, głowa je boli jak nie

wiem co, a w opole to chciałyby u siebie w domu słuchać porządnej muzyki, prawdziwej i skomentowanej przez specy, albo być gdziekolwiek, byle daleko od teatru Des Champs Elysees.

Rzecz godna uwagi, że wśród grzmotu braw spadających na Louisa, gdy kończy chorus, on sam wcale nie usiłuje ukryć niebywałego zadowolenia z siebie, śmieje się ukazując wiel

e zębiska, macha chusteczką, chodzi tam i na powrót po scenie, wesoło zagadując do muzyków, bardzo kontent ze wszystkiego, co się dzieje. Po czym, korzystając z tego, że Trummy Young chwyciwszy za puzon wypuszcza z niego fenomenalne ilości skoncentrowanych dźwięków bombardujących lub w poślizgu, starannie wyciera sobie chusteczką twarz, a potem kark i oczy tak mocno, jakby chciał wetrzeć sam siebie aż do środka głowy. Z wolna odkrywamy, jak się to dzieje, że Louis na scenie porusza się jak u siebie w domu i jeszcze się bawi. Po pierwsze, na podwyższeniu, z którego Cozy Cole, podobny Zeusowi, razi błyskawicami i piorunami w nadnaturalnych ilościach, przechowuje całe góry chustek i chwyta jedną po drugiej, co chmła odkładając poprzednią, zmienioną w zupę. Rzecz jasna, że te ilości potu skądś się biorą, i w parę minut później Louis jest kompletnie odwodniony, wykorzystuje więc potężne zwanie miłosne Arvela Shawa z jego ciemnowłosą dziewczyną, by z Zeusowego podwyższenia zdjąć dziwny i tajemniczy czerwony kielich, wysoki i wąski, przypominający kubek do gry w kości lub naczynie zwane Graal, i napić się płynu, który wywołuje najsprzeczniesze przypuszczenia i komentarze ze strony asystujących temu kronopiów, jako że jedne twierdzą, iż Louis pije mleko, którą to teorię inne obalają warcząc z oburzenia, bowiem ich zdaniem w podobnym kielichu nie może być nic innego niż bycza krew lub kreteńskie wino, czyli jedno i to samo pod dwiema roz

174 175

T

maitymi nazwami. Tymczasem Louis odstawił kielich, w ręku trzyma świeżą chusteczkę i oto przychodzi mu ochota na śpiewanie, więc śpiewa, a jak Louis śpiewa, normalny bieg rzeczy zatrzymuje się, nie dla żadnej innej przyczyny, tylko dlatego, że musi się zatrzymać, kiedy Louis śpiewa i kiedy z tych ust, które przedtem wypisywały złote zgłoski na wstęgach, teraz wydobywa się ryk zakochanego jelenia, pragnienie łani zwrócone ku gwiazdom, brzęk trzmiela na sjeście.

Zagubiony w wysokiej nawie jego śpiewu zamykam oczy i wraz z dzisiejszym głosem Louisa wracają do mnie z minionego czasu wszystkie jego kłosy, jego kłos ze starych, na zawsze zagubionych płyt, śpiewający When your lover has gore, śpiewający Confessin', śpiewający Thankfull, śpiewający Dusky Stevedore. I chociaż nie jestem niczym więcej niż jakimś bezładnym drganiem w absolutnym pandemonium sali zawieszony u głosu Louisa niby kryształowa kula, na sekundę zagłębiam się w sobie i myślę o roku trzydziestym, kiedy poznałem Louisa przez

jego pierwszą płytę, o trzydziestym piątym, kiedy kupiłem mojego pierwszego Louisa - Mahogany Hall Stomp firmy Polydor. Więc otwieram oczy, a on tu jest na paryskiej scenie, otwieram oczy, a on tu jest po dwudziestu dwóch latach południowoamerykańskiej miłości, on tu jest i po dwudziestu dwóch latach śpiewa dla mnie, śmiejąc się całą gębą niesfornego dzieciaka, Louis kronopio, Louis przeogromny kronopio, O Louis - nagrodo tych, którzy na ciebie zasłużyli.

W tej chwili Louis odkrywa, że jego przyjaciel Hugues Panassie siedzi w krzesłach, co wprowadza go w niebywałą wesołość, wobec czego pędzi do mikrofonu, by poświęcić mu swą muzykę, po czym między nim a Trummy Youngiem wywiązuje się kontrapunktowy pojedynek puzonu z trąbką, coś do zerwania z siebie koszuli i porwania jej w strzępy, by ciskać nimi potem w powietrze, Trummy Young

12 - Cortazar „~t1:4~.

W

atakuje jak bizon, odskakuje i potyka się skręcając ci uszy w jedną stronę, ale w tej chwili Louis wbija się w chwilę ciszy i człowiek nie słyszy już nic poza jego trąbką, po raz nie mem który zdając sobie sprawę, że kiedy Louis dmucha, wszystkie myszy pod miotłę i cześć. Potem następuje pogodzenie, Trummy i Louis rosą sobie niby dwie topole, ciachając z góry na dół powietrze w ostatniej bójce na noże, która zostawia nas wszystkich w słodkim ogłupieniu. Koncert się skończył. Louis już pewnie zmienia koszulę myśląc o hamburgerze, którego mu przygotowu~ą w hotelu, i o tym, że weźmie prysznic, ale w sali wciąż jeszcze pełno kronopiów zagubionych w swych snach, kronopiów niechętnie rozgląda~ących się za wyjściem, każdy ze swoim wciąż jeszcze trwającym snem, w środku którego maleńki Louis wciąż jeszcze dmucha i śpiewa.

Podróż dokoła fortepianu Theloniousa Monka

Koncert kwartetu 11~elaoiouss Moaka w Genewie, manec 1966 .

W dzień Genewa jest siedzibą Narodów Zjednoczonych, ale nocą też trzeba żyć, a tu, jak z nieba, na wszystkich murach afisz, że Thelonious Monk i Charles Rouse, łatwo zrozumieć galop do Victoria Hallu po piąty rząd w samym środku, parę przysposabiających łyków w barze na rogu, mrówki radości, dziewiąta, która nie przestaje być wpół do ósmej, ósmą, kwadransem po ósmej, przy trzecim whisky Claude Tarnaud proponuje fondue, skonsternowane spojrzenia naszych żon, które potem zjadają większą część z resztkami włącznie, a wiadomo, że resztki są w fondue najsmaczniejsze, białe wino machające łapkami w kieliszkach, ludzie za

plecami i Thelonious podobny komecie, która dokładnie za pięć minut porwie kawał ziemi, tak jak w Hektorze Servadac, w każdym razie kawał Genewy z pomnikiem Kalwina i chronometrami Vacheron et Constantin.

Właśnie gasną światła, jeszcze patrzymy na siebie z tym lekkim pożegnalnym drżeniem, które zawsze ogarnia nas przed koncertem (przepłyniemy rzekę, nastąpi inny czas, obol jest przygotowany), a już kontrabasista podnosi swój instrument i sprawdza go, miotełka przebiega po bębnie lekko niby dreszcz, zaś z głębi, robiąc zupełnie niepotrzebne okrażenie, wyłania się niedźwiedź w kapelutku pół-tureckim, a pół-kardynalskim i przybliża się do fortepianu stawiając nogę przed nogą ze skupieniem, przywodzącym na myśl zaminowane pola albo kmaty hodowane dla despotów sasanidzkich, gdzie każdy zdeptany kwiat oznaczał powolną śmierć ogrodnika. Kiedy wreszcie Thelonious zasiada do fortepianu, cała sala zasiada wraz z nim, wydając

179

kolektywne westchnienie ulgi, bowiem przesuwanie się Theloniousa przez scenę ma w sobie coś z ryzyka fenickiej żeglugi zagrożonej utknięciem na przybrzeżnych mieliznach, gdy więc statek w kolorze ciemnego miodu i jego brodaty kapitan wpływają do przystani, moło Victoria Hiallu przy~muje ich z szumem skrzydeł, ukojonych przybyciem do portu. A wtedy Pannonica albo Blue Mónk, trzy cienie podobne kłosom otaczają niedźwiedzia badającego ul klawiatury, prostackie pazury dobrotliwie przesuwają się tam i z powrotem pośród ogłupiałych pszczół i sześcioboków dźwięku, minęła zaledwie minuta i już jesteśmy w nocy poza czasem, w pierwotnej i delikatnej nocy Theloniousa Monka.

Ale tego nie można wytłumaczyć : A rose is a rose is a rose. Trwa zawieszenie broni, mamy orędownika - może kiedyś, gdzieś czeka nas odkupienie. A potem gdy Charles Rouse podchodzi do mikrofonu i jego sax dumnie szkicuje powody, dla których tu się znalazł, Thelonious pozwala swoim rękom opaść, przez chwilę nasłuchuje, lewą bierze jeszcze lekki akord, i niedźwiedź, objedzony miodem, wstaje balansując i rozgląda się za jakimiś mchami odpowiednimi na drzemkę. Wysuwając się spoza taboretu, opiera się o brzeg fortepianu, rytm zaznacza bucikiem i kapelutkiem, palce ślizgają się po instrumencie, najpierw po samym brzegu klawiatury, gdzie mogłaby stać popielniczka albo piwo, ale jest tylko Steinway and Sons, po czym niepostrzeżenie rozpoczyna się safari palców po krawędzi pudła, podczas gdy niedźwiedź kołysze się rytmicznie, bo Rouse, kontrabas i perkusja są

dokładnie uplątani w tajemnicę własnej trójcy, podróżuje zawrotnie bez ruchu, okrążając pudło fortepianu, co mu się nie uda, wiadomo, że się nie uda, bo na to potrzebowałby więcej czasu niż Fileas Fogg, więcej żaglowych sani, słoni i pociągów zeszywniałych w pędzie, by przeskoczyć zwałony most

182

nad przepaścią, tak że Thelonious podróżuje na swój sposób, wspierając się najpierw na jednej nodze, a potem na drugiej i nie poruszając się z miejsca, kiwając się na pokładzie swojego „Pequoda” osiadłego na mieliźnie teatru, co chwila porusza palcami, aby posunąć się o centymetr lub tysiące mil, i znowu ostrożnie nieruchomieje, wzlataje na sekstansie z dymu i, rezygnując z dalszej wędrówki do końca fortepianowego pudła, ręka je puszcza, niedźwiedź powolutku się odwraca i wszystko może się zdarzyć w tej chwili, w której brak mu oparcia, kiedy niby ptak kołysze się w rytmie, którym Rouse maluje ostatnie gwałtowne, długie, cudowne smugi fioletu i czerwieni, czujemy pustkę pod stopami Theloniousa oderwanego od brzegu fortepianu, nie kończący się wspólny skurcz jednego olbrzymiego serca, przez które przepływa krew nas wszystkich, i dokładnie wtedy druga ręka chwyta się instrumentu, niedźwiedzi kiwa się łagodnie, po chmurach zstępując na klawiaturę, na którą patrzy, jakby pierwszy raz ją widział, przesuwając w powietrzu niezdecydowanymi palcami, pozwala im opaść i-jesteśmy ocaleni, jest Thelonious-kapitan, jest cel podróży, a gest Rouse'a, kiedy się cofa, opuszczając równocześnie saksofon, ma w sobie coś z przekazywania władzy, z gestu legata, który zwraca doży klucze od Serenissimy.

Z prawdziwą dlaną

In Memoriam K.

Nikt z nas nie pamięta tekstu ustawy nakazującej zbieranie zeschłych liści, ale z pewnością nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógłby przestać je zbierać; jest to jedna z rzeczy ustalonych od dawien dawna, wpajanych od pierwszych dni dzieciństwa, i właściwie nie ma wielkiej różnicy między elementarnymi gestami zawiązywania półbutów lub otwierania parasola, a tym, by poczynając od 2 listopada o dziewiątek rano zbierać zeschnięte liście.

Również nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionować samą datę; jest to coś, co tkwi w obyczajach kraju i ma swoją rację bytu.

Poprzedni dzień poświęcamy na odwiedzanie cmentarzy i obchodzenie grobów bliskich, jest to więc także odmiatanie liści (ażeby zidentyfikować tablice), ale

tego dnia zeschnięte liście nie mają jeszcze, że tak powiem, oficjalnego znaczenia, najwyżej są czymś kłopotliwym, co należy usunąć, aby móc potem zmienić wodę w wazonach i zmyć z płyt ślady ślimaków. Parokrotnie sugerowano, że może udałoby się przyspieszyć o kilka dni liściową kampanię, tak aby na święto zmarłych cmentarz już był oczyszczony i rodziny mogły skupić się przy grobach b~ uprzedniego kłopotliwego sprzątnięcia, nieraz wywołującego przykre sceny i odrywającego nas od naszych obowiązków w tym dniu pamięci, ale nigdy nie przyjęliśmy tych propozycji, jak również nigdy nie uwierzyliśmy, że można by było zaprzestać ekspedycji do północnych puszczy, ze względu na to, że są tak kosztowne. To tradycje, które mają swoją rację bytu, i wielokrotnie słyszeliśmy, jak nasi dziadkowie surowo karcili tego typu anarchiczne wypowiedzi, zwracając uwagę, że wielkie ilości suchych liści na grobach winny właśnie wykazać ogłowi niewygody, jakie to za sobą pociąga, i w ten

X85

sposób zachęcić go do gorliwego brania udziału w pracy, mającej zacząć się dnia następnego.

Do wzięcia udziału w kampanii wezwana zostaje cała ludność. W wilię, po powrocie z cmentana, już stoi na placu biało pomalowany kiosk, zainstalowany przez magistrat, ustawiamy się więc w ogonku, czekając na swoją kolej. Ponieważ ogonek nie ma końca, wracamy do domu bardzo późno, każdy jednak z tą satysfakcją, że otrzymał kartonik z rąk samego radnego. Począwszy od następnego ranka nasz udział będzie dzień po dniu uwidaczniany na kartoniku, który specjalnie zainstalowana maszyna perforuje w miarę odstawiania worków liści lub klatek z ichneumonami, w zależności od rodzaju pracy, jaka została nam wyznaczona. Najlepiej baywią się dzieci, dostają duże kartoniki, które z ~ zachwytem pokazują matkom, a kieruje się je do lekkich zajęć, przeważnie do pilnowania ichneumonów. My, starsi, mamy cięższą pracę : poza dyrygowaniem ichneumonami musimy wkładać do worków liście przez nie zbierane, a potem znosić te worki na plecach do czekających ciężarówek. Starym powierza się pistoletowe rozpylacze, służące do skrapiania zeschniętych liści węzowymi esencjami. Nasze zajęcie jest jednak najodpowiedzialniejsze, bo ichneumony lubią nawalać i nie wykazują się taką gorliwością, jakiej się od nich oczekuje; wtedy, po niewielu dniach, kartoniki wskazują, że norma nie została wykonana, i wzrasta prawdopodobieństwo wysłania nas do północnych puszczy. Jak łatwo sobie wyobrazić, robimy wszystko, żeby tego uniknąć, gdy jednak decyzja zapada, przyjmujemy to jako rzecz naturalną, bako

obyczaj tak stary, jak cała kampania, i nikomu nie przychodzi do głowy, aby się sprzeciwiać; jest jednak rzeczą ludzką, że staramy się ile można orać w ichneumony i dostać w ten sposób jak najwięcej punktów, dlatego też jesteśmy surowi tak wobec nich, jak wobec

starych i dzieci. Jest to nieodzowne do osiągnięcia dobrych rezultatów kampanii.

Nieraz zadawaliśmy sobie pytanie, skąd się wziął pomysł skrapiania zeschniętych liści esencjami węzowymi, ale po różnych domysłach i przypuszczeniach doszliśmy do wniosku, że pierwociny zwyczajów, zwłaszcza o ile są przydatne i rozsądne, giną gdzieś w mrokach dziejów. Widocznie pewnego dnia magistrat musiał dojść do wniosku, że ludność nie jest w stanie podołać zbieraniu liści opadających jesienią i że tylko inteligentne wykorzystanie w tym celu, tak licznych w kraju, ichneumonów może temu zaradzić. Jakiś urzędnik, prawdopodobnie pochodzący z okolic puszczy, doniósł, że ichneumony, kompletnie obojętne w stosunku do zeschniętych liści, szaleją za nimi, gdy te pachną węzom. Pewnie trzeba było wiele czasu, by dojść do tych odkryć, przestudiować zachowanie się ichneumonów w stosunku do liści, wpaść na pomysł skrapiania liści, aby ichneumony rzuciły się na nie z furją. My wzrastaliśmy w epoce, kiedy wszystko to było zaplanowane, urządzone i skodyfikowane, hodowle ichneumonów miały wystarczający personel, zaś członkowie corocznych ekspedycji do puszczy wracali z zadowalającą ilością węży. Te sprawy wydają się nam tak naturalne, że rzadko tylko i raczej z wysiłkiem wracamy do zadawania sobie pytań, na które rodzice w dzieciństwie odpowiadali nam surowo, ucząc nas w ten sposób, jak trzeba będzie odpowiadać naszym dzieciom. Ciekawe, że pragnienie zadawania sobie pytań na ten temat występuje - zresztą i tak nieczęsto - jedynie w okresie kampanii.- Drugiego listopada, za ledwie odbierzemy kartonik, oddajemy się wyznaczonym zajęciom, a celowość każdego kroku wydaje nam się tak oczywista, że tylko wariat mógłby kwestionować sens kampanii i formę, w jakiej się ją przeprowadza. Meno to władze zmuszone były przewidzieć i tę ewentualność, bo w tekście

188 _ 189

ustawy wydrukowanej po drugiej stronie kartoników wylicza się kary grożące w takich wypadkach; nikt jednak nie pamięta, ażeby kiedykolwiek trzeba było je stosować.

Zawsze zachwycał nas sposób, w jaki magistrat umiał rozdzielać zajęcia tak, by ani prowincja, ani kraj na żadnym odcinku życia nie odczuwały skutków kampanii. My, dorośli, poświęcamy na zbieranie suchych liści pięć godzin dziennie, przed albo po normalnych godzinach pracy w administracji, handlu itp. Dzieci opuszczają lekcje gimnastyki, ewentualnie wychowanie obywatelskie lub przysposobienie wojskowe, starcy zaś wykorzystują słoneczne godziny, by wyszedłszy z przytułku zająć swoje posterunki. Po dwóch, trzech dniach kampania już ma za sobą pierwsze zadanie: ulice i place publiczne są oczyszczone z suchych liści. Wtedy ci, pod których opieką znajdują się ichneumony, muszą zdwoić czujność, bowiem w miarę rozwijania się kampanii zapal ichneumonów słabnie, a my jesteśmy odpowiedzialni przed inspektorem dystryktu, ażeby w porę o tym się dowiedział i zarządził wzmocnienie skrapiania. Ten rozkaz może wydać tylko inspektor, i to po sprawdzeniu, że zrobiliśmy wszystko, ażeby ichneumony nadal zbierały liście, jeżeliby bowiem dowiedziono, że lekkomyślnie pospieszyliśmy się z prośbą o wzmocnienie rozpylania, ryzykujemy, że natychmiast zmobihu~ą nas i wyślą do puszczy. W słowie: ryzykujemy-jest naturalnie wiele przesady, bowiem ekspedycje do puszczy są częścią obyczajów kraju na tej samej zasadzie, co sama kampania, i nikomu nie przyszłoby do głowy protestować pnxciw czemuś, co jest takim samym obowiązkiem jak wszystkie inne.

Czasami słyszy się głosy, że błędem jest powierzanie rozpylaczy starcom. Ale ponieważ to dawny zwyczaj, trzeba przyjąć, że nie może nie być słuszny, zdarza się jednak, że od czasu do czasu starty w roztargnieniu

190

marnotrawią zbyt duże ilości węzowych esencji na jakimś odcinku uh lub placu, nie pomnąc, że powinni os;iczyć~nie rozkładać je na większe powierzchnie. Wtedy ichneumony dziko rzucają się na jakąś kupkę zeschniętych liści, w ciągu paru minut zbierają ją i całą przynoszą tam, gdzie już oczekujemy z workami; potem dopiero, gdy ufni, że będą w dalszym ciągu okazywały podobne zacięcie, czekamy nadal i nagle widzimy, jak zatrzymują się, wietrzą coś między sobą jakby zdezonentowane i porzucają swoją powinność z wyraźnymi oznakami zmęczenia i zniechęcenia. W takim wypadku zarŁadzający ucieka się do swego gwizdka, przez chwilę udaje mu się zmusić ichneumony, aby zebrały jeszcze trochę liści, ale dość szybko zdajemy sobie sprawę, że produkt został nierówno rozpylony i że ichneumony słusznie zaniedbują się w pracy, która nagle przestała mieć dla nich

jakikolmek sens. Gdyby węzowych esencji było pod dostatkiem, nie zdarza3yby się tego rodzaju napięte sytuacje, w których starzy, inspektor i my czujemy, żeśmy się w jakiś sposób nie dość dobrze wywiązali z obowiązku, nad czym bolejemy niewypowiedzianie. Ale od niepamiętnych czasów wiadomo, że zapasy esencji zaledwie wystarczają na pokrycie na~niezbędniejszych potrzeb kampanii i że w niektórych wypadkach ekspedycje do puszczy nie osiągnęły swego celu, zmuszając magistrat do uciekania się do rezerw. Tego typu sytuacje wzmagają lęk, że następny pobór obejmie większą niż normalnie ilość rekrutów, jakkolwiek w słowie „lęk” jest naturalnie wiele przesady, bowiem powiększanie liczby rekrutów jest częścią obyczajów kraju, na tej samej zasadzie, co i kampanie, i nikomu nie przyszłoby do głowy protestować przeciw czemuś, co jest takim samym obowiązkiem, jak wszystkie inne. O ekspedycjach mówi się raczej niewiele, ci zaś, co wracają, zmuszeni są do milczenia pod przysięgą. Jesteśmy przekonani,

że władze starają się, abyśmy nie mieli żadnych kłopotów w związku z tymi ekspedycjami, niestety jednak trudno zamykać oczy na straty. Mimo że nie mamy najmniejszego zamiaru wyciągania jakichkolwiek wniosków, narzuca się nam przypuszczenie, iż chwytanie węży w puszczy jest co rok trudne~sze wobec bezlitosnego oporu mieszkańców sąsiedniego kraju, tak że nasi obywatele, nieraz z ciężkr mi stratami, muszą stawiać czoła ich legendarnemu okruc>eństwu i przebiegłości. Jakkolwiek nie mówi się o tym publicznie, wszystkich oburza, że naród me zbierający zeschniętych liści sprzeciwia się polowaniom na węże w ~ego puszczy. Nigdy nie wątpiliśmy, że nasze władze skłonne są gwarantować, iż ekspedycje na ich terytoriach mają to jedno na celu, i że opór, na który się natykają, jest wywołany tylko idiotyczną, niczym nie uzasadnioną pychą.

Wielkoduszność naszych władz nie ma granic, nawet gdy chodzi o sprawy, które mogłyb~ zakłócać spokój publiczny. Dlatego też nigdy nie dowiemy się i - co należy podkreślić - nie chcemy się dowiedzieć, jaki jest los naszych okrytych chwałą rannych. Rząd jakby pragnąc oszczędzić nam niepotrzebnych ciosów, ogłasza tylko listy tych, którzy wracają bez szwanku, oraz zmarłych, których tnunny przybywają tym samym wojskowym pociąg><em, co członkome ekspedycji oraz węże. W dwa dni później władze oraz ludność podążają na cmentarz, aby towarzyszyć w ostatniej drodze tym, którzy padli w walce. Odrzucając prostacki pomysł zbiorowego grzebania ofiar, władze troszczą się o to, aby k~żdy miał swoją indywidualną mogiłę, łatwą do rozpoznania po nagrobku i napisach, które rodzina może wykuć na płycie

bez najmniejszych przeszkód. Wobec tego jednak, że w ostatnich latach ilość strat zaczęła niepokojąco wzrastać, magistrat wyeksmitował mieszkańców sąsiednich terenów, aby powiększyć cmenternik

~ 3 - Cortazar 193

tarz. Można więc sobie wyobrazić, jak wielu z nas przybiega wczesnym rankiem 1 listopada, aby oddać cześć grobom naszych zmarłych. Niestety, jesień jest już zaawansowana, liście pokrywają płyty i alejki grubą warstwą, wobec czego orientacja jest bardzo utrudniona. Nieraz się zdarta, że błądzimy i wiele godzin krążymy w kółko, zanim trafimy na ślad grobu, którego szukamy. Niemal każdy z nas uzbrojony jest w miotłę, i często wymiatamy liście z jakiegoś grobu sądząc, że jest to miejsce spoczynku naszego nieboszczyka, zanim zorientujemy się, że jesteśmy w błędzie. Powoli jednak odnajdujemy groby, tak że po południu możemy już skupić się i wypocząć. W pewien sposób właściwie raduje nas, że mamy tyle trudności w odnajdowaniu grobów, to bowiem raz jeszcze dowodzi celowości całej kampanii, mającej zacząć się nazajutrz rano, i daje nam poczucie, że nasi zmarli zachęcają nas do zbierania liści nawet bez udziału ichneumonów, które włączają się dopiero dzień później, kiedy władze udostępnią nieodzwonne ilości węzowych esencji, przywiezionych przez członków ekspedycji wraz z trampami nieboszczyków, a starty zaczną je rozpylać, przynaglając w ten sposób ichneumony, żeby brały się do roboty.

~y ~'.~

ao y ~y

~r i~ m p~kacb, iedw~snistych prierwxh pomiędzy zabopioo~

eierzeczywistoe~ a nieodwTSCalo~ sdi~oaci~ ziemi, v~yn~O sig akwariom

metryrrme

i ziesDOSati pępek wzoioel się Ponad rozwi~alY ~Y~, myVICy cz3owie~a z odbite drzew...

Jose Lezama Lima: Ażeby dojść do Montego Bay

- CzY P~ Profesor jest szslonY? - zapyt>da. przytslv>~lem.

- I ctioe zabrać p@oa ze sob~:' Przytaho~iem zoowa.

- pol~d, - zapyt>~.

Pskem pokaz>ciem wewnątrz ziemi.

lules Veme, Podróż do środka ziemi

Te strony na temat *Paradiso*, powieści Jose Lezama Limy (Wydawnictwo Unión, Hawana 1966) nie są analizą pisarstwa Limy, które wymagałoby szczegółowej analizy całego jego dzieła jako poety i eseisty w świetle najowocniejszych zdobyczy na polu antropologicznym (Bachelard, Eliade, Gilbert Durand...), są zbliżeniem się drogi sympatii, jaką obiera każdy kronopio, ażeby nawiązać łączność z innym. Dlaczego akurat Lezama Linia? Dlatego, co on sam mówi, opisując jednego ze swych bohaterów: „Podoba mi się w nim - odparł Cemi - ten sposób lokowania się w samym pępku zagadnień. Robi wrażenie, jakby w każdej chwili swojego skupienia był w stanie łaski. Ma to, co Chińczycy nazywają li, ukierunkowanie kosmiczne, układ, bezbłędną postawę wobec określonego faktu, coś co w naszej klasycznej tradycji można by nazwać pięknnością wewnątrz stylu Tak jak strateg, który ustawia się do nieprzyjaciela skrzydłem lepiej osłomęty. Nie daje się zaskoczyć. idąc naprzód, równocześnie baczy na tylne pozycje. Wie czego chce, i szuka tego z zapalem. Ma dojrzałość która nie daje się zniewolić, i mądrość, która, choć żąda bezpośredniego sukcesu, jednak dobrodusznie mu nie schlebia. Ale ta mądrość ma w dodatku niesłychane szczęście, jak student, który z góry wie, jakie pytanie wyciągnie; ale ponieważ również wie, że przypadki działały po linii ciągłej, na której odpowiedź zapala się niby iskra, zaczyna od przejrzenia stu pytań i nie może się śmiać. Tyle że pytanie, która mu przynosi w dziobie ptak losu, jest dokładnie tym, którego pragnie, owocem, który mu smakuje i który warto przypiec i przysmażyć". (*Paradiso*, str. 374-5).

195

A więc obaj jesteśmy obłąkani? Nieprzytomny z braku powietrza, którą mam wystawić głowę, by złapać oddech po zanurzeniu się w głębinę na sześćset siedemnaście stron *Paradiso*? I skąd nagle Jules Verne ry książkę, która nie ma z nim nic wspólnego? Ależ przeciwnie : ma. Po pierwsze, czyż sam Lezama nie mówi o nachylonych ku sobie istnieniach, czyż nie powiedział w jakimś miejscu, że jest to „jakby człowiek - oczywiście bezwiednie - przekraczając kontakt w swoim pokoju, puszczał wodospad w Ontario”? Metafora dla Verne, jeżeli takie istnieją. Czyż nie wprowadza nas w tę styczną przyczynowość przypominając, że w chmłh gdy święty Jerzy wbya w smoka ostrze swojej lancy, pierwszym, który pada martwy, jest lego koń? Albo że piorun, ześlizgując się po pmu drzewa, ominie trzynastu kleryków,

którzy leżąc w koniczynie spokojnie wcinają gruyere, a zabije kanarka śpiewającego w klatce o pięćdziesiąt metrów dalej?

A więc jednak Jules Verne, a więc jednak, ażeby dojść do Montego Bay, trzeba przejść przez środek ziemi. Nie tylko jest to prawdziwe, ale i dosłowne, a oto dowód: Czyż któryś z nielicznych czytelników Paradiso (jako zarozumialec wyobrażam sobie bardzo ekskluzywny klub tych, którzy tak jak ty przeczytali Człowieka bez właściwości, Śmierć Wergilsgo i Paradiso; tylko zresztą w tym - mam na myśli ten klub - czuję się podobny do Fileasa Fogga) zdał już sobie sprawę, że konkretne powiązanie z Verne'em znajduje się na stronie trzysta dwadzieścia siedem, demonicznie wywołane przez epizod erotyczny, sugerujący pewne cechy, jakich ostatnio pewni badacze dopatrują się u ojca „Nautilusa”? Wioślarz Leregas o priapicznych właściwościach oczekuje odwiedzin atlety Baeny Albornosa, który ma zejść do piekiel hal sportowych w Hawanie, gdzie - uległy Adonis zostanie przebity kłębem dzika i dozna takiej

197

rozkoszy, że w ekstazie pogryzie brzeg pryczy. Leregas oczekuje więc wizyty upokorzonego Herkulesa, który, po tylu dziennych wysiłkach, nocami ponoć na kobiecej kądzieli przędzie swe prawdziwe tęsknoty. Czeką, a w tym pełnym napięcia oczekiwaniu „wspomnienie krateru Jokula zeszło w podziemia, tam zbiegły również cienie Scartarisa. Pierścieniowaty cień Scartarisa na kraterze Sneffelsa...” Za diabelską sprawą brzmienie nazw niewinnej ory

grafii islandzkiej staje się obleśną aluzją erotyczną i polecenie Arne Saknussemma - zachwył naszego dzieciństwa: „Zejdź do krateru Jocola Sneffels, Gdy Scartarisa cień go muska, Przed kalendami lipcowymi, wtedy zuchwały podróżniku, Znajdziesz się w samym środku ziemi...” - wywołuje dźwiękiem swym i obra= zem lubieżne skojarzenia. Jokul, opierścieniony cień („stracił swoje trzydzieści dwie zmarszczki” - powie jedna z postaci Geneta w odniesieniu do innego Baeny Albornosa), Sneffels przywodzący na myśl to sniff, Scartaris w tym kontekście przypominający strofom, a obrazy zejścia do krateru, a muskanie, a cieniste zakamarki... O Fileasie, o profesorze Lidenbrock, cóż wyprawiamy z ojcem waszym...

Pokój samotnikowi z Nantes i jego speleologom, ale przedtem, na mój własny rachunek, cytuję inny ustęp, tak wieloznaczny, jakby go wybierał sam Lima, i umieszczam w charakterze lasera jako nagłówek wszystkiego, co nastąpi:

W l~aów pr~1 PSY w~ul~> Wa tobiem, ~ol~em ao tdi w suzyc3e. „Przyp~hz się - i bo dobre się priypatri: trzebi brać lekcje prupaściP'

Jules Veme: Podróż do środka ziemi.

Przez dziesięć dni, przerywając lekturę, tylko aby nabrać oddechu i nakarmić mojego kota, czytałem Paradiso, kończąc podróż, zaczęta Pad laty, odczytywaniem niektórych roz

działów, zamieszczonych w piśmie Origenes, jak wiele innych przedmiotów, które spadły z Borgesowskich Tltinu i Uqbaru.

Nie gestem krytykiem. Pewnego dnia, który nie jest chyba bliski, ta cudowna swmna doczeka się swego Maurice'a Blanchot, takiej bowiem rasy powinien być krytyk zaPuszczający się w ten wspaniały labirynt. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na pewną wstydliwą ignorancję i już teraz dobyć brom przeciw tym meporozumieniom, jakie rozpętają się z chwilą, gdy Ameryka Lacińska wreszcie dosłyszysz głos Lezamy Luny. Ignorancja ta nie dziur mnie. Dwanaście lat temu ja także nic o nim nie wiedziałem i trzeba było, żeby w Paryżu Ricardo Vigon zaczął mi opowiadać o Oppianie Licario, który wtedy właśnie został opublikowany w Origenes, a który teraz zamyka jeżeli cokolwiek może je zamknąć - Paradiso. Wątpię, żeby przez te wszystkie lata dzieło Lezamy Limy nie nabrało takiej wagi, jak równoczesne dzieła Borgesa i Octavia Paz, którym niewątpliwie ani o włos nie ustępuje. Trudności esencjalne i instrumentalne są powodem tej ignorancji. Czytanie Lezamy jest jednym z cięższych, a często i bardziej denerwujących zajęć, jakie można sobie narzucić. Wytrwałość, ~akie~ wymagają pisarze z pogranicza, jak Raymond Roussel, Hermann Broch lub mistrz kubański, spotkać można rzadko, nawet wśród „specjalistów”, i dlatego w klubie ciągle jest zbyt dużo foteli. Borges i Paz (znowu cytuję ich, aby powiesić tarczę na najwyższym drzewie naszych ziem) mają tę przewagę nad Lezama, że są pisarzami merydionalnymi, chciałbym móc powiedzieć „apollińskimi”, ze względu na stosowanie znakomitego pokrycia słownego dla systemu funkcjonowania własnych umysłów. Ich trudności, a nieraz niejasności (Apollo bywa pnxcież czasem nocny i schodzi w czeluście, by zabić węża-pytona) włączają się w zakres dialektyki, do której odnosi się Cmentarz morski:

Jed~wk mój ~ ~ ~h

W cień spowity: jsk o~Ra świaNośd polowa.

I jeżeli mówię, że jest to jakaś przewaga tamtych nad Lezama, odnosi się to - niemal z etycznego punktu widzenia - do tych czytelników, którzy nie znoszą postaw Edypa, którzy są za największym zyskiem przy najmme~szym ryzyku. W Argentynie w każdym razie istme~e tendencja do remdowania hermetyki: Lezama nie tylko jest literalnie hermetyczny (bo to, co najlepsze w jego dziełach, głosi zbliżenie się do esencji przez mit i ezoterykę we wszystkich formach historycznych, psychologicznych i literackich, zawrotnie włączonych w system poetycki, w którym bóg Anubis spoczywa w fotelu Louis XV), ale i formalnie hermetyczny, tak z powodu naiwności, która pozwala mu przypuszczać, że najbardziej heteroklityczne z jego metaforycz=nych serii będą znakomicie rozumiane pnxz absolutnie wszystkich, jak i dlatego, że jego sposób wyrażania się jest oryginalnie i autentycznie barokowy (w przeciemeństwie do świadomie eksponowanego baroku Aleja Carpentier).

Widać więc, że niełatwo jest zostać członkiem klubu, gdy tyle trudności sprzysięga się, aby przeszkodzić rozkoszowaniu się literaturą, chyba że rozkoszowanie się będzie polegało właśnie na tych trudnościach; ja na przykład przystąpiłem do czytania Lezamy hak ktoś usiłujący odcyfrować : me~mlca - Sebr A. i~fdok. segnittamurh~ i tak dalej, które w końcu wyjaśnia się jako: „Zejdź do krateru Jokula Snef~els...”

Można by rzec, że pośpiech i poczucie winy, wywołane przez nadmiar wychodzących książek, prowadzą współczesnego czytelnika do

`.Paul Valery, *Le Cimetiere marin*, przełożył Roman Koluniecki.

zoo goi

odrzućenia - nieraz ironicznego - całego trobar clus. Do tego dołączają się fałszywe ascetyzmy i uroczyście klapy źle pojętych specjalizay, przeciw którym nareszcie odzywa się jak>ś protest. Goethemu udawało się deszcze pogodzić w sobie filozofa i poetę już wówczas skłóconych) dzięki jego ujarlmiającemu talentowi łączenia; do czasów Tomasza Manna (mówię o pisarzach) ta koegzystencja pozornie

jakoś przetrwała i u autorów, i u czytelników, jest jednak faktem, że już dzieło Musila (pozostanę wierny pisarzom niemieckim) nie znalazło na świecie należnego mu echa, bo jakkolwiek czytelnik jest wc~aż ten sam, dzisiaj wymaga on literatury określonego gatunku, nieraz podświadomie opierając się gatunkom mieszanym, powieściom przechodzącym w poematy lub metafizyce zrodzonej w barze na rogu

albo w łóżku z dziewczyną. Czytelnik, ociągając się, akceptuje pozaliteracki ładunek wszelkich powieści, pod tym jednak warunkiem, żeby dany gatunek zachował swoje zasadnicze cechy (nawiasem mówiąc przez nikogo nie określone, ale to już inna sprawa).

Paradiso - powieść, która równocześnie jest hermetycznym traktatem, poetyką i z niej wynikającą poezją, niełatwo znajdzie sobie czytelników: gdzie zaczyna się powieść, gdzie kończy się poemat, co oznacza ta wróżbiarska antropologia będąca równocześnie tropikalnym folklorem i kroniką rodzinną? Wiele się mówi w naszych czasach o naukach z pogranicza, ale czytelnik z pogranicza nie od razu się pojawi, a Paradiso, ukośne ciachnięcie w esencje i prezencje, natrafi na opór skostniałych opinii. Ale cios już został zadany i, tak jak w chuskiej przypowieści o kacie doskonałym, ofiara w dalszym ciągu trzyma się na nogach, nie wiedząc, że gdy tylko kichnie, głowa hej stoczy się na ziemię.

O ile trudności instrumentalne są pierwszą przyczyną faktu, że Lezama jest tak mało znany, drugą jest nasz niedorozwój polityczny czy też historyczny. Od roku 1960 strach, hipokryzja, nieczyste sumienie zjednoczyły się, aby odciąć Kubę, jej intelektualistów i artystów, od reszty Ameryki Łacińskiej. Tych już znanych, jak Guillen, Carpentier, Wifredo Lam, ta bariera nie dotyczy, dzięki ich międzynarodowemu prestiżowi jeszcze sprzed rewolucji kubańskiej, prestiżowi, który w pewnych

sytuacjach nie pozwala ich pomijać. Lezama, nlewybaczalnie już wtedy zepchnięty na margines oficjalnych tabel wartości peruwiańskich, meksykańskich i argentyńskich, pozostał po

drugiej stronie bariery tak dalece, że nawet ci, którzy znają jego nazwisko i którzy chcieliby przeczytać *Tratados en la Habana*, *Analecta del reloj*, *La fijeza*, *La expresión americana* lub *Paradiso*, nie mogą ani nie będą mogli dostać jego książek. Podobnie jak wielu innych poetów i artystów kubańskich, Lezama musi żyć i pracować w izolacji, o której najdelikatniej można powiedzieć, że wzbudza obrzydzenie i wstyd. Ważne jest, aby zamknąć drogę wojującemu komunizmowi. *Paradiso*? Nic, co by zasługiwało na tę nazwę, nie może powstać w podobnym piekle. Śpij spokojnie. Organizacja Państw Amerykańskich czuwa nad twoim snem.

Pozostaje jeszcze trzecia, bardziej utajona przyczyna groźnego milczenia, które otacza dzieło Lezamy. Będę mówił o niej bez żadnego zażenowania właśnie dlatego, że nieliczne recenzje kubańskie, omawiające jego twórczość, wstydliwie ten

temat przemilczały, ja natomiast znam jego negatywną siłę w rękach różnych faryzeuszów naszej literatury. Myślę tu o formalnych niepoprawnościach, którymi ocieka jego styl i które - w przeciwieństwie do subtelnych treści książki - wywołują u czytelnika powierzchownie wyrafinowanego niesmak i zniecierpliwienie, jakiego niemalże nigdy nie jest w stanie pohamować. Jeżeli do tego dodać, że książki jego bywają ażwyczaj bardzo niestarannie wydane i że Pap radiso nie jest pod tym względem wyjątkiem - trudno się dziwić, że do zasadniczych trudności dołącza się irytacja z powodu ortogri~cznych i gramatycznych ekstrawagancji, o jakie potykają się oczy pedanta, który siedzi w każdym z nas. Kiedy przed laty zacząłem pokazywać lub czytać ustępy z Lezamy ludziom, którzy go nie znali, zdumienie, wywoływane przez jego

ZOS

wizję nxczywistości i zuchwałość przekazujących ją obrazów prawie zawsze przesłaniała kropla uprzejmej ironii i pełen wyrozumiałości uśmiech. Od razu zdałem sobie sprawę, że wchodzi tu w grę mechanizm szybkiej obrony, że zagrożeni absolutem starają się wyolbrzymiać błędy formalne, jako pretekst, chyba nawet podświadomy, aby móc zostać po tej stronie Lezamy, nie podążać za nim, gdy zanurza się w najgłębsze wody. Nie podlegający dyskusji fakt, że Lezama twarde postanowił, że nigdy nie napisze prawidłowo żadnego imienia angielskiego, francuskiego czy też rosyjskiego i że jego cytaty w obcych językach składają się z całych konstelacji ortogri~cznych błędów, pozwala typowym intelektualistom znanym z La Piaty widzieć w nim po prostu samouka z niedorozwiniętego kraju, co jest prawdą, i uznać to za argument, by nie dostrzec jego właściwych wymiarów - co jest zgrozą. W każdym razie wśród Argentyńczyków, uczulonych na te rzeczy, prawidłowe pisanie, tak jak i ubieranie się, jest gwarancją powagi, a każdy, kto poprawnym stylem głosi, że ziemia jest okrągła, będzie zasługiwał na większy respekt niż kromopio z gębą pełną klusek, mimo których ma naprawdę wiele do powiedzenia. Mówię o Argentynie, bo trochę ją znam, ale na Kubie także spotkałem młodych intelektualistów ironicznie się uśmiechających na wspomnienie, jak Lezama zwykł był wymawiać nazwisko jakiegoś cudzoziemskiego poety. Ale gdy ci młodzieńcy mają coś pomedzić o danyrry poecie, umieją tylko pramdlowo wymomc jego nazwisko, podcLas gdy_ Lezama, po pięciominutowej przemowie na jego temat, zostawia ich wszystkich z otwartymi gębami. Nedorozwój charakteryzuje się spe~czną drażliwością na temat wszystkiego, co dotyczy pozorów kultury, wy-

meszek na drzwiach tejże kultury. Wiemy, że Dylan się wymawia Dilan, nie zaś Dajlan, tak jak wymówiliśmy jego nazwisko po raz pierwszy (i albo popatrzono na nas ironicznie,

albo poprawiono nas, albo sami poczuliśmy, że coś jest nie tak); znakomicie niemy, jak mamy wymawiać Caen i Laon, i Sean O'Casey, i Glouoester. W porządku, to równie potnxbne jak czyste paznokcie i używanie dezodorantów. Tamto zaczyna się potem - albo się nie zaczyna. Dla wielu, którzy z uśmiechem darują życie Lezami, nie zacznie się ani przedtem, ani potem, ale paznokcie - przysięgam wam jak złoto.

Do obronnej ironii, opierającej się na powierzchownych uchybieniach, dołącza się ironia, którą prowokuje fakt niepospolitej naiwności Lezamy, często uwydatniającej się w jego sposobie opowiadania. W gntncie rzeczy to przez sympatię dla tej naiwności mówię teraz o nim; niezależnie od szkolarskich kanonów

znam jej przejmującą skuteczność: podczas gdy tyłu szuka - Parsifal znajduje; podczas gdy tyłu gada - Myszkini wie. Barokowość o tak rozmaitych korzeniach, która daje w naszej Ameryce rezultaty tak rozmaite, a mimo to tak pokrewne, jak wypowiedzi Vallejo, Nerudy, Asturiasa i Carpentiera (nie róbmy kwestii z rodzajów, tylko z istoty), w wypadku Lezamy zabarwia się aurą, którą określa w przybliżeniu jedno słowo: naiwność. Naiwność amerykańska, wyspiarska, yv bezpośrednim i szerokim sensie, niewinność amerykańska. Niewinna naiwność amerykańska, otwierająca eleatycznie, orficznie octy na same początki stworzenia, Lezama-Adam, nie zmazany grzechem pierwotnym, Lezama-Noe, dokładnie taki jak na obrazach flamandzkich, spokojnie asystujący pochodowi zwierząt: dwa motyle, dwa konie, dwa leopardy, dwie mrówki, dwa delfiny... Prymityw, który wie wszystko, mędrzec doskonały, a jednak amerykański, podobnie jak albatrosy wypchane mądrością eklezjasty nie zrobili go a wiser and a sadder man, bowiem jego wiedza jest palingeneTą, poznanie jest pierwotne, radosne, rodzi się hak woda u Talesa, jak ogień u Empedoklesa.

206 207

Pomiędzy wiedzą Lezamy a wiedzą Europejczyka (albo ich równoważnikami znad Rio de la Plata, o wiele mniej amerykańskimi w sensie, o który~n mówię) jest różnica, jaka zachodzi pomiędzy niewinnością a winą. Każdy pisarz europejski jest „więźniem swego chrztu”, jeżeli tak można sparafrazować Rimbauda. Czy chce, czy nie, decyzja pisania obciąża go olbrzymią, niemal przerażającą tradycją. Czy ją

przyjmuje, czy przeciw niej walczy, ta tradycja pozostaje w nim, jest jego rodziną, jego kolebką. Po co pisać, jeżeli, na swój sposób, wszystko zostało już napisane? Gide zrobił sardonijną uwagę, że skoro i tak nikt nie słucha, należy wszystko mówić od początku, ale niechęć do powtarzania się, do zbędnych słów prowadzi intelektualistę europejskiego do jak najostrzejszej

czujności w stosunku do swego zadania i środków wykonywania go, jest to bowiem jedyny sposób, ażeby nie chodzić zbyt utartymi drogami. Stąd entuzjazm, który wywołują „nowości”, masowy pęd ku cząsteczce niewidzialnego, którą udało się komuś zamknąć w książce; wystarczy pomyśleć o~ symbolizmie, surrealizmie, nouveau roman : wreszcie coś naprawdę nowego, czego nie podejrzewali ani Ronsard, ani Stendhal, ani Proust. Na jakiś czas można odroczyć poczucie winy; nawet epigonom udaje się uwierzyć, że coś wynaleźli. Po czym, powoli, znowu

stajemy się „Europejczykami” i każdy pisarz budzi się ze swym albatrosem zawieszonym na szyi

k;~ Aluzja do słynnego poematu Coleńdge'a, w którym marynarz zabija albatrosa (co, jak wiadomo, przynosi nieszczęście), po czym spotyka go pasmo fatalnych przygód, w czasie których nie może się uwolnić od mszącego mu u Bryi martwego ptaka. (Przyp. tłum.).

211

A tymczasem Lezama budzi się na swojej wyspie z radością preadamity, bez albatrosowego krawata, i me czuje się odpowiedzialny za żadną bezpośrednią tradycję. Więc bierze je na siebie wszystkie, począwszy od wróżenia z etruskich wątrób, skończywszy na Leopoldzie Bloomie, wycierającym nos w swoją brudną smarkówkę - ale bez historycznego obowiązku bycia pisarzem francuskim lub austriackim. Jest Kubańczykiem, garstka własnej kultury to jego cały bagaż, a reszta jest poznaniem czystym i niczym nie obciążonym, bez zawodowej odpowiedzialności. Może pisać, co mu ślina na język przyniesie, nie zastanawiając się, że już Rabelais... że już Martialis... Nie jest ogniwem łańcucha, nie musi robić więcej ani lepiej, ani inaczej, nie musi tłumaczyć się z tego, że jest pisarzem. Tak jego niebywałe nadmiary, hak i jego braki pochodzą z tej naiwnej wolności, z tej wolnej naiwności. Chwilami, czytając Paradiso, ma się uczucie pozaplanetarne: jak można tak dalece nie znać lub wzwwać wszelkie tabu

wiedzy, różne „nie będziesz tak pisał” naszych wstydlivych przykazań zawodowych? Kiedy wychyla się z Lezamy naiwny Amerykanin, ten dobry dzikus,

który zbiera świecidełka, nie podejrzewając, że nie są nic warte albo że wyszły z mody, mogą się mu zdarzyć dwie rzeczy: najważniejsza, ta która się liczy-wkroczenie geniusza pozbawionego kompleksów niższości, tak ciążyących na Ameryce Łacińskiej, z impetem złodzieja ognia. Lub ta, która wzbudza uśmiech zakompleksionych i bezbłędnie kulturalnych - coś z celnika Rousseau, coś niezdarne dla Myszki człowieka, który w Paradiso po niebywałym fragmencie stania kropkę, a od akapitu zaczyna 'z najzupełniejszym spokojem: „Co też robił, podczas jak snuł opowieść o jego przodkach, młody Ricardo Fronesis?”

Fiszę to, bo wiem, że fragmenty takie jak powyższy zaważą bardziej na ocenie książki niż cudowna fantazja, z jaką Paradiso snuje

przed nami nową wizję świata. I jeżeli cytuję zdanie o młodym Fronesis, to dlatego, że mnie również Przeszkadzają ta i wiele innych nie~ości, ale tylko w takiej mierze, w jakiej przeszkadza mi mucha siedząca na obrazie Picassa albo miauk Teodora, podczas gdy słucham muzyki Xenakisa. Niemożność zrozumienia dzieła uzasadnia jego odrzucenie za pomocą najbardziej powierzchownych pretekstów, bowiem sama me jest w stanie wyjść poza powierzchowny osąd. Znałem pewnego pana, który nigdy nie słuchał muzyki klasycznej z płyt, bo mem jego zdaniem uskrzypieme igły przeszkadzało mu rozkoszować się dziełem w całej jego doskonałości; wychodząc z tego wysokopiennego założenia, przez całe dni słuchał straszliwych tang i jeszcze gorszych boler. Ilekroć zacytowałem jakiś pasaż z Lezamy zauważam ironiczny uśmiech i chęć zmiany tematu, myślę o tym panu: niezdolni wejść do Raju zawsze będą bronić się w ten sposób, wszystko będzie dla nich zgrzytem igły, muchą, miauczeniem. W Grze w klasy określiłem i zaatakowałem czytelnika-samicę, niezdolnego do prawdziwej walki miłosnej z dziełem, które byłoby dla niego tym, czym Anioł dla Jakuba. Temu, kto by wątpił w słuszność mojego ataku, niech wystarczy ten jeden przykład : znani krytycy z Buenos Aires nie zrozumieli instrukcy zawierającej dwa możliwe

sposoby czytania mojej powieści, więc skazali mnie na śmierć, uprzednio patetycznie zapewniwszy, że przeczytali ją „według zaleceń autora na dwa sposoby”, podczas gdy tym, co proponował nieszczęsny autor, był wybór, nie miałby bowiem nigdy czelności, by w naszych czasach proponować komuś przeczytanie dwa razy tej samej książki. Czemuż oczekiwać w tej sytuacji od czytelnika-samicy wobec Paradiso, która to książka, żeby przytoczyć Lewisa Carroll, jest w stanie

wytrącić z równowagi ostrygę? tAle jakże oczekiwać cierpliwości tam, gdzie me ma ani skromności, ani nadziei, gdzie

212 213

kultura - uwarunkowana, prefabrykowana, pieszczona przez pisarzy niejako urzędowych, których bunt i odstęstwa są starannie wyznaczone przez markizów Queensberry tego fachu - odrzuca każde dzieło idące pod włos. Zdolna stawić czoła każdej trudności literackiej na planie intelektualnym i sentymentalnym, o ile tylko będzie się tmeściła w przepisach gry Zachodu, skłonna do najbardziej śmiałej parta szachów, byle Proustowskiej lub też Joyce'owskiej, byle złożonej ze znanych figur, byle opierającej się o łatwą do przewidzenia strategię, kultura cofa się oburzona i ironiczna, kiedy tylko zaprasza się ją na terytorium „pozagatunkowe”, gdzie musi zetknąć się z językiem i akcją, które odpowiadają sposobowi narracji zrodzonemu nie z książek, lecz z długich lekce przepaści. Wreszcie udało mi się wytłumaczyć powód mego epigafu, a więc czas, by mówić o czym innym.

Czy Paradiso to powieść? Tak, o ile wziąć pod uwagę nić przewodnią, życie Josego Cemi - ku któremu zmierają lub od którego poczynają` się rozliczne epizody i opowiadania mające z nim związek i nie mające z nim związku. Ale od pierwszej chwili ten „wątek” ma swoje dziwne cechy charakterystyczne. Nie wiem, czy Lezama zdawał sobie sprawę, że rozwój akcji mógłby w jakiś sposób przywodzić na myśl (zresztą ku radości czytelnika) Tristruna Shandy, bo jakkolwiek Jose żyje od początku opowiadania, a Tristram, chociaż sam opowiada swoje życie, do połowy książki jeszcze się nawet nie urodził, jasne jest, że bohater, wokół którego organizuje się treść Paradiso, pozostaje w cieniu, podczas gdy sama książka posuwa się naprzód, przywłaszczając sobie tyle, ile jej potrzeba, aby opowiedzieć życie dziadków, rodziców i krewnych Josego. Ważniejsze jest zwrócenie uwagi na fakt, że w Paradiso brak tego, co nazwałbym podskórną ciągłością - tkanki łącznej, która „scala” powieść z najbardziej nawet fragmentarycznych epizodów. Nie jest to za

~~ przyjąwszy, że to, oo w książce zasadnicze, wbrew temu, do czego Przywykliśmy, w naj_ mniejszym stopniu nie zależy od tego, czy jest ona, czy też nie jest powieścią. Przy lekturze Paradiso, jak zresztą wszystkiego, co wyszło spod pióra Lezamy, przy~ąłem bako założenie, aby nie czekać na nic określonego, nie żądać powieści, bo wtedy zgoda na to, czym ona jest, przychodzi bez tego niepotrzebnego wysiłku, bez tego żywiołowego protestu, który rodzi się, gdy

otwarłszy szafę, by sięgnąć po słoik marinolady, natkniemy się na trzy damskie sweterki. Lezame należy czytać z góry poddawszy się pewnemu fatum, tak jak się wsiada do samolotu bez względu na kolor oczu czy też stan wątroby pilota; to samo, co irytuje krytyczną inteligencję w jej urzędzie miar i wag, jest naturalne dla wszelkiej inteligentnej krytyki w jej jaskini Ali Baby.

Można by uważać, że *Paradiso* nie jest nowelą, zarówno z uwagi na brak wątku spajającego zawrotną wielorakość jego treści, jak i dla innych przyczyn. Na przykład pod koniec Lezama wsuwa między inne sprawy rozwlekłe opowiadanie, które wypełnia cały XII rozdział, nie mające nic wspólnego ze szkieletem powieści, tyle że posiadające podobną atmosferę i napięcie. Również dwa ostatnie rozdziały - gdzie dominuje postać do tej pory zaledwie wzmiankowana, Oppiano Licario, podczas gdy osoba Josego Cemi, po zniknięciu Fronesis i Fociona, staje się coraz bardziej duchem, zjawą mają w sobie coś z uzupełnienia, z aneksu. A jednak nie odstępstwa od regularnej budowy decydują, że pewne książki wydają nam się pozbawione cech powieści. *Paradiso* odbiega od zwykłego schematu, ponieważ nie dzieje się ani w normalnej czasoprzestrzeni, ani też nie mieści się w normalnej „życiowej” psychologii; w jakiś sposób wszystkie i każda z osobna postacie w niej występujące istnieją raczej w swojej esencji, niż są obecne, są bardziej archetypami niż typami. Pierwszą konsekwencją

214 215

cją tego jest fakt (który wywołuje niemało ironicznych reakcji), że jakkolwiek powieść mówi o losach paru rodzin kubańskich w końcu minionego i początku obecnego wieku, przy czym uwzględnia najdrobniejsze szczegóły epoki, umeblowanie, gastronomię, ubiory, same osoby poruszają się jakby poza historią, w jakiejś ciągłości „bezwzględnej”, i porozumiewają się między sobą ponad czytelnikiem i ponad wszystkimi bezpośrednimi okolicznościami opowiadania, językiem, który zawsze i wszędzie jest ten sam i który przy jakichkolwiek próbach uprawdopodobnienia go w dziedzinie psychologicznej lub kulturalnej natychmiast przemienia w coś wręcz nie do przyjęcia.

Natomiast jeżeli zrezygnować z realistycznego odbioru powieści, nic nie wydaje się bardziej zrozumiałe niż ten język, cążący ku fantastyce, ku patetyce. Cóż naturalniejszego niż język objaśniający korzenie, pochodzenie, będący zawsze w połowie drogi między wyrocznią a czarami, język, który jest siewcą mitów, szeptem

nieświadomej zbiorowości. Nic bardziej ludzkiego w pewnym ostatecznym sensie niż ten język poetyczny, gardzący prozaiczną i pragmatyczną informacją, różdżkarstwo słowne, które wykrywa i każe wytrysnąć najgłębszym wodom. Nikogo nie dziur język bohaterów Ilionu lub nordyckich sag, jeśli tylko ten ktoś przyjmie, że czyta epopeę, ani język chórów greckich, gdy znajdzie stę w wymiarach tragedii (odnosi się to również do Paula Claudela, do Christophera Fry). Dlaczego nie przyjąć, że bohaterowie Paradiso zawsze mówią poczyhając od obrazu, skoro Lezama rzucał ich na ekran z pozycji pewnego systemu poetyckiego, który wyjaśniał w rozlicznych tekstach, a którego klucz leży w sile obrazu jako najwyższej emanacji ludzkiego ducha, gdy idzie o poszukiwanie rzeczywistości niewidocznego świata?

I wtedy zdarza się, że dwóch kubańskich chłopców, idąc do szkoły, rozmawia ze sobą w następujący sposób:

- Od pierwszego dnia szJcoły - mówił Fibo do Jose Eugenia - zdałem sobie sprawę, że pochodzisz z hiszpańskie~ rodziny. Nie robiłeś nic złego, nie byłeś specjalnie zdziwiony, wydawało się, że nie zauważasz zła, które czynili inni. A mimo to, po rozejrzeniu się pośród ławek, musiało się na tobie właśnie zatrzymać oczy. Masz podstawy, masz jakieś korzenie. Gdy stoisz, ma się wrażenie, że rośniesz, ak jakby do środka, jakby w głąb snu. Nikt tego rośnięcia nie widzi.

- Kiedy wszedłem do klasy - odpowiedział mu Jose Eugenio - poczułem się poruszony do samej głębi ; chyba padało; była mgła; mżył atrament z ośmiornicy; w tych warunkach twoje parzące ukłucie (Fibo dla rozrywki wbijał stalówkę w tyłki kolegów) uprzytamniało mi, gdzie jestem, niejako prostowało mnie, dotykało mnie i od razu przestawałem być drzewem... (str. 1 ł ~.

Zdarza się również, że podczas rodzinnego posiłku odbywa się następujący dialog:

Listopadowy chłód, podcinany północnymi wiatrami, które dźwięczą w listowiu topoli z Prado, usprawiedliwiał pojawienie się pieczonego indyka, z szorstkościami powygladzany mi masłem, z piersią zdolną nasycić cały rodzinny apetyt, a nasyconych - ukryć niby arka przymierza.

- Sęp meksykański jest o wiele delikatniejszy - rzekł najstarszy z synów Santurcego.

- Sęp nie, kondor - poprawił go Cemi. - Mnie polecano rosół z pisklęcia tego... tfu, lepiej nie wymawiać jego imienia, jako środek przeciw astmie, ale wolę skonać,

nil wypić choć kroplę tej nafty. Taki rosół to musi być coś w rodzaju mleka maciory, które, według starożytnych, wywoływało trąd.

- Istotnie pochodzenie tej choroby nie jest znane odparł Samurce, który jako lekarz nie odczuwał niestosowności mówienia o chorobach w czasie posiłku.

- Pomówmy lepiej o pekińskim słowiczku - przerwała doña Augusta, niezadowolona z obrotu rozmowy. Aluzja Cemięgo do mleka maciory . miała swój wdzięk jako coś nieoczekiwanego, ale rozmwście - przy tej okazji - tematu przez doktora Santurce, było równie groźne, jak gwałtowny przyływ morza, o którym zaczynały trąbić wieczorne wydania gazet.

- Czerwone plamy na obrusie sprzyjają rozmowie o tych drapieżnikach, ale pamiętaj, matko, że również i słowik pekiński śpiewał dla cesarza w agonii - oznajmił Albert przystępując do dzielenia soczysto-winnego ptaka, nadziewanego migdałami.

- Wiem, Alberto, że przez każdy posiłek musi przepłynąć ciemny wir; wesołe rodzinne obiady nie miałyby końca gdyby śmierć nie zapukała do okna, ale dymy, unoszące się nad indykiem, mogłyby może być zaklęciem, aby wypłoszyć Herę, tę paskudnicę.... (str. 245).

216 217

których autor przywiązuje największą wagę,

Doña Augusta wspomina Herę, byle służąca wie coś o Hermesie, Neronie czy Yi-Kingu. Lezame absolutnie jest obojętne, czy jego bohaterowie mówią odpowiednio do swojej pozycji albo czy ich język zmienia się lub nie, zależnie od okoliczności i interlokutorów. A mimo to czar tej powieści działa, bowiem w miarę zagłębiania się w książkę osoby różnicują się, określają. Ricardo Fronesis pojawia się w swej. najintymniejszej postaci, Foción staje naprzeciw niego niby antystrofa, niby yin w odniesieniu do yanga, Jose Cemi i Alberto Olalla, Oppiano Licario i doña Augusta, Jose Eugenio i Rialta, każde z nich jest osobą, tak jak na swym tragicznym obszarze są nimi Andromaka i Filoktet, i Kreon, dokonuje się cud: omijając niemal pogardliwie zwykłe chwytły pisarskie, portretowania przez opis, przez charakter, przez tendencje, Lezama wykazuje, wbrew Goethemu, że indywidualne wyptywa z uniwersalnego. Bo Lezame nic nie obchodzi charaktery, jemu chodzi o całkowitą tajemnicę człowieka, o „egzystencję ogólnoludzkiego, wspólnego rdzenia, który rządziłby powszechnością, tak jak i wyjątkami" (str. 439). Stąd ci bohaterowie, do

~ą i postępują, mysią i mówcą zgnanie z totkną poetyką, która stę przejawia w następujących fragmentach, dalszych stopniach, prowadzących do słownego umversum Paradiso

Ak ani sens historyczny, ani przyszłość, ani tradycja nie pobudzają aktywności człowieka, co najlepiej i najgłębiej dojrzał Nietzsche. To jednak, że pragnienie, pragnienie, które staje się chorałem, przez wspólnie śniony sen wypracowuje prawdziwą historyczną więź - to mu umknęło Ciężko jest walczyć z pragnieniem: to, czego pragnie, zdobywa za cenę duszy. Stare zdanie Heraklita, które zamyka w sobie całość ludzkich reakcji. Jedynym, co osiąga ponadhistoryczny sens, jest włamię pragnienie, nie zakończone dialogiem - lecz zwracające się ku wszechduchowi, który istniał jeszcze przed istnieniem ziemi.

Możemy .podjąć impuls afirmacji nietzscheańskie,~, by przewartosc~ować wszystkie wartości, ale wartości, które musimy znaleźć i ustalić, są w naszej epoce bardzo różne od tych, o których myślał Nietzsche. Grono badaczy, które szukałoby nowych ujęć: nowego spojrzenia na historię ognia, historię kropli wody, historię powiewu, emanacji, czyli aporroe Greków. Historia ognia, która zaczynałaby się od walki z elementami neptunicznymi, wodnym, ogień rozszerzający się, płonące drzewo, kolory płomieni, stos i wiatr, ptonący krzak Mojżesza, słońce i biały kogut, słońce i krwawy kur u plemion germańskich, wreszcie wszelkie przemiany ognia w energię, wszystkie te tematy, które przelatują mi przez głowę i których człowiek dzisiaj~szy potrzebuje, aby wniknąć w nowe rejony głębi (str. 409).

Na temat homoseksualnej miłości Fociona do Fronesisa:

Błędem, który popełniły zmysły Fociona, kiedy zbliżył się do Fronesisa, było, że ów obraz wcielił mu się w fom~y wyrażające dla niego to, co nieosiągalne. Ale ponieważ przeczuwał, że nigdy nie będzie w stanie nasycić się ciałem Fronesisa, bo już od jakiegoś czasu był przekonany, że może nawet i mimo woli - Fronesis kpi sobie z niego, stawiając go w sytuacjach, w których zawsze jest stroną przegraną, dokonał w sobie pewnego wewnętrznego przesunięcia, jego energia seksualna przestała pożądać tego drugiego ciała, to znaczy stracił potrzebę ucieleśniania go, stracił potrzebę drogi od faktu do ciała, a przeciwnie, wychodząc z pozycji własnego ciała, osiągał subtylizację, zwietrzenie, absolutną pneumę tego drugiego ciała - postać Fronesisa zwietrzała i nie mógł już niczego z niej rekonstruować, nie mógł już wskrzesić jej obrazu, a jego zmysłami

t ~~, .

\•

szarpała teraz namiętność bez pokrycia, sęp polujący na pneumę - sama esencja lotności (str. 435-G).

Jak widzą świat Fronesis, Cemi i Foción:

Podczas kiedy reszta uczniów okazywała pogardę i kpiła, a większość profesorów nie była w stanie zwalczyć swych niemożności i senności, Fronesis, Cemi i Foción gorszyli wszystkich wynajdując nowych bogów słowo bez skorupki w jego czystej żółtaczanej treści, i kombinacje, i możliwości mogące wyznaczać nowe rozrywki, nowe ironie. Wiedzieli, że konformizm w sposobie wyrażania się, i w myślach, przybiera we współczesnym śniecie niezliczone odmiany i kostiumy, wymagali więc od intelektualisty oddania, żądali, aby opuścił swą naprawdę heroiczną pozycję przypadającą mu w wielkich epokach, jako twórca wartości ~ form, afirmujący to, co żywe, co twórcze, a potępiający to, co ukrywa się w blokach lodu, które jeszcze ośmielają się pływać po rzekach czasu (str. 439).

Jose Cemi konwersuje ze swą babką

Babko, każdego dnia czuję, że mama staje się coraz bardziej podobna do ciebie. Obydwie macie to, co bym nazwał tym samym rytmem w interpretowaniu natury. W ostatnich czasach większość ludzi robi na mnie wrażenie, że są zamknięci, bez wyjścia. Ale wy jesteście jakby podyktowane, jakby dalszy ciąg tekstu, który ktoś wam szepcze do ucha. Nie musicie nic więcej - tylko słuchać, iść za dźwiękiem... Nie robicie przerw, gdy mówicie, nigdy

220

nie widać, żeby brakowało wam słów, wytrwale zdążacie do punktu będącego tym, który wyświecili wszystko. To jest tak, jakbyście byli posłuszne, jakbyście złożyły przysięgę na to, że ilość światła na świecie nie zmniejszy się, czuje się, że zrobiłyście ofiarę, że zrezygnowałyście z jakichś bardzo rozległych paestrzeni, powiedziałbym... może nawet z samego życia, a jednak to precudowne życie istnieje w was do takiego stopnia, że w porównaniu z wami my nie wiemy nawet, po co egzystujemy ani jak płyną nasze dni, tak jakbyśmy oddalali się od tej sfery, o której mówią mistycy, a nie znaleźli jeszcze wyspy, po której skaczą koziołki.

- Ależ, kochany mój wnuczku Cemi, widzisz to wszystko w twojej matce ~ we mnie, bo twoją cechą jest wychwytywanie tego właśnie rytmu rzadko spotykanej

powolności natury, do której dostosowujesz powolność obserwacji, również będącej naturą. Dzięki Bogu, ta powolność, pozwalająca doprowadzić obserwację do wspaniałego rozkmtu, łączy się z hiperboliczną pamięcią. Spośród wielu gestów wielu słów, wielu dźwięków, które dostrzegłeś pomiędzy czuwaniem a snem, musisz wybrać ten, który będzie wiecznym towarzyszem twojej pamięci. Nasze wrażenia są nieuchwytnie szybkie, ale twój dar obserwacyjny czeka na nie, niby w teatrze wiedząc, że muszą się pojawić, pozostać lub umknąć te lekkie hak larwy wrażenia które potem twoja pamięć uwięzi w pra-glinie, uwieczni na kamieniu, na którym pozostał cień ryby. Mówisz o rytmie wzrastania natury, ale tnxba wiele pokory, aby móc śledzić go, obserwować, szanować. Widać, żeś z naszej rodziny. Większość ludzi przerywa, krzyczy, stawia tępe żądania, wygłasza zdawkowe deklamacje, ty natomiast obserwujesz ów rytm, który z naszego wywiązywania się, z wywiązywania się czegoś, czego nie znamy, ale co, jak mówisz, było nam podyktowane tworzy naczelną znak naszego życia. Zostałyśmy podyktowane, a więc byłyśmy potrzebne, aby wywiązywanie się z wyższych poleceń dobiło do brzegu, dotknęło stopą pewnego terenu. Rytmiczna interpretacja głosu z gry, prawie bez udziału. woli, kazała nam korzystać z nnpulsu, równocześnie będącego wyjaśnieniem... (str. 4930.

Jakkolwiek synteza jest niemal niemożliwa, podaję tu fragmenty mogące dać pojęcie o ta~emnych rytmach poruszających narrację Lezamy.

Praktykowanie i, werbalne poszukiwania nieznanego celu rozwij . w nim przedziwną percepcję słów, nabierających animistycznej wyrazistości, zależnie od układów przestrzennych, słów, przemawiających niby Sybille wśród duchów. Kiedy jego fantazja podsuwała mu słowo, które mogło mieć jakikolwiek związek z rzeczy

221

wistością, 3oznawał wrażenia, że słowo to wchodzi gtu w ręce i, jakkolwiek nadal niewidoczne, oderwane od obrazu, z którego powstało, zaczyna wirować, twonąc koło peh~e niedostrcegalnych odcieni i sprecyzowanych fonu, nieuchwytnych fomm i niemalże widzialnych odcieni, kolo, które dawało mu złudzenie, że gdy przymknie oczy, będzie mógł go dotknąć. W ten sposób powstawaia w nim ambiwalencja pomiędzy pnesttzenią poznawczą, tą, która wyraża, która wie, tą, której gęstość się zmienia i która się kurczy jak przy porodzie - a Mością, która w jednostce czasu ożywia spojrzenie, uświęcony charakter tego, co w ciągu sekundy przechodzi z falującego obrazu do skoncentrowanego spojrzenia.

Przestrzeń poznawcza, drzewo, człowiek, miasto, zgrupowania przestrzenne, gązie człowiek jest pośrednikiem pomiędzy naturą a nadnaturą. (str. 474-5).

Myśląc o tym wszystkim, Jose Cemi zbliża się do witryny antykwariatu przy ulicy Obispo, gdzie rozmaite statuetki i najdziwniejsze przedmioty wydają się cierpieć z powodu braku harmonii, z powodu wzajemnego odpychania się sił, nadaremnie szukających podobieństw, pokrewnych rytmów. Cemi wie, że ilekroć ~biera i kupuje jakiś przedmiot, tłumaczy to f t, że „jego spojrzenie wybrało to i oddzieliło od reszty przedmiotów, posunęło naprzód niby figurę szachową, która wchodzi w nowy świat, w tej samej minucie na nowo, lecz już inaczej, się komponujący”, proces intuicyjny, który na oczach czytelnika Paradiso krystalizuje się w każdej sekundzie, na każdym decydującym rozdrożu powieści. Cemi wie, że „ta przesunięta figura jest punktem osiagającym nie kończący się stnumień analogii”, i me można lepiej określić mechanizmu, który wprawia w skomplikowany ruch, zatrzymując równocześnie - niby „szy>> konogi Achilles w bezruchu jak w sieci ~ ” Valery'ego - niezliczone, zarówno ożywione jak nieożywione stwory, zaludniające każda stronicę książki.

Zawierając tej nieomyślnej decyzji wewnętrznego spojrzenia, Cemi wybiera i kupuje dwie figurki, bachantkę „huśtaną łagodnie w rytmach

Przełożył Roman Kołoniecki.

kolejnych tańców”, i Kupidyna, któremu brak łuku i który - tak rozbrojony - podobny jest „bezbronnemu aniołowi”, „dziewiczemu chłopcu perskiemu na miniaturze” w połączeniu z czymś „z greckiego lub inkaskiego atlety w orszaku cudownego Werakoczy” Nieste je do swego pokoju i to, co się zdana, łączy jego początkowe rozmyślenia nad słowami, które stają się przedmiotami, z tym, co się dzieje z tymi przedmiotami, zachowującymi się jak słowa, w delikatnym związku - że raz jeszcze zacytuję Valery'ego - similitudes arnies.

Wiele dni przedtem, w tym samym pokoju obserwował kielich z masywnego srebra, który przywiózł z Puebli, stojący obok chńskiego daniela, zrobionego z jednego kawałka drzewa. Obok niego, tyle że na innym stole, stał wentylator, który denerwował daniela więcej, niżby należało, kiedy ze swym lękiem odwiecznym, kosmologicznym zbliżał się do srebrnego kielicha, w porze wodopoju, przebiegłszy połacie pastwisk. Daniel, dodatkowo zaniepokojony niespodziewanym wiatrem, zwiastującym burzę, zapierał się w miejscu, skóra na nim drżała, jak wtedy gdy prz~zuwał zimny powiew poruszający trawę, oddech węża wśród ochronnej warstwy

rosy. Dla uspokojenia drewnianego daniela należało me tylko zamknąć wentylator, ale również odsunąć kielich. Cemi przeniósł kielich z Puebli na najwyższą półkę, pomiędzy anioła i bachantkę. Wtedy nagle pojał niepokój, który już przedtem zauważył w witrynie antykwariusza z ulicy Obispo, a który znikł natychmiast na jego mahoniowej półeczce, gdy postawił srebrny kielich pomiędzy dwie statuetki z brązu. Anioł zaczął biegać bezwyt chnienia po kolistym brzegu kielicha, bachantka zaś, jakby zmęczona uderzaniem w cymbałki, zagłębiła się w nim łagodnie aż po nóżkę, by patrzeć na anioła, nadal igrającego w lśniącym kręgu jego brzeeów.

Ostatni krok będzie jakby metafizyczny, będzie osią, dokoła której skrytalizuje się system umożliwiający istnienie Paradiso, system, poprzez obraz ukazujący całość wszechświata, z którego zazwyczaj przeżywamy tylko wycinki. Oto Cemi zauważa, że pogodna wesołość, którą wzbudzają w nim te układy, „gdzie prąd sił umie zatrzymywać się w samym centrum kompozycji”, u innych zmienia się w strach, a nieraz „trudne do opanowania uczucie naj

222 223

wyższej nieufności”. Wyimaginowane miasta, które w jego wyobraźni wznoszą się w zgodzie i w harmonii rytmów, wzbudzają odruchy wściekłości u tych, którzy zatrzymują się na marginesie tej architektury, równocześnie przeczutej i stworzonej przez ducha”. We fragmencie, który ma „ciemną jasność” słynnego wiersza Corneille'a, Lezama koronuje swoją wizję:

To doprowadziło go do zastanowienia się, jak się w nim odbywają te przemieszczenia przestrzeni, to porządkowanie niewidocznego, to wycucie stalaktytów. Mógł określić, że te przemieszczenia były czasowe, że nie miały nic wspólnego z ugrupowaniami przestrzennymi, które zawsze są tylko martwą naturą. Dla patrzącego upływ czasu zamieniał te miasta przestrzenne w postaci, które mijający czas rzeźbił tak, jak przyływ i odpływ rzeźbi rafy koralowe, zmuszając go do wiecznego powtarzania tychże postaci, które ze względu na swe oddalenie pozostają wiecznymi embriónami. Esencja czasu, nieosiągalna właśnie paez ciągle płynięcie wyrażające wszelkie odległości, może odbudować te tybetańskie miasta, skarbce miraży, zdobne w kwarcową gamę wszelkiej kontemplacji, ale nam nie uda się tam dotrzeć, bowiem nie został dany człowiekowi czas, w którym zwierzęta zaczną mówić, a wszystko, co zewnętrzne, przez swoją radiację, stanie się jednym wielkim diamentem. Człowiek wie, że nie ma wstępu do tych miast, ale jest w nim niepokojąca fascynacja obrazami, będącymi jedyną rzeczywistością docierającą do

nas, gryzął nas pijawka przyssana bezustannie -'raniącą nas dokładnie tym, czego w niej brak.

W tych rozważaniach na temat Lezamy przyjmuję naturalnie, że czytelnik nie zna Paradiso, którego ostatnie wydanie wraz z tyłoma innymi książkami kubańskimi i wraz z całą Kubą czeka, ażeby reszta Ameryki Łacińskiej zdecydowała się spojrzeć w twarz swojemu przeznaczeniu. Pospieszam wyjaśnić ewentualne nieporozumienie, które mogłoby powstać z domysłu, że cała książka utrzymana jest w tonie powyższych cytatów. Te ustępy proponują tylko klucze do systemu, którym się rządzi książka, ale rozchodzi się ona w kręgach, które od banalnego, płaskiego niemal przepływu wspomnień prowadzą do inwencji zatracających o ostateczne granice magii, fantazji. Niemożliwe jest

streszczenie olbrzymiej ilości epizodów, połączonych ze sobą lub luźnych, sekwencji dośrodkowych lub odśrodkowych, niewyczerpanej fantazji człowieka, dla którego rządzenie się obrazem jest olbrzymią sokolarnią, w której sokół, polujący i ofiara stanowią pierwszą serię możliwych kombinacji, zdolnych mnożyć się aż do zakrzepnięcia w jedną olbrzymią szklaną tafłę, zawierający świat, „tybetańskie miasto”, ostateczny cud. Podam tutaj kilka przykładów, bo chciałbym, żebyście poczuli żywą krew płynącą w Paradiso, obecność ludzką, zdolną odbić to, co kubańskie, i to, co amerykańskie, odbiciem, które prawie zawsze jest hipostazą, żarliwą propozycją rośnięcia wzwyż i wszcz, w górę i w dół, w mity i w fakty, propozycją, która równocześnie otwiera szeroko drzwi żartom i gadaniu przy stole, i tęsknotom za miłością bez dna, za pustymi operowymi salami, za spojrzeniem na molo w Hawanie o świcie nie kończącej się przechadzki. A więc:

Jose Cemi przypominał sobie niby dni z bajki, kiedy za ledwie wstał, babka mówiła: - Dziś mam ochotę zrobić piankowy deser, nie z tych, które się jada teraz, co to wyglądają jak kupne, z tych trochę jak krem, trochę jak pudding. - Wtedy cały dom oddawał się staruszce do dyspozycji, nawet pułkownik słuchał jej z religijną czcią, przykazując, by i inni jej słuchali tak, jak słucha się królowych, które kiedyś były regentkami, a które później - kiedy już rządził król i tylko pojechał zwiedzać stare zbrojownie

Liverpoolu czy też Amsterdamu - na krótko wracały na swe dawne pozycje, by znowu słyszeć pochlebne szepty swej emerytowanej shrzby.

Babka pytała, jaki statek przywiózł cynamon, dłuższą chwilę trzymała go przed nosem, opuszkami palców sprawdzała jego powierzchnię, niby wiek

pergaminy, przy czym decydującą rzeczą był nie wiek utworu, lecz grubość samej skóry, 'zuchwałość kła dzika, którym tę powierzchnię wygładzano. Z wanilią trwało chyba deszcze dłużej, nie wahała jej wprost we flaszcze, musiała kropla po kropli nakapać jej na chusteczkę, po czym w sobie tylko znanych odstępach czasu przytykała ją do nosa, a gdy zapachy tej mdlącej esencji rozeszły się po całym domu, dopiero wtedy wyrokowała, czy jest to mądra esencja, godna udziału w deserze jej roboty, czy też należy wyrzucić flaszkę w trawę ogrodu, stwierdziwszy, że wanilia jest ostra i nie nadaje się do użycia. Myślę, że wyrzucając otwartą flaszeczkę była

226 i ;;;. 227

posłuszna swej sekretnej zasadzie, iż to co niedostateczne, wadliwe, powinno zostać zniszczone, aby ci, którzy zadowolają się byle czym, nie mogli już użytkować tego, co raz zostało wyrzucone. Potem z pieśczośliwym gestem cesarskim, pełnym najwyższej finezji, zwracała się do pułkownika: - Przygotuj no blachy, żeby upiec merengi... Jeszcze chwila... a .podniesie się kurtyna - mówiła, niemal niewidocznie się uśmiechając, ale dając do zrozumienia, że deser robiony przez nią wznosi dom na najwyższe czczy- l, ty. - Żabyście mi czasem nie bili jajek razem z mlekiem. Oddzielnie. Każde musi spienić się osobno, potem się je

dopiero potączy. - Wreszcie sumę tych wsrystkich wspaniałości wlewało się do rondla, a kiedy señora Augusta widziała, że płyn zaczyna się gotować, że zagęszcza się formując iółte kawałki ceramiki, które potem zostaną podane na ciemnoczerwonych talerzach, nagle ze swych nerwowych rozkazów przechodziła do kompletnego zobojętnienia. To, co zrobiła, nie było warte żadnych pochwał, j

228

porównań, pieśczośliwych, mających zachęcać do jedzenia uderzeń po plecach, już nic nie było ważne i staruszka wracała do rozmowy z córką. Jedna z nich wyglądała, jakby spała, druga coś opowiadała. Jedna w kącie cerowała pończochy, druga gadała. Wychodziły z pokoju, Jakby jedna musiała poszukać czegoś, o czym w tej chmli właśnie sobie przypominała i brała za rękę drugą, która coś mówiła, śmiała się, szeptała (str. 18-20).

Tak dowiemy się o śmierci Andresita i Heloizy, o weselu Jose Eugenia, z rozkosznym epizodem na temat bucików jego narzeczonej Rialty, matki Josego Cemi, która jest najbardziej uroczą postacią kobiecą książki. Zniknięcie Josego Eugenia wprowadzi na pierwszy plan osobę jego syna i poprzez niego, wraz z nim

poznamy - Demetria i Blanquitę i będziemy świadkami wspaniałej partii szachów, w czasie której wuj Albert dostaje tajemne polecenie zamknięte w kawałku nefrytu, stwarzając atmosferę pełną magii, aż do chwili gdy Jose Cemi ukradkiem stwierdzi, że papierki są zupełnie czyste i że magia może być skuteczniejsza właśnie dlatego, że wymyślona i poetyczna. Rytuály falliczne Leregi i Farraluqut mają w sobie coś z małpiej parodii będącej wstępem do niesłychanej rozprawy na

temat homoseksualizmu, w której równocześnie określone zostają bazy mitycznej i poetycznej antropologii oraz charaktery Fociona i Fronesisa. Końcowe rozdziały są najbardziej poWiesciowe w sensie treści: dramat Fociona pr-wżywany w związku z Fronesisem, sardoniczna historia ojca tego ostatniego i Sergiusza Diagilewa, zakończone halucynacyjnym epizodem obłądu Fociona. Ubogie streszczenie książki, która nie może tego znieść, która żąda dokładnej, całkowitej lektury. Ale w oczekiwaniu na nią byłoby egoizmem oprzeć się chęci zacytowania zdarzeń, zwrotów, żartów, jak te, które następują

Kiedy się zbliżał, jego oliwkowy mundur odbijał od nasiennej żółtości melonu, który podrzucał przez cały czas, ażeby nie czuć jego ciężaru, w podniecało melon tak dalece, że w końcu przypominał psa (sir. 21-2).

Andresito, najstarszy syn donii Augusty, zanim jeszcze przystąpił do wielokrotnego wytrząsania wody z krzywizny swych skrzypiec, uprawiał stronice swej partytury i w tej ciszy otyłego komandora poprzedzającej pierwsze takty.... (str. 54).

Prezydent' przechodził paez balową salę z powolnością pięknego ukłonu, utrwalonego na wierzchu tabakierki (str. 40).

Budzii się z uczuciem nieokreślonej kolekcji cisz, przypominającej owe polowania które polega~ ą na niezakłócanm gamy cisz wokół tygrysa (sir. 309).

Wydawało się, że jest czarownikiem godzin, posiadał sekret metamorfoz czasu, godziny zamieszkałe przez popieliczki lub przez Emys Rugosa, które potem zamieniał w godziny sokota lub kota o naelektryzowanych wąsach (sir. 437).

Uwatali go za ofiarę wysokiej kultury, tak jak bywają ofiary powieści kryminalnych, które w końcu do własnych domów wracają przez okna (str. 569).

Dom oślepiał światłem, lśnił metalami, jakby już ptzygotowując świetliki wspomnień (sir. 158).

Kiedy wuj Albert dyskutował z matką, señorą Augustą, thikł sewrską porcelanę z pasterskimi scenkami, pozostawiając kozy z jednym zębem lub spodenki podciągnięte na jednej nodze podczas porannej próby dworskich tańców.

Señora Augusta ciągnęła swoje uwagi kontraltem, opierata się, nie chcąc sprzedać ostatnich akcji Western Union i nagle w tym momencie popielniczka ze rżniętego francuskiego kryształu, wybuchając niby kopalnia kwarcu pod wpływem podmuchu i oszalałego wyścigu gnomów,

230

składała swoje szczątki w koszyku z plecionej trzciny (str. 104-5).

Jej właścicielem był pułkownik z czasów walk o niepodległość, Castillo Dimas, który spędzał trzy miesiące w mająteczku obok Casbañas, miejscu wręcz edenicznym, gdzie się sypiało jak suseł, żarło jak bąk i nudziło jak struś w paranirowanie (str. 287).

Wtedy spotkał swą dawną metresę, Hortensję Schneider, izoldyczną i nierealną pruską piękność. Przy swoich czterdziestu latach, w cieniu, nadal miała uszy i wargi nęcące niby nadreńskie sosny. Zestarzawszy się po wagneriańsku, un,eniła swoje zbyt wysokie mniemanie o wielkości, o kontynencie, i teraz w Chinach w dalszym ciągu grała swą izoldyczną rolę, ograniczając się do roli ukochanej cesarza (str. 585).

I

Paradiso jest jak morze i powyższe cytaty ulegną ponuremu losowi każdej meduzy wyrwanej z jego zielonego brzucha. Z początku zaskoczony, teraz już rozumiem ruch mojej ręki, kiedy znów wyciąga się po grube tomiszczce, żeby przerzucić je raz jeszcze; to nie jest książka do czytania, tak jak się czyta książki, to przedmiot mający swój rewers i swój awers, ciężar i gęstość; zapach i smak, wibrujące centrum, które nie pozwala zbliżyć się do swojego najintymniejszego miejsca, o ile nie podchodzi się do niego z gotowością, by dotknąć tajemnie czegoś, co szuka drogi przez osmozę, przez sympatyczną magię. Cóż to za cudowna rzecz, że Kuba dała nam równocześnie dwóch wielkich pisarzy, którzy bronią baroku, jako podpisu i znaku Ameryki Łacińskiej, i że tak wielkie jest jej bogactwo, iż Alejo Carpentier i Jose Lezama Lima mogą być dwoma biegunami tej wizji i objawienia baroku : Carpentier, wzorowy powieściopisarz o technice i jasności Europe~czyka, autor dzieł fabrykowanych z pełną świadomością, autor książek do czytania, utworów wyszukanie zinstrumentowanych, ku zadowoleniu tego zachodniego specjalisty, jakim jest pożeracz powieści. I Lezama Lima, orędownik ciemnych operacji ducha poprzedzającego intelekt, zon, które rozkoszują się nie rozumiejąc, dotyku, który

słysz, wargi, która widzi, skóry, która wie o fletach w godzinie lęku, która zna błądzenie po bezdrożach przy pełni. W swoich najwyższych momentach Paradiso jest ceremonią, czymś, co wyprzedza wszelką lekturę mającą literackie cele i sposoby, ma tę pożądaną obecność typową dla wszystkiego, co było zasadniczą mżą eleatów, amalgamatem tego, co później zyskało nazwę poezji i filozofii, nagą konfrontacją twarzy ludzkiej z niebem lazurów i gwiazd. Takiego dzieła nie czyta się: szuka się w nim rady, brnie się przez me wiersz po wierszu, sok pó soku, w udziale tak intelektualnym i wrażliwym, tak namiętnym i gwałtownym, jak to, co z tych

linii, z tych soków szuka nas i nas objawia. Biedny, kto chce podróżować przez Paradiso, tak jakby podróżował przez „książkę miesiąca”, przez tę przygnębiającą telewizję, oglądaną na papierowym ekranie zwykłych powieści. Od pierwszego spotkania z poezją Lezamy wiedziałem, że Paradiso jest koronacją królewskiego dzieła. I tak jak po to, by dotrzeć do Montego Bay,

kiedy j~ oa pisskady jedwabistych Przerwach pomiędzy zstapiom:

nierze~ywisWŚci~ a oieodwracalt~ solidnaście ziemi

uczynib się akwariam metryrme i iim~ski pępek

wzniósł się poosd rozrvi~zły óoryzont, mYlqcy czkrwieka z odbiciem drzew...

trzeba przypomnieć sobie legendę Idumejczyków, rozmnażających się niby rośliny, bez

232 233

„ziemskiego pępka”, bez czasu, „metrycznego akwarium”, w ten sam sposób każda ciemna i ryzykowna stronica Paradiso, każdy obraz wykorzeniający lub alienujący wymaga pokornego, lecz głębokiego umiłowania pierwszej porannej przechadzki po ogrodach Edenu, odgadywania paproci, narożników i zachowań, kadencji rytuału, który za pomocą hipnozy i oczarowania otwiera drzwi do tylu tajemnic wyjaśniających się w wielkim świetle tej summy. Dzięki Paradiso, jak w swoim czasie dzięki Locus Solur lub dzięki „Śmierci Wergilego”, wracam do słowa pisanego z uczuciem dziecka, powoli wodzącego palcem po mapach atlasu, po brzegach obrazków, które miały upojny smak nieznanego, słów, które były psalmartii, rytmami i rytuałami ustępu: Przed kalendami itpcowymi... Pięhiaslu cWopa na ~anrzyka skrzy_ ni... Wyprawa po złote nmo... Monstmy i passety... Sezamie, otwórz się... Teraz sumuje się ciężar martwego albatrosa, teraz jesteśmy mędrkami. Ale zasadnicze podejście się nie zmienia, jest to bowiem podejście każdego poety, który szuka ud~iału lub go ofiarowuje. Paradiso powinno być czytane

jak orficzne hymny, jak zwierzyńce, jak Milion weneccjanina, jak Paracelsus, jak Sir John Mandeville, i w tym skandowanym pytaniu wyroczni, w którym drży pewność przerakująca zagadki i absurdy, i mowiara w czujność intelektu, czytelnik wchodzi w słowo i poprzez słowo w transcendentalny kontakt i staje na wprost wnętrzości, których pyta i z których wróży kapłan, staje przed wieszczymi tablicami, wyznaczającymi drogę ku 1 King i Libri Fulgurales.

Czytać Paradiso to jakby patrzeć na ogień stosu, wnikając w wir jego układu i unicestwienia, w jego stronę klasyczną - bo przecież to stos ofiarny, w jego romantyczną godzinę iskier i nieoczekiwanych wybuchów, w jego barok niebieskawych i zielonych dymów, w jego chwilę Ahuramaz~y, w jego chwilę Brunhildy, w kosmiczny znak Empedoklesa, w spiralę

234

Izadory Duncan - a za tym zawsze stare kobiety północnych brzegów, które z płomieni wróżą los tych, co na morzu stawiają czola rozpętanym krakenom i lewiatanom. Człowiek dotarł do księżycy, ale przeszło dwadzieścia wieków temu pewien poeta wiedział o czarach zdolnych ściągnąć księżyc na ziemię. W grom rzeczy jaka to różnica?

Stos na którym

Był pierwszym, który oskarżył mnie o

Bez dowodów i jakby wbrew sobie lecz znaleźli się tacy oo już To wiadome, w miasteczku zagubionym wśród

Ci~ży czas nienxhomy i tylko co parę budzie żyjąeY z PaJęczYo, z tych Powolnych Może mają i serce, lecz gdy mówią, to

O co mógł mnie oskaryić, jeżeli9ny tylko Ni~ożliwe by z samej urazy po tej Może pełnia księżycy, w noc gdy wzi~ł mnie do (Ugryźć z , miłości to nie takie dziwne, pot~n gdy się już Jęknęłam, tak, a może potem w jakieyś chwili mogłam

Ale więcej nie mówiliŞmy już o tym, on był jakby dnamy z Zawsze są jakby dumni, gdy jęczymy, wobec tego

Jakże odmianą pamięć ma nienawiść, która następuje po Bo w owe dni kochaliśmy się bardziej, niż gdyby

Pod księżycem, otuleni w piaski, i cali woniej~cy jak

(No to ugryzłam go, tak, ugryźć z miłości to nie takie Nigdy nie rzekł mi nic, myślał tylko 0

Maścił mi piersi ziolami, które moja matka

A on, radość tytoniu tkwiąca w jego brodzie, i tyle iooych
Nie padał nigdy deszcz gdy schodz~iś~ny nsd rzekę, d~oć czasami
Chusteczką czarno-białą powoli ocierał mnie gdy Nazywaliśmy się imionanti zwierz~t
prze«r~nych, dnxw które rzucajsl Nie było końca temu powracaj&cemu porz.~tkowi
każdej

(No to ugryzłam go, kiedy wbity we mnie, sam mnie Zawsze- w jakiejś chwili
ł~czyły się nasze głosy, gdY

A mogło przecież trwać, jak niebo zielone i twarde ponad moimi Dlaczego -
jeżeli objęci mogliśmpmieść cały świat, co przeciw

Aż do pewnej nocy, Pamiętam ją niby gwóźdź między wargami, kiedy
poczułam Och, księżyc na jego twarzy, ta martwa pieszczota skóry, która przedtem
Dlaczego przelewał się z boku na bok, dlaczego jego ciało ulegało jakby - Chory
jesteś? Połóż się na płaszczu, pozwól żebym cię

Czułam jak drier z lęku czy z niemocy a kiedy spojrzał na

Moje ręce zoowa go tkwały, szukaj~c tego pulsu, tej cieplej wypukłości, co Do
świtu byłam wiernym cieniem, wierzyłam że znów

Lecz przyszedl nowy księżyc, a gdYśmY się dotknęli wiedziałam że już A on
drżał z gniewu i zdarł ze mnie suknię jakby

Pomagałam mu, byiam jego suką, lizałam różgę, oczekuj~c że Skłamałam
krzyk i szlod~, jakby naprawdę jego ciało mi

(Nie ugryzłam go więcej, ale jęczałam i bлагаłam, żeby dać mu to Jeszrie
mógt uwierzyć, Podniósł się z tym uśmied~em z tamtych czasów, gdY Ale Przy
pożegnaniu potknął się, a gdy odwracał twari zobaczyłam grymas i Sama w domu,
obepnuj~c kolana czekałam aż do

Pierwszym, który oskarżył mnie, był

(No to ugryzłam go, ugryźć z miMści to nie jest Teraz już wiem, że gdy
nadejdzie ów ranek i ja Zbraknie mu odwagi by zbliżyć pochodnię do Zrobi to za
niego ktoś inny, podczas gdY on Okno ucóylone, patrząc na plac gdzie mnie

~ P~~Y ~ę Pa~Y~ w to okno podczas gdY Będę go gryzła do samego końca

(Ugryźć z miłości to nie jest aż tak

Podeptane u>lajomości

Powisdaj~, że szosy cudów mioęły. Nie brak dziś filozofów, którzy w proste i powie wyp~ ~i~iaj~ rzeszy oadprcyrodzaoe i nie maj~oe PriYczynY• Stad idzie, że onim osz>~cowaoi, w śmiem obr~smy oda

i~ BdY~Y p~ stać w niewytlumaczaoym a

(Shakespeare, Wszystko dobrze, rn się dobrze kończy, akt II, sc. III).

Sj)O~iłllie Ze Złe111

Pisarz powinien mieć przywilej reifikowania swojej wyobraźni na najbardziej księżycowych rozdrożach życia. Niezdolny, by to robić przy czym mogłoby to okazać się potworne zadowala się szeregowaniem słów i, przy pomocy trzech pstrych pr~ępiórzyc z papieru i ołówka, wymyśleniem de Qumceya, który by jechał autobusem linii 92, łączącym Porte Champerret z dworcem Montparnasse (pewnego zmnowego wieczora lat temu dziesięć). Nikt inny, tylko de Quincey powinien był przeć to spotkanie (jeszcze od czasu do czasu doskonałą ~e w koszmarach sennych), właśnie on, który zdołał przebić się przez przerażającą londyńską noc, by wskazać twarz kredowo-błądą, przeraźliwie żółtopomarańczowe włosy krążącego wśród obłoków dymu Williamsa j. Niezwykła bladeść Williamsa została odebrana przez de Quinceya jako klucz do jego niepojętych zbrodni. Kto wie, może i tym razem byłby wytropił jakiś rys ostateczny, którego my, stłoczeni w autobusie, nie byliśmy w stanie wychwycić. Powrót z pracy, zimno i niemal przyjemnie na owej zamkniętej platformie, podczas gdy rozglądamy się po pustych

Przekład L. Ulricha.

Thomas de Quincey, On Murder Considered as One of the Firre Arts, w: Selected Writings Rondon House. New York 1937, s. 1033 i nast.

240

LANDRU

twarzach sąsiadów, pośród tego milczenia, które ,lest nie pisany prawem Paryża. Nie wiem, kiedy wszedł człowiek w czarnym palcie i kapeluszu, dość, że w jakimś momencie znalazł się tutaj, zapewne, jak każdy z nas, podał bilet konduktorowi siedzącemu w swej dziupli, i pozostał tak, z oczami wbitymi w ziemię lub patrzącymi na doły palt, na rękawiczki, gazety ~ torebki damskie. Już przejeżdżając przez most de 1'Ahna, przed pierwszym przystankiem na Avenue Bosquet, niektórzy zauważyli go i cofnęli się mimo woli, jakby szukając oparcia wśród innych nieznanych pasażerów. Wiele osób wysiadło przy Ecole Militaire,

zaczynał się ostatni odcinek drogi i autobus pełen był nieświeżego zapachu ciał, poruszających się pod rzeźliczo~6 - Corlazar 24 ~

nymi warstwami swetrów i szalików. W jakiejś chwili odczułem lęk powoli ogarniający tę platformę, na której przed chwilą jeszcze nikomu nie byłoby przyszło do głowy, że nagle zacznie się lękać. Nie umiem opisać nic podobnego. Jest to aura, promieniowanie zła, obecność wywołująca wstręt. Mężczyzna w czarnym palcie z podniesionym kołnierzem, który zakrywał mu usta i nos, z rondem kapelusza opuszczonym na ~xzy, czuł to, może chciał tego; przez cały czas me spojrział na nikogo, co było chyba jeszcze gorsze, groźba emanująca z tego wyobcowania stawała się tak nieznośna, że pasażerowie łączyli się z soi w poczuciu bezbronności, przygotowani na wszystko. Przypominam sobie, że konduktor, człomek o siwych włosach i łagodnym wyrazie twarzy, spojrział na tamtego i niemal natychmiast na paru pasażerów, jeszcze stojących na platformie, Tak jakbyśmy się jednoczyli, a człowiek w palcie wiedział, że jednoczymy się, i wciąż stał bez ruchu, jedną ręką trzymając się pionowego drążka, z oczyma wbitymi we własne trzemki; to było straszne i trwało bez końca, kobiet już nie było, a my, mężczyźni, nie poruszaliśmy się, ale wiem, że każdy czekał na swój przystanek jak na moment wyzwolenia, powrotu do życia, tam, na zewnątrz.

Powiedzieć, że to było Zło, to jakby nic nie powiedzieć. Znamy jego uśmiechnięte twarze, lego uprzejme gierki. Nie do zniesienia (a to czuł i konduktor w swojej prostocie, i my wszyscy, każdy ze swego odmiennego świata) był właśnie ten brak jakiegokolwiek zewnętrznego znaku; w obłędzie może się to wydarzyć, że nagle ołówek jest śmiercią lub trądem, me przesta~ąc być tylko ołówkiem, w sprzeczności anulujące~ wszelką możliwość obrony, bo rozum to przede wszystkim obrona. Człowiek dalej stał nieporuszenie, z twarzą niemal że zasłoniętą, patrząc na swe trzewiki; z miejsca, gdzie stał, mała jakby plama pustki, odór cienia, groza. Jestem pewny, że gdyby gwałtownie

244

podniósł głowę i popatrzył na któregokolwiek z nas, odpowiedziałby mu krzyk lub ślepy pęd do ucieczki. W tym zawieszeniu czasu grały siły nic już z nami nie mające wspólnego,

x strach był żywą materią, w którą wpływało niejasne przeczucie tego, co by się stało, gdyby ktoś nagle wskoczył z zewnątrz i wypchnął

~' ciężki thimok, przywarty do pionowego drążka. W tym sojuszu poza wszelkim rozumowaniem, ;w tej podziemnej łączności poprzez żołądki " i włosy na karku jakiegolmek przerwanie , - ciągłości wydawało się jeszcze straszliwsze niż powolne toczenie się autobusu 92 poprzez noc. Kiedy na przystanku Avenue de Lowendal nie wsiadł ani nie wysiadł nikt, zrozumiałem, że po to, by osiągnąć dzwonka, muszę zbliżyć się do tamtego, i w tej samej chwili zobaczyłem, zobaczyliśmy wsryscy, że jego ręka ześlizguje się po pionowym drążku, by zadzwonić. Stałem możliwie~jak najdalej, w nadziei, że inni może również wysiądą przy rue Oudinot, ale nikt się nie poruszył, tamten już był zadzwonił pierwszy i 92 dalej toczył się po ulicy, zbliżając się do przystanku i hamując powoli w obrotach, by nie zarzuciło go na cienkie, przymarznionej warstwie śniegu. Kiedy stęknęły automatyczne drzwiczki i męczyszna szybkim, ale nie kończą

" . cym się gestem odwrócił się tyłem, by wyjść, F konduktor musiał zaczekać chwilę z ręką na t przycisku, zamykającym drzwi, ażeby pozo

stałe trzy osoby zdecydowały się wysiąść. Aleja 'oślepiła nas swą cichą ciemnością, trzeba było uważać, żeby się nie pośliznąć na gołoledzi.

`My wszyscy, którzyśmy razem wysiedli, czekaliśmy, aż autobus ruszy, żeby przejść na drugą stronę ulicy, bez słowa (cóż zresztą mogliśmy sobie pomedzieć, co nas właściwie łączyło?) i jakby zawstydzeni tym współnictwem, które

"` ciągle trwało. On minął szereg stojących wzdłuż % alei drzew, wszedł na chodnik i stanął na rogu alei i rue Oudinot nie patrząc w naszą stronę.

~a Za jego plecami rysował się mur Instytutu dla g°. Ociemniałych, może tam miał wejść, może do • 245

któregoś z domów dla starców, których sporo jest w tej dzielnicy klasztorów i małych, skrytych za murami ogródków. Moi dwaj towarzysze przechodzili na drugą stronę alei, ślizgając się na lodzie, szedłem tuż za nimi, wiedząc, że zaraz będę musiał skręcić w zupełnie pustą o tej porze rue Oudinot, w którą mógłby rzucić się za mną. Tamci szli w kierunku rue de Scévres, błyskającej w oddali światłami, szli razem, utrzymywali przymierze. Ja pośliznąłem się i oparłem o pień platana; kiedy ukradkiem rzuciłem okiem za siebie, na rogu nie było nikogo.

Wiele miesięcy jeździłem potem autobusem 92 o tej samu porze, wielokrotnie spotykałem tego samego konduktora o łagodnym wejrzeniu i niektórych towarzyszy owej nocy. Zło

nie wsiadło nigdy więcej, a my, którzy przecież nie znaleźliśmy się, też nigdy nie wspomnieliśmy ~, słowem tamtego wieczoru, zresztą w Paryżu nie robi się takich rzeczy.

Wracając do Williamsa, natarczywość, z jaką de Quincey opisywał anormalne cechy jego twarzy, jego wstrząsającą bladość, kontrastującą z tymi pomarańczowożółtymi włosami, wskazuje jasno na coś wykraczającego poza zwykłą chęć wstrząśnięcia czytelnikiem. De Quincey musiał zdawać sobie sprawę, tak jak zresztą Dostojewski w zakończeniu *Idioty*, że rozmaite poziomy, na których odbywają się zbrodnie, są uzależnione od rozmaitych wartości, w systemie, w którym zwykły rozsądek i rozeznanie są niejako poparte przez trudny do nazwania strach, równocześnie działający

246 247

MYRA HEDLEY

IAN BRADY

na zbrodniarza i na ofiarę. 'Nie chodzi tylko o strach, który daje impuls, a przez to ułatwia zbrodnie łańcuchowe, jak to miało miejsce z Kubą Rozpruwaczem lub wampirem z Dusseldorfu; nawet przy morderstwie nie poprzedzonym atmosferą anonimowych zbrodni mogą zaistnieć okoliczności, które miałyby się ochotę nazwać ceremoniami, podwójnym tańcem skutych ze sobą ofiary i mordercy, uzupełnieniem, dopełnieniem.

„Wiktymologia” jest od lat gałęzią nauki i jeżeli można to tak nazwać, jest ona jakby antytematem kryminologii. Baudelaire, który dużo wiedział o tych sprawach, był chyba pierwszym, który przeczuł głęboką więź łączącą kata z ofiarą.

Co bym zrobił owego wieczoru, gdyby czarno ubrany człowiek z autobusu 92 zaczął mnie gonić po pustej rue Oudinot? Oczywiście nie wiem, mogę jednak założyć, że nie zrobiłbym paru rzeczy, a przede wszystkim nie uciekałbym. Jestem przekonany, że absurdalność sytuacji nie pozwoliłaby mi na to. Prawdopodobnie usiłowałbym sprowokować jakąkolwiek akcję ze strony przeciwnika zatrzymując się,

wając się do niego, prosząc go o ogień;~byłoby to - rzecz jasna - zachowanie się ofiary, jakiś pierwszy krok ceremonii.

Studium doktora Karola Berga na temat Petera Kurtem (któremu wszyscy nadajemy twarz Petera Lorre, chociaż nie był wcale do niego podobny, był natomiast bardzo podobny do Maxa Jacoba, co z pewnością niesłychanie ubawiłoby tego ostatniego) wykazuje, że niektóre ofiary zachowywały się w sposób, który tylko

wielcy powieściopisarze zdolni byli przeczuć. O ile w literaturze zbrodnie są mało przekonywające, o tyle relacja Rogożyna z zabójstwa Nataszy i opis Mersaulta na algierskiej plaży musi wryć się na zawsze w pamięć. Jest w nich ta aura fatalizmu i przyzwolenia, którą tamtego wieczoru dane mi było przeżyć na platformie autobusu.

Opór fizyczny ofiary sprawia, że wielokrotnie nie zauważa się jej wewnętrznego przyzwolenia, ale teraz już i ja wiem, tak jak to wiedziały Natasza i wiele ofiar Petera Kiirtena lub Rozpruwacza, że zdumiewające niewykorzystywanie możliwości ucieczki jest już samo w sobie przyzwoleniem, nawet jeżeli później ofiara miałaby przejść do tragicznej walki, by nie dać się udusić lub przebić nożem. Przypadek Marii Butlies jest bezbłędnym skrótem tego rodzaju zanikania najprymitywniejszych odruchów obronnych. W atmosferze nieprzytoornej paniki, kiedy anonimowy wampir zamordował już, zgwałcił i wykrwawił dziesiątki kobiet i dziewcząt Dusseldorfu i miasto żyło w stałym oczekiwaniu nowych zbrodni, Maria Butlies pozwoliła się zaczepić jakiemś dobrze ubranemu panu, który wziął ją do parku i namówił do stosunku, mimochodem usiłując zadusić w kulinacyjnym momencie. W studium Karola Franklina o Kurtenie jest mowa o wielu kobietach, które zostały tak samo potraktowane i jakimś cudem uszły z życiem, co nie przeszkodziło im w dalszym ciągu spotykać się z Kurtenem, przy czym w ogóle nie podejrzewały, że on jest wampirem. Po próbie uduszenia, którą widać musiała uznać za kaprys mężczyzny szukającego podniety, Maria Butlies najspokojniej zgodziła się pójść do mieszkania Kurtem, gdzie ów mógł ją być zamordować, tak jak to robił Rudolf Scheer ~ .Nieświadome przyzwolenie idzie jeszcze dalej : Maria, wstrząśnięta zachowaniem Kurtena, w liście do przyjaciółki opisuje przygodę w parku i strach, jaki tam przeżyła. Przyjaciółka zrozumiała natychmiast, że chodzi o wampira, i zaniosiła list na policję. A przecież Marta na pewno nie była ani zapóźniona w rozwoju, ani nieinteligentna, mieszkała w Dusseldorfie i była zdolna pisywać listy, w których omawiała swoje miłosne prze

Por. Charles Franklin, A Mirror of Murders, Transworld Publisher, London 1964.

248 ; , , 249

życia. Jak wytłumaczyć to nagłe zablokowanie systemu kojarzenia, tę amnezję wobec przerażającej groźby, jaką stanowił wampir dla dziewczyn tego miasta? Specyficzny stosunek, który tylokrotnie ustala się pomiędzy katem i ofiarą, może mieć charakter quasi-hipnotyczny i wymkać z zaistnienia atmosfery

Inhibujące, podobnej do tej, którą poznaliśmy wtedy w autobusie linii 92. Można tu wyczuć subtelne zawieszenie instynktu samoobrony, uśpienie czujności, jakie niektórzy kryminaliści - Kiirten, Rozpruwacz, Landru, Christie i niemal niepojęty Bela Kiss - byli w mocy narzucać swoim ofiarom tym samym gestem, z którym podawali im ramię lub ofiarowywali kwiaty ~ ,

Kuba Rozpruwacz blues

I've no fine to feel you law I cenie to be a kiper,

But you should knoty, as fine will show, Zhat I'm a society's pillar.

(Z poematu ,przesłanego przez Kubę Rozpruwacza do którejś z londyńskich gazet, 1888).

Listy i wiersze, które w okresie morderstw przypisywano Kubie, do dzisiaj są przedmiotem dyskusji w jego ojczyźnie, szczęśliwym kraju, dla którego przestaje istnieć czas, gdy w grę wchodzi przyjemność związana z rozszyfrowywaniem tajemnicy. Jako że woda i pragnienie stwarzają się nawzajem, trudno się dziwić, że Wielka Brytania wyprodukowała kilka najznakomitszych zagadek w historii wraz z odpowiednią porcją najzarliwszych wysiłków w celu rozwiązania ich. Kim był Szekspir? Kim był Kuba Rozpruwacz?

My, Argentyńcy, możemy być dumni: Kuba umarł w Buenos Aires. Ze swej strony

De Quincey.

Rosjanie nie ukrywali swojej satysfakcji, gdyby mogli wyżu wymienione zdanie zastąpić

'; esym: Kuba umarł w Petersburgu. Last but !' ,wt least, Anglicy uśmiechają się uprzejmie: ~' ;; Kuba umarł w swojej ojczyźnie, ponieważ był

~ mniej, ni więcej tylko osobistym lekarzem Jej Królewskiej Mości Królowej Wiktorii. Jak '; Widać, rzecz mocno przypomina trzy autentycz

ne głowy Jana Chnciela, dekorujące takąż ::' ilość kościołów. Bez zmrużenia oka odrzucam P ' teorię popartą moskiewskim złotem i szer

nierką Williama Le Queux, według której Rozpruwacz był niejakim Padaczenką, dystygowanym psychopata, którego ochrana wysłała do Londynu, żeby drażnić i dyskredytować policję angielską. Jakkolwiek zawsze dniałem przed podejrzaną łatwością, z jaką Rosjanie opanowują języki, w oczekiwaniu, żeby

opanować resztę, nie wyobrażam sobie żadnego Padaczenki zdolnego między jednym a drugim morderstwem pisać poemaciki, o których można wszystko powiedzieć prócz tego, ~" że to nie jest cockney:

I'm not s butcher, I'm not a Jid

Nor yet a foreign skipper,

But I'ro your own Gght-hearted friend, Yours truty, Jack tbe Ripper.

Przykro mi; że Charles Franklin, który towarzyszy mi w pogardliwym eliminowaniu proslowiańskiej teorii, okazuje się równie sceptycy w odniesieniu do lekarza grubej władczyni, co gorzej, wydaje się zupełnie nie docemac wielkości teorii argentyńskiej. Przede wszystkim takie eliminowanie tytułu lekarza grubej wykazuje zupełny brak zrozumienia dla tak zwanych „niebezpiecznych zakrętów”, jakby je nazwał Priestley, owych „gdyby”, które, od nosa Kleopatry począwszy, mogłyby, może i z korzyścią, zmienić cały bieg historii. Wystarczy wyobrazić sobie Kubę, przeprowadza~ącego na tak obszernym i królewskim

zso zsl

EL SAPO o

polu operacyjnym to, czym musiał skromnie yadowolić się pracując na Mary Kelly, a co ~ względu na wrażliwość niektórych czytelpików pozwolę sobie uzupełnić notką, wydruko~,vaną do góry nogami

Ćwiczenie imagacji (widzę, że ptzeczyta~ już notę, bomem nie uważasz się za osobę ~rrażliwą) stanie się łatwiejsze, gdy pomyślimy 0 owej słynnej fotografa królowej Wiktora na koniu i o drugiej, na której tizyma za uzdę zwierzę, które nie wiadomo jakim cudem przeżyło ową przejazdzkę. Wobec takich dokumentów łatwo jest zrozumieć, że Kuba zadtżał, ale tu tracimy czas, bowiem nigdy nie uwierzę w tę teorię. Nie na darmo jestem Argentyńczykiem i mnie odpowiada teoria Leonarda Mattersa .Tak więc, jakkolwiek zawsze będę twierdził, że Rozpruwacz był chirurgiem (zresztą nigdy nie było wątpliwości i wszystkie dokumenty stwierdzają, że rany były zadawane z głęboką znajomością zarówno anatomii, jak i operowania skalpelem), będę wytrwale stał po stronie tych, którzy ehminu~ąc zarówno podejrzanych słowiańskich anarchistów, jak i autentycznych lekarzy, chylą głowy z należnym szacunkiem przed doktorem Stanleyem, który zmarł w końcu ubie~łego wieku w mieście Buenos Aires, a przed śmiercią wyznał swą krwawą sagę rodzinie, rozpętując łańcuch nieoczekiwanych reakcji, od osłupienia aż do konwulsji.

oou~ ,sar (t> xEUz '91l Ws 'n,~ 'do `u!~xuey ~,~zoł yos8óu n~ auozołn ~
auep8łxsod a!uu~i~is `~izaaz~ CaC ~~iq !u~au~Cs Cauzaaaelsó masce uLCu -
zayoq~!Q wzeiqó iuei z ais ~ezsaimz ~Cuolsa3 ~Cq!u ixzs!X w~jzof unupa!s~s eu
łdzofn !wexaaa m~aoias z zerw ~arolx `!siaid ra! ł~!apo ea~apioy~ '~xP~to? oP ?e
~uozsaqaq~ ala~mox~eo r ~i~.certyo qonz~q `sou mCzsn al~mz.~apo efe!y~
~o~ómozia~ośd nso~s op o!zpoqaop a!o~!v u>~a Cud `8yon oP ~.hn Po aC~!oazid
e~e!m o~pmrJ wxzoł Bu k!m.ix a~~Cex -algo ~ aoeu ofeza~ ofeta ausmouElm~od fa
f ~mosezo (~) qo~Cmo !ragod ~nuex!up~un mnCuo~nzoaiuz oxls~Czsn~ eu lameu
o~ -~us%z.~jsw `~C~~a~ ~EyV z !qom eqnX oo `o,~" :B~oN

Cytowana przez Franklina

253

GOYO CARDENAS

O ile jestem pnxkonany, że doktor Stanley był Rozpruwaczem, o tyle nie znam powodów jego osiedlenia się w Argentynie, chyba żeby miało to być pnxciwwagą dla Juana Manuela Rosas~ . W tym układzie luster odbijających się w lustrach lub powtórzeń nie liczących się z historycznym czasem istnieje inny element, wspierający moją teorię. Zdaniem Franklina, Stanley chciał pomścić syna, któremu Mary Kelly złożyła w darze wcale pokaźny syfilis na długo przedtem, zanim została tak efektownie poćmartowana. Może aby wyrobić sobie rękę, a może z powodu podobieństwa dziewczyn, które w identycznych pelerynkach i przy słabym oświetleniu gazowym były nie do odróżnienia, Kuba doszedł do Mary Kelly po długiej praktyce i nią dopiero zamknął swoją serię, dowodząc w ten sposób, że zemsta została dokonana, a reszta może zmienić się w historię Argentyny. W swym studium na temat tego wypadku Franklin dodaje ze zwykłą sobie bystrością, że w teorii tej jest wiele nieścistości począwszy od tego, że Mary nie była chora na syfilis. Nie będę oskarżał owego dziewczęcia o tę przypadłość, skoro nie uległo jej, lecz doświadczenie mnie uczy (jak powinno też było nauczyć Franklina), że jakiegokolwiek bardzte~ lub mniej naukowe wzmianki na temat syfilisu bywają starannie zacierane, gdy tylko chodzi o Buenos Aires. O Pedrze de Mendoza, założycielu tego pracowitego miasta, podręczniki historii pruderyjn e wspominają, że „był już bardzo chory”, gdy przyjechał nad Rio de la Piata, podczas gdy prawdą jest, że po rzymskich hulankach znajdował się w identycznym stanie jak syn doktora Stanleya. Mam wrażenie, że tym jednym -zdruzgotałem dostatecznie anglofilskie wywody Franklina.

Ach, jakżebym chciał wiedzieć coś o życiu ŁKnva d ktator Ar ent

tłum:) WY Y 8 YnY> 1793-1877 (Przyp.

254

guby w Buenos Aires, o tym, czy czasami ' opuszczał tzw. „kolonię angielską”,
która w rze

` ' ~ywistości była czymś zupełnie innym, jak łatwo było zauważyć, chodząc
po południu,::~,nych dzielnicach lub wstępując do sklepów z drobiem, gdzie niektóre
twarze jako żywo L przypominały Whitechapel lub Spitalfields. Mo" a że ~akts ulicznik
roześmiał się z jego akcentu, może leczył na wątrobę któregoś z moich wujecznych
dziadów?

Dlaczego czuję sympatię do Kuby?

: Już od niejakiego czasu pewna dama oskarża " mnie sottovoce o zły gust,
pewno dlatego, że nie podobała jej się moja nota; przede wszystkim, proszę pani,
zrobiłem wszystko, "co należało, żeby jej pani nieczytała, w dodatku tym, co panią
drażni, wcale nie jest moja nota, tylko mój sposób mówienia o królo'rovej Wiktorii,
dlatego więc wyłożę, ~ jakich ;przyczyn wolę Kubę i Mary Kelly od wielkiej władczyni.
W moim wyobrażeniu o lepszym 'świecie Kuba po to się urodził, żeby. rozpruć
królową. A kiedy mówię „Kuba” i kiedy mó~wię „królowa”, nie wątpię, że pani wie, co
mam na myśli. Jednakowoż na wypadek jakichś ;wątpliwości donoszę, że niejaki
Henry Mayhew ;(cytowany przez Franklina w jego studium ~'na temat Rozpruwacza)
dowodzi, że w czasach tej wielkiej władczyni warunki życia w Lon~dynie były tak
potworne, iż wielu kobietom ;pozostawało tylko królestwo dżynu, chorób
wenerycznych lub noża. Na jedną Molly Flanders ileż Nancy z Olivera Twista!
Oczywiście :ani statystyki, ani pulchna władczyni o niczym °' nie wiedziały, tak jak i
Pius XII (w związku z tym patrz: Namiestnik). Nic nie określa lepiej wi": ktoriańskiego
raju niż zdanie jakiejś dztewczyny z East Endu, której radaono, żeby porzuciła
?„trotuar”, bo mogłaby natknąć się na Roz' pruwacza. „Phi, niech przyjdzie. Dla
takich J~ ja ~ Prę~el~ tym lepiej,,.

Tak więc, proszę pani, choćby najstraszliwsze były zbrodnie Kuby, wydała się
akcją 255 .:

dobroczyzną w porównaniu z tym pełnym hipokryzji ludobójstwem, które w
wielu częściach świata wciąż jeszcze się odbywa. I dlatego w moich wyobrażeniach
Kuba żyje, żyje po to, by rozpruć królową, a poemat, który umieściłem w charakterze
epigrafu, choć ironiczny, jest prawdziwy, i Kuba jest podporą społeczeństwa.

W swoim filmie o Peterze Kurtenie francuski aktor i reżyser Robert Hossein ujął ten problem: Diisseldorf, przerażony powtarzającymi się zbrodniami wampira, obojętnie patrzy na nazistowskie pałki lejące Żydów, na pierwsze niszczenie księgozbiorów, pochody Hitlerjugend. I~oila, Madame.

Ażeby skończyć z podejrzanymi znajomościami, opowiem, że przed laty wyobraziłem sobie Kubę bardziej intymnie, szukając tej twarzy, z pewnością ukrytej za maską, w takich słowach

Kuba Rozpruwacz

Ponieważ nie znałem bliskości, ponieważ ręce

ukazują mi tylko wieczny handel p'~enięduni i pierścieniami, PaYJ~w~Y~ ~e hien jest umywabn~, a noc

zawsze tylko niedosięiTym brzud~em,

z którego wyrzuciła norie matka, nñn zatopiło nas piwo, P°rzebuję tego trójlotnego lusterka,

czegoś, rn by okryto nnie taje~icą, aby potem w osłonie szac~a~ku i mgły patrzeć na jego krwawi chmurę, lizać ją szlochając.

DZIECI KAPITANA GRANTA

- Gaucho - odpowiedział Patagończyk.

- Gaucho? - powtórzył Paganel, po czym zwracając się do towarzyszy dodał: -

A więc wszelkie ostrożności są zbyteczne.

- Czemu to? - zdziwił się major.

- Ponieważ Indianie z plemienia Gaucho są spokojnymi rolnikami.

'_56

KRÓLOWA WIKTORIA

- Jest pan tego pewien, panie Jakubie?

- pczywiście. Wzięli nas za bandytów i dlatego uciekli - odrzekł Glenarvan, bardzo niezadowolony, że ominęła go okazja porozumienia się z krajowcami, niezależnie od tego, kim by się okazali.

- Jestem tego samego zdania - potwierdził major i jeśli się nie mylę, Gauchowie dalery są od przypisywanej im łagodności. To po prostu niebezpieczni bandyci.

- Ładna historia ! - zawołał Paganel.

I zaczął gwałtownie obalać tezę etnologiczną, którą wygłosił major, a czynił to z taką namiętnością, że udało mu się poruszyć Mac Nabbsa i spowodować jego protest.

- Wydaje mi się, że się pan myli, panie Jakubie - powiedział major.

- Mylę się? - powtórzył ze zdziwieniem uczonec.

- Tak. Nawet Thalcave, który zna wybornie mieszkańców tych ziem, uznał ich za rzezimieszków.

- Thalcave omylił się tym razem - odpowiedział kwaśno Paganel. - Gauchowie uprawiają rolę, hodują bydło i nie zajmują się niczym innym; wspominałem o tym w mojej dość znanej pracy o mieszkańcach pampasów.

-~ Popęłnił pan błąd, panie Jakubie.

- Ja, panie majorze, ja popełniłem błąd?

- Zapewne przez roztargnienie - upierał się major. Ale może go pan z łatwością naprawić, dodając sprostowanie do następnego wydania swej broszury.

Jules Verne, Dzieci kapitana Grania, przełożyła Izabela Rogozińska.

~eZOn ręki

Ktoś z rodziny znalazł niedawno w Buenos Aires moje zapomniane papiery, które wsiąkły w zakamarki buenosaireńskich domów, gdzie stare materace, numery pisma plu ciebie, podarte moskitiery, zdekompletowane sęrwisy i puste, choć zawsze przydatne puszkki (może zresztą i pełne, ale wobec tego, że już nie wiadomo, czego - raczej niebezpieczne), stapiają się w całość stwarzającą ulubiony zakątek Qajaków, kłaków oraz dzieci w porze sjesty. Ten ktoś napisał do mnie uprzejmie, choć z pewnym zażenowaniem, jakiego doznajemy stykając się z czymś, co wykracza poza domowe kategorie, a co nie stawszy się jeszcze zdecydowanie śmieciami, w każdym razie zajmuje miejsce -> które mogłoby z większym pożytkiem shtżyć do przechowywania kostek mydła do prania lub tych typowo argentyńskich powideł z pomidorów, o których zawsze myślę z niejasną tęsknotą do płaczących wierzb i nie spełnionych miłości. Zaciekawiony, przebiegłem po tych śladach, które moja ręka zostawiła w innych czasach (byłem pewien, że wraz z mostami, pewnego listopadowego dnia 1951 roku spaliłem za sobą również i wszystkie moie papiery). W ten sposób wpadł mi w ręce pamiętnik z podróży po Chile z 42 roku i coś w rodzaju opowiadania, głupiutkiego i całkowicie zapomnianego, w którym właśnie Jest mowa o ręce. Niesforne, naiwne i napisane z szarym jak popiół estetyzmem k la Vernon Lee, wzruszyło mnie bako obraz przeszłości, bezbronności. Podaję je tu bez

żadnych zmian, wspominając słowa Corota, które Jean Cocteau cytuje w *Opium*, a które dokładnie oddają moje wzruszenie: „Tego ranka miałem wielką przyjemność powtórnego obejrzenia mojego obrazka. Nie ma w nim nic, ale jest uroczy, jakby namalowany przez ptaszka”.

Wpuszczałem ją po południu, uchylając trochę okna wychodzącego na ogród, wtedy ręka zręcznie zbiegała po brzegu biurka, zaledwie podpierając się dłonią, palce luźne, jakby roztargnione, i tak dochodziła do swego ulubionego miejsca na fortepianie, na ramie jakiegoś portretu lub na dywanie w kolorze wina.

Lubiłem tę rękę, zupełnie nie była wymagająca, za to miała w sobie coś z ptaka, z zeschniętego liścia. Cóż wiedziała o mnie? Bez wahania po południu przychodziła do mojego okna, czasem w pośpiechu - jej niewielki cień po chwili już kładł się na moich papierach

259

i jakby prosząc, bym jej otworzył, czasem powoli wchodząc po stopniach z bluszczu, w którym te wielokrotne wędrówki wyłobiły głęboką drogę. Domowe gołębie dobrze ją znały. Często rankami wsłuchiwałem się w ich lękliwe i przedłużające się gruchanie; to właśnie ręka wędrowała po gniazdach, gotowa popieścić kredowe piersi piskląt, ostre pióra zazdrosnych samczyków. Lubiła gołębie i naczynia pełne czystej, świeżej wody. Ileż razy napotykałem ją na brzegu jakiegoś kryształowego wazonu, z jednym palcem odrobinę zanurzonym w wodzie, która cieszyła się i tańczyła! Nie dotknąłem jej nigdy: rozumiałem, że byłoby to okrutnym rozplątaniem nitki jakiegoś tajemniczego zdarzenia. Wiele dni chodziła po moich rzeczach, po książkach i zeszytach, kładła swój wskazujący palec - którym bez wątpienia czytała - na moich najulubieńszych merszach, jakby je aprobowała, z rozwagą, linijka po lrrrijce.

Czas płynął. Zdarzenia z zewnątrz, które wtedy bolały mnie i naznaczały, poczęły osłabiać swe razy, które dosięgały mnie już tylko rykoszetem. Zaniedbałem arytmetykę, moje najlepsze ubranie porosło mchem, prawce nre opuszczałem teraz pokoju, w ciągłym oczekiwaniu ręki, z nadzieją wpatrzony w prerwsze, dalekie jeszcze, ukryte drgnięcie bluszczu.

Znajdowałem dla mej imrona: lubiłem mówić na nią Dg, bo było to imię, które dawało się tylko pomyśleć. Podniecałem jej przypuszczalną próżność, niby przez zapomnienie rozrzucając pierścionki i bransoletki na półce, a potem śledziłem

wytrwale jej zachowanie. Czasem myślałem, że przyzdobi się w te kosztowności, ale ona tylko je oglądała, kręcąc się dokoła, ale nie dotykając ich, niby nieufny pająk. I jakkolwiek któregoś dnia włożyła jakiś ametyst, było to tylko na chwilę, zaraz zrzuciła go, jakby ją sparzył. Wtedy pod jej nieobecność szybko schowałem biżuteryę i wydało mi się, że jest jakaś weselsza.

Tak mijały pory roku, jedne wysmukłe, inne o tygodniach zafarbowanych liliowym światłem; ich żalosne wołania nie dochodziły do nas. Ręka przychodziła każdego popołudnia, nieraz zroszona jesiennym deszczem, widziałem, jak kładzie się na wznak na dywanie susząc starannie jeden palec po drugim, czasem podskakując z zadowolenia. W chłodzie zmierzchu cień hej powlekał się fioletem. Wtedy stawiałem u nóg naczynie z węglem drzewnym, zapalałem ogień, a ona kuliła się zadowolona, prawie srę nie poruszając, najwyżej, by niedbałym ruchem odebrać album sztychów lub kłębek wełny, który potem zwijała, skręcała. Szybko zauważyłem, że nie umie długo usiedzieć na miejscu. Któregoś dnia napotkała miskę z gliną i zabrała się do niej, godzinami modelując, podczas gdy ja, leżąc, udawałem, że tego nie widzę. Naturalnie wyrzeźbiła rękę. Poczekalem, aż wyschnie, a potem położyłem ją na biurku, żeby pokazać, że podoba mi się jej robota. Był to błąd: Dg zdenerwowała się kontemplacją swego sztywnego autoportretu. Kiedy go schowałem, przez skromność udała, że tego nie zauważyła.

Moje zainteresowanie się nią zmieniło swój charakter: stało się analityczne. Zmęczony zachwytem, chciałem zrozumieć: nieodmienny, żalosny koniec każdej przygody. Wiele pytań na temat mego gościa przychodziło mi do głowy: Wegetowała? Czowała? Rozumiała? Kochała? Zastawiłem sidła: zacząłem obserwacje. Zauważyłem, że ręka umie czytać, ale nigdy nie pisze. Pewnego popołudnia otworzyłem okno, na stole położyłem pióro, kartki papieru, a gdy weszła Dg, wyszedłem, żeby hej nie onieśmielać. Przez dziurkę od klucza widziałem, że odbywa swoje stałe przechadzki, potem niepewnie podeszła do biurka i wzięła obsadkę. Usłyszałem skrzywienie pióra i po krótkim nerwowym oczekiwaniu wszedłem do pokoju. Na ukos, pochyłym pismem Dg napisała: Ten rozkaz anuluje wszystkie poprzed

260 i 261

dnie aż do odwrotania. Nigdy więcej nie udało mi się zmusić jej do pisania.

Kiedy minął okres analizowania, zacząłem kochać ją naprawdę. Kochałem jej sposób patrzenia na kwiaty w wazonie, jej miarowe krążenie wokół róży, wysuwanie

palców, aby opuszki dotknęły płatków, i specjalny ruch dłoni, aby otoczyć kwiat nie dotykając go, może wachając go w ten sposób. Pewnego popołudnia, gdy przecinałem książkę, zauważyłem, że Dg w jakiś nie znany mi sposób ma ochotę naśladować mnie. Wyszedłem więc, aby przynieść inne książki. i nagle pomyślałem, że może miałyby ochotę mieć swoją własną bibliotekę. Znalazłem interesujące rzecz, które wydawały się napisane specjalnie dla rąk, tak jak inne były dla warg i włosów; kupiłem również mały sztylecik. Kiedy ułożyłem wszystko to na dywanie - w jeb ulubionym miejscu - Dg zaczęła oglądać to ze zwykłą uwagą. Wydawało się, że boi się sztyletu; w wiele dni później dopiero zdecydowała się go dotknąć. Ażeby dodać jej odwagi, w dalszym ciągu przecinałem książki i pewnej nocy (czy mówię, że odchodziła dopiero o śniecie, zabierając cienie?) ona również zaczęła je otwierać, przeglądać stronicę. Szybko doszła do niebywałej zręczności : sztylet skrzęco wchodził w białe lub opalowe kartki. Gdy kończyła, układała nóż do przecinania na półce, gdzie zgromadziła swoje najulubieńsze przedmioty: wełnę, rysunki, wypalone zapalniczki, zegarek na rękę, wzgóreczki popiołu, i schodziła, żeby wyciągnąć się na znak na dywanie i zagłębić w czytaniu. Czytała bardzo szybko, przesuwając palcem po wyrazach; kiedy napotykała obrazki, kładła się na kartce niby uśpiona. Zauważyłem, że mój wybór książek okazał się słuszny: wielokrotnie wracała do pewnych stron (Etude de mains Gautiera, Le gant de crin Reverdy'ego) i zakładała je nitkami wełny, żeby móc łatwiej znaleźć. Zanim odeszła, ja spałem już na tapczanie,

262

a ona chowała swoje tomy w małym mebelku, który po to zainstalowałem; kiedy budziłem się, nigdy nie było najmniejszego nieładu.

W ten niewyrozumowany sposób - oparty tylko na prostocie tajemnicy - współżyliśmy czas jakiś w szacunku i porozumieniu. Bez niepotrzebnych pytań, bez niespodzianek; było to wielkie osiągnięcie. Nasze życie stało się bezinteresownym peanem, nieprzewidzianą, czystą pieśnią. Przez okno wchodziła Dg, a wraz z nią wchodziło wszystko, co naprawdę moje, jakieś ostateczne wyzwolenie od ograniczeń rodzinnych, od obowiązków, zgodne z moją chęcią zadowolenia tej, która w ten sposób mnie uwalniała. Przeżyliśmy tak jakiś czas, którego nie można opowiedzieć, aż do chwili gdy rzeczywistość wtrąciła się do tej półgzyzstencji. Pewnej nocy miałem sen: Dg zakochała się w mych rękach, pewnie w lewej, skoro ona była prawą, i skorzystała z mego snu, aby porwać ukochaną, odcinając ją przy

pomocy sztyletu. Zbudziłem się przerażony, po raz pierwszy pojawił się szaleństwo. Zostałem broni w zasięgu czegoś tak tajemniczego. Zacząłem szukać Dg, jeszcze cały w szponach mętnych wód mojego snu: zastałem ją skuloną na dywanie, naprawdę wydawało się, że obserwuje ruchy mojej lewej ręki. Wstałem i schowałem sztylet tak, aby nie mogła go osiągnąć, ale później zrobiło mi się przykro i przyniosłem go jej z powrotem, z nadzieją, że mi przebaczy, że zapomni. Ale czar przestał działać, w otwartej ręce był nieokreślony smutny uśmiech.

Wiem, że nie wróci więcej. Niezależnie od niej samej, żal i pretensja obudziły w niej upór nie do złamania. Wiem, że nie wróci więcej! Czemu wyrzucacie mi to, gołębie, wzywając tam w górze rękę, która me przychodzi was popieścić? Czemu tak się upierasz, różo flandryjska; wiesz, że nigdy już nie zbliży się do ciebie! Idźcie w mo,~e ślady, ja znów robię rachunki, dbam o siebie i spaceruję po mieście jak normalny przechodzień.

Najgłębsza pi~zota

W domu wciąż nic nie mówili i to było wprost nie do uwierzenia, że tego nie widzą. Z początku można było jeszcze nie zauważyć, on sam myślał, że ta halucynacja czy coś innego, czym to jest, nie potrwa długo; ale teraz, kiedy brnął już po łokcie w ziemi, niemożliwe było, żeby ani rodzice, ani siostry tego nie spostrzegli i nie usiłowali jakoś przeciwdziałać. Co prawda, do tej chwili nie miał najmniejszych trudności w poruszaniu się i, jakkolwiek mogło to wydawać się dziwne, bardziej niż cokolwiek innego zdumiewał go fakt, że rodzina dotąd nie zauważyła, iż chodzi zanurzony w ziemi po łokcie.

To monotonne, ale ~ rzeczy zawsze rozwijają się stopniowo, narastają powoli. Pewnego dnia, kiedy przechodził przez patio, wydało mu się, że popycha przed sobą coś niedostrzegalnego, jakby kawałki waty. Kiedy popatrzył uważnie, zobaczył, że sznurowadła butów zaledwie wystają ponad poziom kafelków. Wprost zaniemówił ze zdumienia, nie był w stanie wydusić ani słowa, bał się, żeby nagle nie zapaść się całkowicie, i zastanawiał się, że to może patio tak zmiękło na skutek ciągłego szorowania (matka myła je co dzień rano, a czasem nawe•. i po południu). Wreszcie odważył się wyciągnąć nogę i ostrożnie zrobić krok: wszystko poszło jak najlepiej, ale potem 'but znowu zapadł się poniżej kafli, aż do miejsca, gdzie się wiąże sznurowadła. Zrobił jeszcze parę kroków, wreszcie wzruszył ramionami i poszedł na róg kupić La Razón, bo chciał zobaczyć, co dają w kinach.

W zasadzie unikał przesady i może w końcu byłby się przyzwyczyił do takiego chodzenia, gdyby nie to, że po paru dniach przestał całkiem widzieć sznurowadła, a którejś niedzieli ugrzązł aż do mankietu u spodni. Od tego dnia, żeby zmienić skarpetki i buty, musiał siadać

na krzesło, podnosić nogę i opierać ją o drugie krzesło albo o brzeg łóżka. W ten sposób mył nogi i zmieniał obuwie, ale zaledwie wstał, zapadał się po kostki, i tak było wszędzie, nawet gdy chodził po schodach w bmrze ~y po peronach dworca Retiro. Już teraz

266

nie ośmielał się zapytać rodziny ani znajomych, czy nie ma w nim czegoś dziwnego; nikomu me jest przyjemnie, kiedy patrzą na niego jak na wariata. Wydawało mu się niebywałe, że tylko on zauważa, jak każdego dnia zapada się głębiej, ale myśl, że ktoś mógłby być świadkiem tego, była właściwie czymś deszcze gors , więc trudno było to z innymi omawiać. Któregoś dnia, leżąc bezpiecznie w łóżku, spokojnie oddał się analizowaniu tego, co się z nim dzieje, i uderzyła go własna obccść wobec matki, narzeczone, sióstr. Jak na przykład narzeczone mogła nie zdawać sobie sprawy, że kiedy bierze ją pod rękę, jest o wiele centymetrów niższy niż poprzednio? Teraz, żeby ją pocałować, kiedy się żegnali na rogu, musiał wspinać się na palce, a w momencie, gdy całymi stopami stawał na ziemi, wyraźnie czuł, że się zapada, że ześlizguje się w dół, wobec czego starał się jak najrzadziej ją całować, żegnając najwyżej uprzejmym słowem, co przecież musiało ją denerwować. W końcu uznał, że widać jest bardzo niemądra, skoro nie protestuje przeciw tak dziwnemu traktowaniu. Co do sióstr, które nigdy go nie kochały, mogłyby mieć jeszcze jeden argument, ażeby upokarzać go teraz, kiedy zaledwie sięgał im do ramienia; a jednak nie, odnosiły się do niego tak jak dotąd, z tą samą uprzejmą ironią, którą zawsze uważały za dowcipną; ślepotą rodziców nie zastanawiała go, rodzice zawsze są ślepi, gdy chodzi o dzieci, ale reszta rodziny, koledzy, Buenos Aires... powinni byli to przecież zauważyć.

Logicznie wywnioskował, że wszystko to jest pozbawione logiki, a ścisłą tego konsekwencją była metalowa tabliczka przy ulicy Serrano i lekarz, który zbadał mu nog~ gumowym młoteczkim, rzucił jakiś żarcik na temat jego obrośniętych pleców. Póki leżał na kanapce, wszystko było w porządku, sprawa skomplikowała się, kiedy trzeba było wstać. Powiedział mu to, a potem jeszcze raz powtó

Jakby uznając jego racje, lekarz przy, żeby zbadać mu kostki pod ziemią,

d~ niego podłoga musiała być nie tylko xroczysta, ale i niewyczuwalna, bo swonie dotykał mu mięśni i stawów, nawet ~skotał go w pięty. Potem kazał mu raz ae położyć się na kanapce i osłuchał płuca oraz serce; był to drogi lekarz, wobec ;o co najmniej pół godziny zmarnował, itn zabrał się do wypisywania recepty peł

268

nej środków uspokajających i poradził, żeby na jakiś czas zmienił powietrze. Po czym dziesięciotysięczny banknot zamienił mu na sześciotysięczny.

Po takich zdarzeniach nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z tym stanem rzeczy., chodzić do pracy co rano i wspinać się roz_ paczliwie, aby osiągnąć warg narzeczonej i ka_ pelusza na meszaku w biurze W dwa tygodnie później już tkwił w ziemi po kolana, a któregoś ranka, wstając z łóżka, znowu miał wrażenie, że posuwa przed sobą watę, tyle że teraz po_ pychał ją rękami, zaś .ziemia sięgała mu do połowy ud. Ale nawet wtedy me zauważył mc na twarzach rodziców, jakkolwiek obserwował ich niemal bez przerwy, chcąc przyłapać ich na ukrywaniu czegoś. Raz mu się wydało, że któraś z sióstr musiała się nachylić, żeby oddać mu chłodny pocałunek, z tych, które zamieniali po wstaniu, i pomyślał, że może odkryli prawdę, tylko nie chcą się przyznać. Ale widać się mylił. Musiał wspinać się każdego dnia wyżej, aż do chwili, gdy ziemia sięgnęła mu do bioder, a wtedy powiedział coś na temat bezsensu tych całusów, które przypominają rytuały dzikich, i ograniczył się do mówienia „dzień dobry”, okraszonego uśmiechem. Z narzeczoną zrobił coś gorszego; po wielu staraniach wyciągnął ją do hotelu i tam w ciągu dwudziestu minut, wygrawszy bitwę z dwoma tysiącami lat cnoty, całował ją jednym ciągiem aż do chwili, gdy znów się ubrali; znakomita metoda, w dodatku ona zdawała się nie spostrzegać, że potem trzymał się od mej z daleka. Z kapelusza zrezygnował, żeby nie być zmuszonym do wieszania go na wieszaku; w ten sposób dla każdego problemu znajdował jakieś rozwiązanie, zmieniając je w miarę, jak zagłębiał się w ziemi, ale kiedy doszła mu do łokci, poczuł, że jego możliwości wyczerpały się i że trzeba zwrócić się do kogoś o pomoc.

Już i tak od tygodnia leżał udając, że ma

osiągnął tyle, że matka opiekowała si~ę~n~ ~ P~~Y~ a siostry u nóg łóżka ~~~stałowały telewizor. Łazienka była tuż, ale na wszellti wypadek wstawał tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Gdy po paru dniach (w czasie których łóżko - tratwa rozbitka - utrzymywało go na powierzchni) na chwilę wstał, wydało mu się bardziej niż kiedykolwiek niepojęte, że ojciec, wszedłszy do łazienki, w ogóle nie

zauważył, że sponad podłogi wystaje mu tylko kadłub i że aby dosięgnąć szklanki, w której stoją szczotki do zębów, musi wejść na bidet albo na muszlę klozetową. Dlatego też, gdy ktokolwiek miał przyjść, wolał leżeć, z łóżka dzwoniąc tylko do narzeczonej, żeby się nie niepokoiła. Chwilami, niby w jakichś dzieciennych marzeniach, wyobrażał sobie cały system połączonych łóżek, które pozwalałyby mu ze swojego przechodzić do łóżka, w którym by oczekiwała jego dziewczyna, stamtąd do łóżka w biurze, do następnego w kinie, w kawiarni, cały łóżkowy most ponad Buenos Aires. W ten sposób nigdy by całkowicie nie zatonął, a przy pomocy rąk mógłby przeciągać się z łóżka do łóżka i symulować bronchit.

Tej nocy miał zły sen i obudził się krzycząc, z ustami pełnymi ziemi; ale to nie była ziemia, tylko ślina, wstręt, przerażenie. W ciemności pomyślał, że jeżeli pozostanie w łóżku, będzie mógł sądzić, że to był tylko zły sen, ale wystarczy na jedną sekundę uwierzyć, że wśród nocy rzeczywiście wstał, poszedł do łazienki i po szyję zapadł się w ziemię, aby już nawet łóżko przestało chronić go przed tym, co miało nastąpić. Powoli wytłumaczył sobie jednak, że to był sen, bo tak i było, śniło mu się, że wstaje w ciemnościach, niemniej jednak, kiedy postanowił, że pójdzie do łazienki, zczekał, aż będzie sam, przeniósł się na krzesło, potem na taboret i tak popychając to jedno, to drugie doznał do łazienki, a potem wrócił do łóżka; pomyślał, że gdy zapomni o tym kosz

zoo 2~t

marze, znowu wstanie i pograży się tylko do pasa, co będzie niemal przyjemne w porównaniu z tym, co mu się śniło.

Nazajutrz musiał zrobić próbę, nie mógł bowiem tak przedłużyć swej nieobecności w biurze. Okazało się naturalnie, że sen gorszy był od rzeczywistości, nie powtórzył się już ten początkowy waciany kontakt i jedyną zasad_ raczą zmianę widziały jego oczy, będące niemal na poziomie podłogi: odkrył bardzo blisko spluwaczkę, jakieś czerwone nocne pantofle i małego karalucha, obserwującego go z uwagą, jakiej nigdy nie poświęciły mu siostry ani narzeczone. Mycie zębów, golenie, wszystko to nie były łatwe operacje, wzięwszy pod uwagę, że dojście do bidetu i samo wdrapanie się nań przy pomocy rąk, było bardzo wyczerpują. W domu badało się śniadanie razem, na szczęście jednak jego krzesło miało dwie poprzeczki, przy pomocy których mógł~ szyb

ciej wdrapać się na siedzenie. Siostry były wglębione w Clarinie, z uwagą właściwą wszystkim czytelnikom tego patriotycznego pisma, ale matka popatrzyła na

niego przez chwilę i uznała, że na skutek tych paru dni w łóżku i braku świeżego powietrza bardzo zmizerniał. Ojciec zwrócił jej uwagę, że ona tak zawsze i że zgubi w końcu syna tym ciągłym rozpieszczaniem; wszyscy byli w dobrym humorze, bo gabinet, który rządził w tym miesiącu, obiecał pódwyżkę płac i wyrównanie rent. „Kup sobie nowy garnitur - doradziła mu matka - możesz wziąć następną pożyczkę, skoro mają podnieść pensje”. Siostry od razu zdecydowały, że kupią nową lodówkę i telewizor; na stole stały aż dwie różne marmolady. Bawiły go te obserwacje i wiadomości, a kiedy wszyscy się podnieśli, aby udać się każdy do swojej pracy, on, który był jeszcze na etapie poprzedzającym sen, czyli przygotowany na pogrążanie się tylko do pasa, nagle zobaczył z bardzo bliska buty ojca, który przechodząc niemalże dotknął jego głowy. Schronił się pod stół, ażeby uniknąć sandałów jednej z sióstr, która zdejmowała obrus, i usiłował uspokoić się. „Spadło ci coś?” - zapytała matka. „Papierosy” - odparł odsuwając się możliwie jak najdalej od sandałów i nocnych

18- Cortarar

pantofli, które obchodziły stół dokoła. Na patio były mrówki, liście geranium i kawałek szkła, którym o mały włos nie skaleczył sobie policzka; szybko wrócił do swojego pokoju i wdrapał się na łóżko dokładnie w chmli, kiedy zadzwonił telefon. Narzeczona pytała, jak się czuje i czy spotkają się po południu. Był tak wytracony z równowagi, że zanim się zastanowił, powiedział jej, że o szóstej, na tym rogu, co zawsze, a potem pójdą do kina albo do hotelu, zależnie od tego, na co będą mieli ochotę. Zakrył głowę poduszką i zasnął; nawet nie wiedział, że płakał wę śnie.

Za kwadrans szóstą ubrał się siedząc na na braegu łóżka i korzystając z tego, że nie było nikogo w polu rodzenia, przeszedł przez patio, możliwie najdalej od miejsca, gdzie spał kot; na ulicy me było mu łatwo pogodzić się z myślą, że niezliczone pary butów, mijające go na linii oczu, nie potracą go ani nie zdepczą (jako że właścicielom tych butów on wydawał się być nie tam, gdzie się znajdował), dlatego też z początku szedł zygzakiem, unikając damskich pantofelków, szczególnie niebezpiecznych ze względu na szpice i obcasy; potem zrozumiał, że nie musi się tak denerwować, i przyszedł na róg jeszcze przed narzeczoną. Od podnoszenia głowy, aby zobaczyć coś więcej niż buty przechodniów, rozboleła go szyja, w końcu ból zmienił się w skurcz tak ostry, że musiał z tego zrezygnować. Na szczęście dobrze znał wszystkie pantofelki i treпки swojej narzeczonej, bo pośród innych rzeczy i to także wielokrotnie pomagał jej zdejmować, tak że zobaczywszy

zbliżające się zielone sandałki, uśmiechnął się tylko, czekając, co mu zaproponuje, aby odpowiedzieć możliwie najnaturalniej. Ale tego popołudnia - rzecz jak na nią zdumiewająca - narzeczona nie mówiła nic; zielone sandałki nieruchomiały o pół metra od jego oczu i chociaż nie wiedział dlaczego - wydało mu się, że na coś czekają; w każdym razie prawy sandał poruszył się jakby

trochę na prawo, podczas gdy lewy podtrzymywał ciężar jej ciała; potem sytuacja się umeniła: prawy odchylił się na zewnątrz, lewy zaś mocniej oparł się o ziemię. „Ale był dziś upał” - odezwał się, ażeby jakoś zacząć rozmowę. Narzeczona nie odpowiedziała i dlatego, może dopiero zresztą w tym momencie, gdy czekał na odpowiedź równie blahą, jak jego zdanie, zdał sobie sprawę z tej ciszy. po ostatniej chwili cały hałas uliczny, uderzenia obcasów o bruk, i nagle nic. Chwilę czekał, zielone sandałki poszły parę kroków do przodu i znów się zatrzymały; obcasy były trochę zbite, jego biedna dziewczyna marne zarabiała.

Wzruszony, chcąc w jakiś sposób dowieść jej swojej czułości, dwoma palcami pogładził ten bardziej zniszczony, lewy trepek; narzeczona nie poruszyła się, jakby absurdalnie wciąż czekała. na jego przybycie. Może cisza stwarzała to złudzenie ciągnącego się czasu, może to ona tak niemożliwie go rozciągała, a równocześnie zmęczenie jego oczu, tak przylepionych do wszystkich rzeczy, zaczęło jakby nagle oddalać ich obrazy. Z bólem nie do zniesienia udało mu się deszczu podnieść głowę, aby poszukać twarzy narzeczonej, ale zobaczył tylko podeszwy, i to z tak daleka, że nawet nie było mdać, czy są zniszczone. Wyciągnął rękę, potem drugą, usiłując pogładzić te podeszwy, tyle mówące o ubóstwie ukochanej ; udało mu się dotknąć ich lewą ręką, ale prawa nie dosięgła, potem już zresztą żadna. Dziewczyna ciągle czekała.

274

Ruch polegający na dotknięciu skroni palcem Wskazującym

1 p0)rl>ISZatlilil 1111111 1~~

jakby się caś przyśrubowywało lub OdŚR1bOWyWałO

To t® eiesuzęsay wariat, kt&y znos; kamienie du swego oma.

Jeżeli nigdy nie roznosiłeś listów w obrębie trzydziestu dwóch kilometrów, jeżeli nie taszczyłeś ich w starej skórzanej torbie razem z przesyłkami, drukami, prospektami, depeszami, przekazami pocztowymi i rachunkami, jeżeli nie chodziłeś z opuszczoną głową, by przyglądać się kamieniom czającym się wśród traw na

wiejskich ścieżkach, jeżeli prócz torby nigdy nie brałeś ze sobą w drogę żelaznych taczek, jeżeli roznosząc pocztę nie podnosiłeś kamieni o ładnym wyglądzie i nie wrzucałeś ich do taczek, by potem podnosić inne kamienie, równie tego warte, jeżeli następnie nie wraçałeś do siebie z taczkami pełnymi kamieni i nie zrzuciłeś ich koło budującego się domu, jeżeli nie robiłeś zaprawy i nie brałeś się do stawiania muru, które to zajęcie przerywałeś dopiero o zmroku, jeżeli nic z tego nie robiłeś i nie możesz uwierzyć, że ktoś inny robił to przez dwadzieścia pięć lat, z żalem muszę donieść, że nigdy nie zrozumiesz kopniętych, że jesteś nieodwracalnie przytomny i że ściskam ci rękę tak, jak się Ją ściska małżonkowi nieboszczki wychodząc z cmentarza, a równocześnie stwierdzam, że powyższe motto pochodzi z autobiografii listonosza nazwiskiem Cheval, który cytuje to zdanie jako opinię swoich sąsiadów z Hauterive, nie przerywając popychania taczek i wyrzucania z nich dziennie czterdziestu ośmiu kilogramów kamieni prosto w moje serce.

Różnica między wariatem a kopniętym po

276

'lega na tym, że wariat uważa się za normalnego, podczas gdy kopnięty, który niezbyt dokładnie zastanawia się nad tą sprawą, uważa, że ludzie przytomni są podobni do szkółek młodych drzewek albo do szwajcarskich zegarków, ot, różnica pomiędzy jedyneką a trójką, co nie jest w guście kopniętych, którzy zazwyczaj chodzą po Jezdni Pod prąd. a gdy tym hamują

czerwonym św. etle, oni właśnie dodają gazu, i niech Bóg broni.

Ażeba zrozumieć wariata, należy być psychiatrą, a i to nie zawsze wystarcza; żeby zrozumieć kopniętego, wystarczy mieć poczucie humoru. Kopnięci - to zawsze kronopie; do" bry humor zastępuje im te wszystkie właściwości umysłu, jakie stanowią dumę prof. i dr., których jedynym wyjściem w wypadku, gdyby ich to zawiodło, Jest obłęd, podczas gdy u kopniętych nie ma żadnego wyjścia-jest tylko przyjsie. Do kopniętych zawsze odnosiłem się bardzo poważnie, bo różnią się od sche

';matów, od soli ziemi, od tego humusu przyszłości, tajemniczo łączącego się z krystaliczną substancją, będącą chlorem sodu o białej

barwie i charakterystycznym zapachu, który może być bardzo przydatny w zupie i pieczeniu, j ale który ma w sobie coś sterylizującego, nudi nego, z doliny śmierci ~

Definicję soli wzięłem z encyklopedii Sapena, wyd. " Ramon Sapem, Barcelona 1929, tom II, str. 846. Na tej

stronie widać też dość zbijający z tropu portret podpisany Saski (Maiuycy, elektor), inny portret jakiegoś sympatycznego saju, unię, którym nazywają rozmaite gatunki płaskonosych małp, dwie podobany salamander jedna ziemna, a druga czarna, ta ostatnia z niewiadomych przyczyn kompletnie szara), prześliczni rysunek różowej ~aszczureczki, która w swoim czasie strasznie przeraziła

ł mnie i moja żonę, wychodząc z za lustra w pokoju numer czterdzieści dwa w Jampath Hotel w New Delhi - miejscu absurdalnym, gdzie zainstalowało nas Unesco na konferencji 1956 roku. Nazajutrz wynieśliśmy się stamtąd i zamieszkaliśmy na skraju Starego Miasta, nowe bowiem niczym się nie różniło od La Platy, Waszyn~2onu itepe, a takie rzeczy w Indiach są bardzo przygnębia~ące. W ho

i telu, w którym zatrzymaliśmy się, me byto wprawdzie

277

A oto próby śpiewane: Przychodzi i mówi: ty jesteś manco polo mówi me mówię tak mówi jesteś a skąd wiesz mówię bo ta paczka mówi co ją masz w ręku nie widzę mówię jaki to tna związek a ja widzę mówi no to ciekawe mówię manco poló mówi importował makaron no to co mówię o to co masz w ręku mówi to paczka makaronu kiedy nieprawda mówię to nie żaden makaron to cukier wariat jesteś mówi to ty mówię jesteś wariat a nie kochany mówi to jednak ty jesteś wariat jeżeli nawet nie wiesz że jesteś manco polo.

Ten błyskawiczny dialog miał miejsce na rogu rue Blomet i rue des Favorites, przy czym wypadł na jedną z moich baxdziej chłonno-porowatych epok: wystarczyło mi wyjść na ulicę, otworzyć list, podnieść słuchawkę telefonu, żeby natychmiast wyskakiwał na mnie jakiś kopnięty. W młodości znałem ich sporo, ale zawsze z daleka, nie włączając się, w owym czasie ja również ze zwykłej delikatności marnowałem życie, z uporem tkwiłem w rozsądku (i tkwię ,nadał, ale jakby „z powrotem”, ze zdumieniem). W owym czasie, kiedy tylko z daleka znałem przeróżnych kopniętych, własnowolnie włączyłem się jednak w życie nie

jaszczurek (o łapkach z przyssawkami, dzięki którym z niebywałą gracją priesuwały się po suficie i ścianach wcielenie połyskliwej ciszy), natomiast z okien widać było taras-dach domu zamieszkanego przez tuziny wynędzniałych rodzin, na który co dzień po południu przychodził półnagi człowiek z żerdzią i kręcił nią młynka wydając dhagi, fiołkowy okrzyk. Posłuszne krzykowi, wielkie stado gołębi zaczynało

krażyć nad jego głową, oddalało się lub zniżało, aż do chwili, gdy nowy okrzyk pobudzał je do nowych okrążeń, a balet powietrzny ustawał dopiero z nadejściem nocy. Było to tak tajemnicze i piękne, że zapragnąłem czegoś się dowiedzieć, a nie należy nigdy niczego się dowiadywać, i dobrze mi tak, bo kiedy zapytałem jakiegoś Hindusa niby to umiejącego po angielsku, który zazwyczaj przesiadywał pod hotelem, odpowiedział mi: Yes Sahib you in Unesco I like work in England you make Unerco give Scholarship ~hank you Sahib. Kopnięty czy nie kopnięty, facet nie dostał stypendium, a ja nigdy nie dowiedziałem się niczego o gołębiach.

jakiego pana Francisco Musitani, zamieszkałego w mieście Chivilcoy, i tak dalece kochają~go zieloność, że jego dom był całkowicie zielony. psy czyYcn . dla wszelkiej pewności n~ywał się „Samazteleń”. Jego śmątbliwa „aMonka i sterroryzowane dzieci chodziły ubra

278

ne na zielono, tak jak i ojciec rodziny, który osobiście kroił i szył ubrania dla wszystkich, ażeby uniknąć ewentualnych schizm i heterodoksji, i który jeździł po miasteczku na zielonym rowerze z rączkami zaopatrzonymi, o ile dobrze sobie przypominam, w jakieś siedem dzwonek i trąbek ro~naitych rozmiarów, tonacji i celów (na róg, na dwa bloki, na parzysty chodnik, na chodnik nieparzysty, na plac, na niedzielę i tak dalej). Don Francisco Musitani miał w banku grubszą forszę, którą zarobił sprcedając chłopom fonografy w epoce, gdy wyroby „His Master's Voice” podbijały bez reszty wiejską klientelę Argentyny. Uzbro~ony w te tubiaste gramofony (tuby co do jednej zielone) nasz przyjaciel przejeżdżał z estancji na estancję w zielonej dwukółce ciągniętej przez zielonego konia; koń ów, ofiara pasy podobnej 'tej, która kazała Leonardowi pozłocić małego chłopczyka, ażeby alegoryczne widowisko w domu Sforzów osiągnęło pełnię, nie pożył długo, na skutek ciężkiego zatrucia skórniego, czy jak mu tam; w moich czasach żyli jeszcze świadkowie wojaży don Francisca, już wtedy budzących osłupienie wieśniaków.

Kopnięty raczej, ponad miarę, don Francisco był konsekwentnie genialny. Budując „Samazieleń” uznał, że zdecydowane nachylenie pokoi ku ulicy znacznie uprości czynności gospodarskie jego żony; wystarczy w głębi domu chlusnąć kubek wody, ażeby żywioł ten po chwili znalazł się na ulicy, zbierając po drodze kurz i inne zielonkawe włoski. I me bez powodu zacytowałem te włoski : don Francisco nie znosił piekarni, które dostarczały do domu chleb w workach, twierdząc, że włosy z tych worków zagrażają zdrowiu publicznemu. Na zakończenie każdego roku chłopcy

z gimnazjum prosili go o wykład na temat niebezpieczeństw, jakimi grożą włoski, i Musitani pojawiał się w najlepszym ze swych zielonych garniturów, z paroma zakażonymi

2so

bochenkami chleba, i robił demonstracje dla publiki, ktorej, wydawało się, że w ten sposób m~ się na nnn za mącą jej spokój ekstrawagancję~ W 1942 roku byłem świadkiem

kiego wykładu i widziałem, jak się przygotowuje ~t zbiorowe czyste sumienie : ten kopnięty, sa`, motny, naprzeciw hordy przytomniaków, zadowolonych ze swej trzeźwości, i dzieci, już wprowadzonych na właściwą drogę, miał w sobie '°_ coś z absurdałnego herolda, z zielonej butelki unoszącej się na powierzchni wód wraz z zamkniętym w niej posłaniem, którego nikt nie zrozumie, bo nie zostało napisane ani prawą, ani też lewą ręką. W międzyczasie oklaskiwali go obydwoma.

W tej samej epoce doszły mnie wiadomości o innym kopniętym, którego czarny humor uwiera się w krótkim, lecz wręcz wspaniałym liście. Ów obywatel opuścił dom rodzinny ~~ najłżejszego uprzedzenia, pozostawiając żonę z huroczym hanioleczkiem w objęciach. 'Dokładnie w dwadzieścia trzy lata później hanioleczek otrzymał z Turynu kopertę zawierającą lakoniczny list i kawałek sznurka. A oto tekst listu: „Kochany Gilberte, mimo że tak wiele lat upłynęło, nie przestałem myśleć o Tobie ani o Twojej mamie. Mieszkam we Włoszech i jestem teraz dyrektorem fabryki kapeluszy Borsalino. Przesyłam ci ten sznurek, ażebyś zmierzył nim sobie głowę i potem mi go odesłał, chciałbym bomem ofiarować ci jeden z naszych kapeluszy. Twój ojciec, który o tobie nie zapomina". Niestety, nie udało mi się dowiedzieć, jaka była reakcja Gilberta, wiem tylko, że urznął się i płacząc obnosił się ze sznureczkiem po wszystkich kawiarniach placu Once.

Kiedy byłem kierownikiem Domu Książki Argentyńskiej (a właśnie że byłem, mam zaświadczenia, a jeżeli mi nie wierzycie, możecie

', sprawdzić u don Gontala Losada albo u don Lopeza Llausas, którzy nie pozwoliliby mi skłamać), odwiedzało mnie mnóstwo kopnię

2s~

tych, z gatunku tych, co to pragną mówić z kierownikiem, a potem już nic nie wiadomo, co może z tego wyniknąć. (Jeden z nich, przekonany, że jestem bardzo ważnym dyrektorem, przyniósł mi swój poemat o pszczołach, liczący sobie jakieś

dnieście metrów, który bezlitośnie zostawiłem w rękach pewnej dziewczynki, w owym czasie przechowującej większe ilości moich nxczy). Zasadniczo lubiłem ich przyjmować, jakkolwiek na wszelki wypadek zawsze miałem kryształowy kałamarz w zasięgu ręki.

Jeden z więtniejszych pojawiał się regularnie co sześć miesięcy, ażeby wprowadzać mnie w swoje aktualne i przyszłe czynności. Jako że zaczynał przemawiać już od drzwi, nie dając mi szansy na żadną inicjatywę poza uściśnięciem mu, raczej brudnawej, dłoni, nigdy nie zdołałem dowiedzieć się, czemu się poświęcał, jakkolwiek rtiiało to, zdaje się, jakiś związek z grafiką. Oto skrócony model jego monologu:

- Jak się pan czuje, bo ja bardzo dobrze, dziękuję. Przychodzę zawiadomić pana, że plan j~aż mam, są pewne trudności, cudza zawiść

tak dalej, ale zwyciężymy, prę do przodu bez zatrzymania, wszystko jest przygotowane, najpierw atak, jak panu wiadomo, zawsze należy zaczynać od ataku, więc ja naturalnie także tak zaczynam, oni niczego się nie spodziewają, tym sposobem zyskuję na czasie, to sprawa strategii, sam pan rozumie, oni tu - ja się zjawiam, więc oni w nogi, co?... To jest początek pozytywnej ewolucy, po roku absolutnie wszystkie sprawy są uregulowane, cała rzecz przemyślana do samego końca, szkoda słów, pierwszorzędnny plan, nó to żegnam pana.

Między jedną wizytą a drugą zdarzały się niewielkie zmiany w planie, jestem natomiast przekonany, że ta wojenna strategia była ze wszech miar przydatna dla kopniętego, powiadamianie mnie nadzwyczaj dla niego korzystne, i mam nadzieję, że mój następca nie przestał go przyjmować.

Do tego Domu przychodziło wiele ciekawych osobistości, niektóre tak głupie, że słuchanie ich było istną rozkoszą. Jeden wydawca, który, o ile wiem, przez pewien czas wahał się między tym zawodem a założeniem całej sieci pizzeru, przychodził robić mi nie kończące się zwierzenia, mieliśmy do siebie wielką sympatię i choduliśmy na róg na kawę oglądać sprzedawczynię we francusko-angielskiej aptece, nadającą się do jednego jedynego użytku. Z tych spotkań niemal dosłownie zapamiętałem jego streszczenie filinu Cocteau La Belle et la Bete:

283 ,r,,,

- Panie, widział pan coś podobnego? Matko święta, ja byłem, bo mnie zaciągnął współlnik ale niech ręka boska broni, za cholere me można się połapać. Z początku jedna dziewczynka idzie do lasu i wpada na bestię przebraną za pazia, to

ta bestw się w niej zakochuje, i chce ją zaciągnąć do pokoju w jakimś zamku. Później wychodzi, że ta bestia to był książę; panie, za jakie grzechy ja mam siedzieć w takim upale, że bućki trzeba zezuwać, i patnąć na takie bzdury. W jednym miejscu wszystkie światła w pałacu są jakby ręce i poruszają się, no niech pan sam powie, a ten potwór lata jak oszalały, bo dziewczynka za Boga nie chce mu dać, daj mnie pan spokój... Potem wszystko jakoś się załatwia, ale dalej nic nie można skapować. Jedno, co panu- powiem: w końcu człowiek jakoś się przywiązuje do tego bydlaka...

Rozdział, w którym się mówi o Demeter i innych kopniętych

oraz o nagrodach literackich

Moja słodka Francja jest krabem wręcz pierwszorzędnie kopniętych, jak to już wykazał Raymond Queneau w *Les enfants du limon*, ale Belgia jest chyba jeszcze lepsza, co oznajmiam z dumą, jako w Belgii urodzony -~~. ~, .

Por. miesięcznik *Bizarre* nr 4, kwiecień 1956. Amatorzy będą mogli podziwiać tam przepiękną deodontologię Brisseta, który wykazał, że człowiek pochodzi od żaby, oraz Berbiguiera prześladowanego przez zjawy, który bronił się przed nimi dzień i noc gotując krowie wątroby, uprzednio ponakłuwane igłami i szpilkami. Co do Pierquina de Gembloux, wystarczy przytoczyć tytuły niektórych z jego licznych rozpraw - na meszczęć~e znacznie trudniejszych do dostania niż traktaty Lin Ju Tanga czy Gabriela Marcel-a mianowicie: *Semiotyka trucizny*, *Mimowolny alkoholizm okresowy*, *Memoriały i obserwacje na temat nimfomanii*, *O ponad czteroletniej czkawce*, *Jak jeść: leżąc czy stojąc*, *Obrona Attyli przed ikonoklastami*, *Idiomologia Markizów*, *Uwagi na temat snu roślin*, *Rozprawa o kongenitalnej degeneracji rectum*, *Traktat o obłądzeniu u zwierząt*.

Natomiast jest rzeczą smutną, że ilość kopniętych pr?ynoszących zysk kulturze jest niższa od ilości cybernetyków i strukturalistów, i dlatego my, kronopie, poczytujemy sobie za obowiązek wiedzieć o wyczynach wszystkich wybitnych kopniętych, którzy tylko wtedy robią coś dla własnej propagandy, o ile są nieciekawi, w którym to wypadku są właściwie prawie że normalni. Pospieszam v~nęć oznajmić, że mam honor być odkrywcą pewnego geniusza znanego z La Platy, który powinien być dzielić się chlebem

. . i solą z ludźmi pokroju Ksawerego Forneret lub Jean Pierre Bnsseta: myślę o Urugwajczy~ ~ferinie Perez, który tyle mi pomógł przy pisaniu Gry w klasy

W ślad za Cefem pobawił się Demeter, dwie niepowstrzymane ómy pchające się do światła pisma Diogenes, które ogłosiło konkurs na esej. Byłoby grzechem nie wiedzieć, że to wielojęzyczne wydawnictwo wznosi się niby bastion wiedzy ludzkiej i że wszystko, co irracjonalne z samego założenia, jest mu obce; niestety, dla niego magia słów czuwa, i Diogenes jest już imieniem niebezpiecznym. Czemuż nie nazwali go Renato lub Baruch? Diogenes? Attycki Diogenes poszukiwał człowieka przy pomocy swej latarni, a ponieważ rzeczy spełniają się swoimi drogami, które nie zawsze są drogami

~' 'Unesco, za ledwie zapaliła się latarenka-konkurs, pojawili się przeolbrzymi kopnięci z teczkami i paczkami we wszystkich kolorach. Rzecz jasna, że nikt nie zwrócił na nich uwagi i nagrodę do

Tajemniczy Ceferino... O, krzykacze i niedoceniacze urugwajscy! Czyż jest możliwe, że żaden z was nie usiłował poznać się osobiście z Cefem? Od pięciu lat żyję w oczekiwaniu jakichś wieści o autorze Swiatła pokoju Swiata. To tak, o urugwajscy krytycy, badacie źródła waszej własnej kultury? Podczas gdy Ceferino popija mate na jakimś urugwajskim patio, wy zastanawiacie się nad wpływami Lukana na Herrere i Reissiga (nie ma ich ani śladu) zamiast wyjść na ulicę i szukać kopniętych, co jest znacznie bardziej podniecające. Dlaczego grzeszycie taką powagą, młodzieńcy? Czyż nie starczy powagi więcej znad drugiego brzegu La Platy?

285 284

stał Wladimir Weidle, który jest wcieleniem inteligencji; ale mnie udało się ocalić niektóre z wybitniejszych manuskryptów i powoli nagradzałem ich autorów moimi własnymi nagroiiami. Cefe towarzyszy mi już w przekładach na wiele języków, teraz męc, skromniej, ale z godnością, opowie nam swoje życie Jose M. Demeter:

Curriculum vitae

Po maturze w języku węgierskim poszedłem na chemię in Wien (w Wiednm). Kontrast powojennej nędzy i upadku w stostmku do uprzedniej wielkości wyłoni) już w 1923 roku myśl ewentualnej rekonstrukcji naddunajskiego cesarstwa przy pomocy wybuchowego zamachu stanu. W 1925 pojawiły się już akcje ~ wielką skalę (berlińskie i rzymski instytuty przepowiadały przyszłe ofiary); bomby potajemnie przedostały się do Jugosławii.

W 1933 otrzymałem tytuł farmaceuty (mgr farm.) na uniwersytecie w Zagrzebiu. W historycznej chwili 8 października 1934 roku miałem intuicyjne przecucie niebezpieczeństwa oraz wyrzuty szekspirowskie, że wróciłem z poczł w filozoficznym milczeniu i nie wysłałem telegramu: „Najveci .opasnost prali Vese Velicanstvo Kaplar Mis.” Wie_ rzyłem, że zręcnwść Francji uratuje sytuację, i modliłem się za zagrożony pokój.

9 października było jasne, że chcą powtórzyć (pomścić) Sarajewo i jego konsekwencje, tylko że odwrotnie... Wiedziałem, że Człowiek jest zdolny nadać kierunek przeznaczeniu albo choćby go zmienić.

Przed ponownym zbrojeniem się fanatyków i szaleńców wyemigrowałem w sam czas do obu Ameryk: w 1935 r. Od tej pory dwadzieścia lat w Argentynie; miałem względne szczęście (Sok hiihó semmiert). Jeździłem po wielu prowincjach południowych, wschodnich i północnych aż do paragwajskiej puszczy, niedaleko Mato Grosso. Wędrówka po dalekich światach w poszukiwaniu powodzenia, szczęścia, spokoju i jego skutków dla wszystkich. (Bez jedyne go i wyłącznego Zbawiciela wszystkich ludzi). Faktycznie nie miałem szczęścia. Były to lata światowego podniecenia i agonii, czasy zwycięstwa lub śmierci.

W Asunción, w Paragwaju, w dniach wypowiedzenia wojny złamałem prawą rękę. Przeznaczenie lub Nemezis. W Bella Vista (proca. Corri-tes) jakaś dama chciała mnie uczynić odpowiedzialnym za to, że ośmieliłem się wejść do biblioteki. Wyrażam wdzięczność nauczycielce, która osłania mój odwrót.

W czasie pierwszej wojny światowej straciliśmy Fortunę, w czasie drugiej Wiarę. Wreszcie Vorfihrer znapoleoni

zował się, lecz oadaremoie- ZamordowaV prawie c~ moją rodzinę (ter tY~, których ochroatia mi~Yka). Pó~iej

e wyd~,iriYło mnie (z povvodo ~~) z ~ ~ ~ ~ tekiem. Zasts~ ~,, samolnY, SmomyY P~°latek bez rao~, ~ d;~entów ai aomtek. Ale będę ~ov~ zdobyć je up~

;a~oego się aMaro. Zmb~Y ra~~ jeziora, z błotem m r~ty~; ~ ~ wiele w tych ~Ych stro~có• Potym ime ach w mdzaju dh cóorych.

Byłem w jury co najmniej trzech konkursów literackich 1 wiem, że nagrody są fatalnie trwonione pośród pisarzy, którzy nie potrzebują ich, by znaleźć wydawcę, Pisaizy żyjących P° stronie przytomnych, a tam jakby na złość, z uporem godnym

lepszej sprawy, ulokowały się wszystkie wydawnictwa- W gruncie rzeczy należałoby systematycznie nagradzać najlep

szych z przeciwległego chodnika; malarz czy pisarz całkowicie kopnięty, jeżeli nie jest do niczego, na pewno bardziej zasługuje, aby go ocalić od zapomnienia, bowiem w jego sztuce nie ma rzeczy pośrednich : wystarczy umieć dobrze otwierać oczy, aby takich znajdować (Wilhelm Lihde odkrył Serafina, kubiści Celnika, ja nawet. w głębinach fryzjerni w Spoleto przyuważyłem brzuch Marina, w zupełnej niemal ciemności malującego obraz, na którym liczni wieśniacy wdrapywali się na drzewa i zrywali pokrajane kawałki arbuzów). Ale marny los kopniętego poety lub malarza, jeżeli nie znajdzie mecenasa. Zapewne trudno dla nich urządzać specjalne konkursy (na które w dodatku na pewno by się nie zjawiali), dobrze natomiast zastawiać pułapki zwykłych konkursów, a potem wręczać im naQrodv. Po

myślmy tylko, jakby się zmienił świat, gdyby nobla otrzymała pani Maria C. de Galofre, autorka powieści pt. Promień zimowego słońca, która zaczyna się, jak następuje:

W Pięknym mieście G~ewie, oad brzegiem Jeziora t,iego w Szwajcara, mieszka sobie młode, dobrze sy~ovvsne malie~hvo. Maż, Ludw~C C., Szwajcar, jest główn3'm księgowym w jedne) z największych fabryk zegarków miasta i całego świata.

Jego młods żona, Adela, jest cudzoziemka M~erykaok~l. a to, czego dot~d brakło szczęściu małżonków, wreszcie się zjswito dziś: właśnie narodziło un się dziecię, piękoy mały c~opezreek, tak że s~! a ~rtyw szr~Cia.

Uwiadomione oatycbmisst, babka ze strony męża i jej córka Maria, siostra szczęśliwego tst~sia, txybyYwają, ażeby uratować maleń~wo.

Niezwłocznie zapada decyzja, że Maria bgdr3e matkę ,a, ojcem ~n~nYm zaś będzie jej roaż•

Wszystko idzie dobrze prcybywają znajomi z wizytami, prez~ty i kwiaty, żyrWs.

Z gnmtu zdrowa, mi~oda matercka szybko wraca do sił, zaccynsł się przygotowania do chrztu małego Pawełka, który ro~oie w oczach.

Z całą słuszością można by powiedzieć, że ta pani nie jest kopnięta, lecz głupia. Ale pozwolę sobie na uwagę, że przykład dotyczył nagrody Nobla, nie zaś konkursów, które proPaguję -r.

Jej amydzie~to zostało mi w swoim czasie udostępnione przez Frediego Guthmana, który był wielkim kolekcjonerem i piorunochronem kopniętych. W latach czterdziestych w Buenos Aires jego wymagająca przyjaźń ożywiła moje wyczulenie na sprawy margmale, że nie wspomnę 0 ohop-.suęv. które przygotowywał jego chiński kucharz, i innych magiach muzykalnych i nocnych. W owym czasie Frediemu wystarczyło wyjść na ulicę, żeby natyclmiast wpaść na jakiegoś niebywale wręcz kopniętego: od niego nauczyłem się, jak się do tych ludzi podchodzi, a kiedy zjechałem do Paryża, zrozumiałem, że Mistrz przekazał mi trochę ze swej urany, bowiem przyjazd tu okazał się właściwie zatonięciem w morzu kopniętych.

Podejrzewam ze smutkiem, że Fredi, wielki szaman z ulicy Santa Fe, nie napisze nigdy swych pamiętników, jest bowiem nieuleczalnie skromny. Jego surrealistyczne lata w kręgu Artauda, jego młodość na Tahiti i Markizach, jego przyjaźnie z ludźmi z buenosaireńskich przedmieść,

Kończąc nie kończący się temat

Hof~mann, znający się na rzeczy, mówi o wariatach dokładnie to, co my myślimy o kopnięt~ch: „Zawsze miałem wrażenie, że natura własme przez nienormalność odsłania nam swoje najstraszniejsze głębie; nawet mimo przerażenia, które mnie często ogarniało w trakcie obcowania z chorymi psychicznie, powstawały we mnie przecucia i krzepiące obrazy, pobudzające umysł do niezwykłych wzlotów”

A Andre Breton, który - nieszczęściem dla siebie - nie był dostatecznie kopnięty i zatrzymał się nad samym brzegiem Nadji (i nad jakim brzegiem, cóż za „lekcja przepaści“!) woląc magisterium niż misterium, również wiedział o tym dostatecznie dużo, skoro napisał

jego poszukiwania absolutu, jego ironiczno-pogardliwa dojrzałość...

Lato, druga w nocy, Fredi włóczący się po Barracas, mur zakładu dla obłąkanych, podobny murowi więzienia Sante w Paryżu - te ściany oddzielające od nas tamten świat, nieódwracalnie zraniony przez głupotę lub nieszczęście. Fredi spogląda na ziemię i u stóp muru widzi cienki kijek, który wyłazi z niedostrzegalnej dziurki, a potem cofa się. Fred~ pochyla się, chwyta koniec kijka, popycha go i czeka

- z drugiej strony ktoś robi to samo, popycha kijek, potem go pociąga. Fredi go puszcza, kijek znika, a po chwili znów się pojawia niby pyszczek myszy. Poprzez dziurę rozpoczyna się niebywały dialog: słowa dalekie, zduszone: wariat prosi o papierosa, Fredi wsuwa go, popycha drugim, już są zaprzyjaźnieni, jui są po imieniu, już umawiają się na spotkanie za tydzień. Fredi przychodzi, bierze dziesięciopensowy banknot, zwija go, upycha do dziurki, wariat mówi mu o sobie, o swoim życiu, o nocnych przechadzkach w ogrodzie, o tym, jak odkrył (a potem poszerzył) dziurkę wychodzącą na ulicę, jak czekał. Przez wiele tygodni trwa przyjaźń, podawanie pieniędzy, papierosów. Bez słów staje umowa, że Fredi nic nie będzie sprawdzał w zakładzie, że nie będzie go odwiedzał, jak to robią inni. Pewnej nocy wariat nie przychodzi na spotkanie; dziurka pozostała, ale może są w niej teraz robaki, może z drugiej strony zatkał ją ktoś, kto uznał, że koniec, że już dosyć tego dobrego.

=,~ Cytowane z dzieł HoiTmanna, V, 71, przez Alberta Begum w książce *L'ame romantique et le reve*, Jose Corti. Paryż, sir. 297).

?90

... ~... :-:- :-_ _-' ~. - . _- 1

a propos Maurice'a Fourre i *La nuit du Rose Hôtel*: „Oczywiście chodzi mu o porwanie nas na poziom przeżytego, znakomicie przewyższa_ jącego ten, na którym rodzą się les tranches de vie, tak cenne dla niektórych pisarzy”.

Ten poziom oczekiwał mnie w Paryżu i na nim chcę w dalszym ciągu żyć. Nie wydaje mi się przypadkowe, że *La nuit du Rose Hôtel* zostało opublikowane na rok pnxd moim tu przyjazdem, bowiem, jakby w podobnym przypadku powiedział Salvador Dali, był to dowód, że Francja przygotowała się starannie, aby otoczyć mnie odpowiednimi prądami. Takie książka jak Fourrego, to wypadki motocyklowe wywracające na drugą stronę moje życie, o czym pisałem w innych książkach; ale zawsze o kopniętych, zawsze o zagubionych wśród kopniętych, zaczynając rozumieć słowo „przeżyte” od metacentrum, które sam Maurice Fourre wkłada w usta Rose, gdy na stronie sto dziewięćdziesiątej trzeciej, wachlując się rachunkiem hotelowym, specjalnie wyśrubowanym o 50'x, jako że Chodzi o ich stałego klienta, dodaje: „Czy kiedykolwiek zbliżymy się do prawdy, jeżeli nie przesadzimy choć o jeden uśmiech?”

Stop the press: Kiedy powiedziałem, że Fredi Guthman, który był moim przewodnikiem w krainie kopniętych, przekazał mi swoją pozycję piorunochronu, nie przypuszczałem, że w mełe lat później będę miał deszcze jedno potwierdzenie, niepotrzebne, ale zachwycające, tej sprawy, tej waleriany, która emanuje z nas po to, aby koci gatunek kopniętych spieszył otrzeć się o nasze spodnie. Poprzednie strony zakończyłem 3 czerwca 1966 roku; rankiem następnego dnia otrzymałem egzemplarz El Noticiario, gazety wychodzącej w San Jose de Costa Rica, w której kopnięty, skromnie ukrywający się pod nader śródziemnomorskim pseudonimem „Latino Grece”, popisał się klejnocikiem astrologiczno-elektronicznym, zatytułowanym pytająco: Supremacja rasy żółtej? Jeszcze nie ochłonałem z tej lektury, a tu, gdy tylko przy

292

szedłem do Unesco, Edward Jonquieres (który nie miał najmniejszego pojęcia o moich ówczesnych zainteresowaniach) przynosi mi dokument, który właśnie otrzymał od rzemieślnika-wynalazcy L. Farre, zamieszkałego w Tarrasa, w Hiszpanii. Jakże odmówić panom Latino Greco, L. Farne i mnie samemu przyjemności umieszczenia in extenso tych dodatkowych prób, dowodzących, że świat albo będzie należał do kopniętych, albo w ogóle go nie będzie?

I fela ~Y 'żółtej?

Wielki kontynent azjatycki jest teściowo opanowany przez Elektry aktywo-depresywe, które daty początek zaistnieniu Rany Żółtej, wraz z jej skośnymi oczami i pewnymi nieregularnościami kostnymi i genitalnymi; dały one również początek radzeniu się zwierząt i owoców w sposób Y~ P~ 8dy msod~eskie susze spopularyzowały j~ Postanie: 7nalazieś wodę (dzień dobry lub dobry wieczór)?

Te Elektry w obecnej ~w~ili prze~od~ P~ ~ zablokowania przez Elektroiry aktywne, w rejonie, Himalajów przez Elektro~ry mierne z Polinezji i Mikronezji ~ przez Elektry czynne e~i~e e~ Uff, Morau K~spijski~m i Kaukazie; pode 8dy o~niczo~ siła pozytywne-negatywna lodowirwo-pacyóano-arktyrma podejmuje się przY

i

f pl

v\.

~r~ ie, wYP~ix i~ ~ oa syberii i zmuszając Oceno Spotujny do mdęcia się i ahzymania podpozioun jakichfi trzydziestu metrów w centroamery~ wraz z Ooeaa® Atlantyckim,, uwaioiapEc się od swyd,

PSY PSY ber, ~ PYF, cY~w i tornsdów m prcyl~dowycb wysp~ó wscóodu (Japonia i FVipa~yh aby potem rozbć się w u, a może w poca_ beku w trylogii paryficmo-aodowcowo-sntarktyrmej i wy_ równać w CYeśemie MageOaoa.

wobec powyż~ego awai~m, że wszelkie gwattowoe wkroczenie wyżej wymieioiooYcb F.lektroeoów aktywuo-depresyjucó w inne okolice powie~hoi zi~kiej będzie możliwe tylko przy paca elementów zodiakai~ych, mogących zwać aktnaloy stater opasań elektrooowo-neutronowych, kraj~cyd~ wokół Ziemi oa orbicie gwiazdnej w ciągłym ruchu ewoh~cy~Ym. (Ekktroey zbieżne z pola pozytywnego Lwa zdolne s~ą zasymilować okrążającą akcję pozytywnego pola Wodeiks~ Póki to się nie stanie (umożliwione tylko straszliwym pol~cuniem Wielkid~ Planet: Uranu, Neptuna, Saturna i Juniora otwartego fVtrn astroida~egoh nie będzie możliwa ek~ja Rasy Żółtej i z tego wyoikaj~ca supremacja przez oi~ w stae~eku do innych ras...

Latino Graco

Farreizados L. Farre'go

Rzemieślnik-wynalazca Medal Brązowy na jesienn~ch targach w Paryżu i na Dziesiątym Międzynarodowym Salonie Wynalazców w Brukseli ~;e

ul. Gen. Mola 90 tel. 1941 TARRASA Hiszpania skrytka pocztowa 63

proszę o uwa~e prceaytaue tego, co poniżej, a to w celu wych@aczenia i prWswienis ciekawego i caVciem nowago pokscmu, nigdzie jak dot~d nie znanego, c~ o mój ostatni rvyoalazek, uealizowaey w r~rwcu os gigu Roca de Sitgers, 8dzie przypadkowo, a raczej w celu roś

lipnej dekoracji wokół ory~na~go mini.domeczku (domak prefabrykowany, oparty o szkielecik metalowy, ca_ łość składajca się i racddadaj~ca, może spać dwanaście osób), zasiałem kukurydzę i ze zdv~ieniem zobaczyłem, jak szybko rośnie i wzbije się w górę, oo zaostrzyło moją ciekawość, by obserwować i wyeksperymeatować wszystko,

~ Ku za~stanowieniu si~ wrażliwych na sekwencje i wywybryki natury: Farre dostał brązowe medale w Paryżu i Brukseli.

295

Oo moźni zrobić z tak j~xj, cudownej ro6Vny. Niell, mi b~Zie wobn ofiarować paóstwo i proszę skosztować kukurydżę na ziekioo i w calej jej detikatmiaci, oddzielając wewaętrzoe czai łodygi kuku,ydzY~8a, ewentualnie surowe albo też kleto uprawione octem, soli, otiwq, cukrem, może s~ to rośl@y najczystsze, soczyste, pożywne i bardzo łatwv się ka~aw~j~oe. Piórapa~, zs~ zakwitnie,

ti karm, poda matsymań~ kooceatrację po. ŻY~! i w je8o ~ ~ojn, koloru zielu. °°~°~ z powodem brie się 8o jadab w aajróżniejszych kambiaacjach. W p~Cacó i komerw~ach, o ile życzcie, robt~ kak~rydZX-sorgo będzie w~iałrł re_ zey zieleni, waia~ dla kocb~ w~yaficich krajów. Delikatm kukurydza poprawia i wzmaatia smak wscystkid, sałat, zaś okreblaoe rzg~i ó~ardziej wióludste sĄ int~.j~e jako najlepsza lotrecja ł~ nowa odświeżaj~Ca guma do żucia.

Czy oagb'by~ie lo sto@ować i rozprzesazeaić to odkrycie?

Paiastaaie wdzięczny

LiJIS FARR>~, wynalazca dwustrunnej konfekcji Trastelas, Farreizsdas oraz cygar z ns)lepazego tytoniu z filtrem marki „Płnrn”.

Powody wściekłości

Te wiersze, część dużo obszerniejszego zbioru, napisaietn w 1950 roku: Ojczt~zna została dodana w Paryiu, w 1955. Ostatnimi czasy zadawałem sobie pytanie, dlaczego prawie nie publikowałem moich poezji, których tyk napisałem. Może dlatego, że czuję się mniej zdolny, by osądzać siebie poprzez wiersze niżli poprzez prozę, ale pewnie i dla petvversyjnej przyjemności zachowania tego, co najbardziej) własne. O tle jednak ta książka ma być wierna swoim intencjom, musi się w niej znaleźć coś, co by zbliżyło mnie do czytelnika. Ponieważ jestem wrogigim bezpośrednich zwierzeń, te wiersze za mnie pokażą, w jakim stanie ducha decydowałem się opuścić mój kraj. W parę lat potem Ojczyzna ujmie to w sposób, który łatwo może zostać źle zrozumiany: ja jednak wiem, że za całą tą wściekłością tkwi miłość naga i głęboka niby rzeka, która tak daleko mnie zaniosia.

Fama i flotra rzeki

Rzeka ta wyptywa z nieba i nklads się oa stałe, Naci~ga prześcieradle po
szyję i drzemie

wśród nas, l~ychodzących i odcóodz~cych. Rzeka ze srebra, która każdego
dnia zwilża nas wiatrem i ielatye~, i jcost rezy~nacijtl z dali, bowiem \$wiat

kończy się wraz z latarniami wybrzeża. A teraz ulgi diskutuj, przerzytsj te
siowa, Ns)lepiej pod wybitym monetami niebem kawiarni, Zabezpieczaey ad miasta,
od doi roboczych, otoczony pimis~ szanowną rzeki.

Nie zostaje prawie nic. Chociaż fale. w~stydGws miłość, która kryje się po
skrzynkach pocztowych, by płakać, lub bbłdzi samotnie po rogach ulic (ale widzi jq i
fale)

i chowa różne przedteioty, swoje zdjęcia, dewizki i beczki,
chowa je w rejonach wstydu,
po kieszeniach, gdzie mula nocka szemnx poród okruc~v i drobnych.

Dla niektóryd~ bo obojętne, ale i ja nie lubię racioga, nie smakuje mi aspiryna,
czuję mijanie doi, rozpadam się w oczekiwaniach, nieraz priekli~m, wtedy mi
mówi,

co ci jest, PrzYjacieb,
- Póbočný wiatr, cóolera.

Milonga

Tęsknię zs Krzyżem Pohdnia,
kiedy pragnienie każe mi wznieść głtiwę, by pić wino tve, póY~ocy, czarne.

Tęsknię za rogami ulic, gdzie drzemie sklepy same, w których zace Yerby driy
na skórze powietrza.

Rozumieć, że to zawsze jest tam

niby kieszeń, w której w każdej chwili ręka szuka monety, scyzoryka,
grzebienia, niezaardowans ręka ciemnej pamięci. przeGczaj~ca swych zmarłych.

Krzyż Pohdoie, gorztca mate, I ~°sY P~Yja~ól

więdo~ce wraz z imymi głosami.

~~ A jeśli ogarnie cię []łaCZ" (słowa tanga)

.A jeśli ogarnie cię plscz,

wyjdź rou naprzeciw, wypij do dna kieliszek nie fslszowanych łez.

Płacz, Argentyńrcyku, płacz wreszcie raz

prawdziwym phtczem, twarzy do lasu, który omijałeś z ręcznie, plam, nad
nieszczęściami, które uznałeś za cudze,

nad nieodwrsca)o~ samotnością u stóp rzeki, nad ltezasaużonego pokoju,
nad sjestą brudów wypchanYcó plackami,
nad twym dziecióstwmi zatrutym przez radio i kino,
nad twą miodości~ na rogach palnych obrzydzenia, chuliganów i
bezwzajenmej miłości, płacz nad mianowaniem cię, nad twym dyplomem,

nad tym, rn zsmknęło cię w obrębie powodzenia lub nieszcz~ścia, nad wielki
ptaszczyn~ , do której przywiązali cię działki, który będziesz spłacał
w ratach trzymiesięcznym.

Ojczyzna

Ten kurz na oczach,

ta klejąca szmata, czarce od niewzruszonych gwiazd, ta nie kończąca się noc,
odległość.

Kocham cię, kraju, rzucony Poniżej ~oorzs, rybo, brzuchem do góry, biedny
cieniu, pełen wiatru,

pomników i wykrzykników,
nieumotywowanej dumy, zдохbści do napadów,
.ryplutY, Pii~Y, ~~Y, P~klinaj~cr i Potrząsający d~or~giewkami,
rozdzielający szarfy na deszczu, skrapiaj~cy tępotę stadionów futbolowych i
ringów.

)Radne ctarnu~Y

~ls~ się w Powolnym ociu, a tam, gdzie ogień, tam teo, oo zjada migsiws i
wyrzuca kości. Turmiki, Pudełko °d P®Pw, P~°~e, alfonsi, deputowani waBcaoie o
podwójnych nazwiskach, lube, robi~ce na dmtach po bramach, nauczycielki

z podstawówki, księża, rejenci, środek ataku, waga lekka, tylko Fangio,
pierwsi pułkownicy, generałowie, marynarka, sanePid, karnawały,

biskupi, wszystkie ludowe tańce, miłooga i tafio,

gabinety, podsekretarze, dyrektorzy, wice, a reszta w diabły. I co, cholera,
marcyl o domku z o~ci~n,

pr~rwa w rndm trwale pięfiście minut, towar dotknięty uważa się ~a
sprzedany, dziś remanent, PrzePraszamY za usterki.

Kocham cię, kraju, żyjący o ulicach, puste podłogi od zapalek, Kocham cię,
pojemniku ~ odpadki, który opróżniają o świcie, owinięty sztandarem Belgraja,
staruchy piarż~ na pogrzebach i mate pogania mate, zielona pociecha, loteria
ubogiego.

A na każdym piętrze ktoś, kto urodził się, by wygłaszać mowy do innego, kto
urodził się, by ich shxhać, obgryzając paznokcie,
biedne czarnuchy, chcą być białymi,
biedni biali, przeżywszy~cy karnawał czarnych, ale totek, bracie, na Boedo, na
Noce,

na Polarna, o Barracas, ~m mostach, za miastem, o ranczach
chwytających wszystkie śmieci z pampy, w bielonych domach póh~ocy,
„a cynkowych blachach, o które ociera się chłód,

na placu de Msyo, gdzie krąży śmierć przebrana za kłamstwo. Kocham cię,
kraju ergi, soigcy o smokingach, wicemistrza śwista w byle czym, w tym, oo się da,
pozycja spoczniej, enema atomowa, totalitaryzm, peronizm.

krowy, tango, odwaga, pięści, cwaniactwo i elegancja.

Tak smutny, tam w głębi, w twym krzyku, tak zбитy,
w czasie najh•,pszej zabawy, tak zabawny w czasie autopsji. Ale kocham cię,
kraju z gliny, tak „jak hmi cię kochają, i coś z tego kiedyś wyniknie. Dzisiaj jest
odległość, uciertka,

nie wtr~caj się, ładuj dalej, trochę cierpliwości. Ziemia między palcami, pył w
oczach,

298 299

być Argentyńczykiem znsriy być smutnym, być Argentyńczykiem znaczy być
daleko

i nie mówić: jutro, wystarczy teraz być mialkim,

zakrywam sobie twam (pocóo zostawiam tbbie, durny folklorysto), ~>~ ~ ~

Pdw

świt w rzadkbn powieAzu Redów, Tuf Po Pyro. Parany,
skaliste Tupmgato i lot 1lsmiogów przecinający mokradła, kocham cig, kraju;
bndna chasdco do nosa, twoje ulice peó~e peronistovskifi afiszów, kodam cig
bez nadziei i bez przeba~nis, bez powrotu i bez prawa, i tylko z daleka, i
gorzko, i nocy.

Melancholia walizek

Lato chyli się ku końcowi, dziś koło piątej padało i przepiękna podwójna tęcza objęta daleki obraz Cazeneuve wraz z romańskim kościołem w Saignon, przez chwilę było przejście, był most, a ja ku zdumieniu Teodora powtarzałem inwokacje Walhalli, ujrzałem Wotana, Freję i zrozumiałem, że dla nas, małych bożków południa, także zaczyna się zmierzch. Dowodem tego jest fakt, że za tydzień będę ponuro tkwił w Bernie i tłumaczył informacje Interpolu, który miał idiotyczny pomysł, aby tam odbyć swoją doroczną konferencję; będzie się tam radziło nad przemylem opium, techniką fałszowania pieniędzy i wpływem długich wło" sów i elektrycznych gitar na sen doktora Perez i jemu podobnych.

Na temat fałszerzy pieniędzy (którzy nie są żadnymi fałszerzami, a jedyną rzeczą fałszywą w tej sprawie jest użycie tego określenia w stosunku do wspaniałych autentycznych kronopiów) dużo by mówić, pisarz jednak musi się ograniczyć do paru zdań za ledwie, wspomnę więc tylko, że moje raczej zadziwiające kontakty z Interpolem dały mi w zysku wiedzę o nie lada wyczynach z ~3ziedziny chemii i o pasjach graniczących z męczeństwem lub poezją, poczynając od jednego pana, który

`` fałszował banknoty najwy'zszej wartości (przy innych nie opłacałoby się to) stosując proceder polegający na wycinaniu z dwustu rozmaitych banknotów paseczków węższych niż pół milimetra, na sklejaniu takowych bez najmniejszego śladu, i konfekcjonowaniu z wyciętych paseczków dwusetnego pierwszego banknotu, stav nowiącego jego zarobek.

Po męczeństwie - poezja : stary meksykański szewc co parę miesięcy fabrykował meksykańską monetę ze złotym orłem - po czym wracał do zelowania bucików, i tak do następnego trymestru. Najpierw dowiedziała się o tym

301

policja, która z przyczyn obcej mi lokalnej filozofii nie zainteresowała się tą tak niewielką kolizją z prawem. Potem dowiedzieli się studenci, którzy stracili już wszelką nadzieję, by mieć na komorne i piwo, wobec czego zwrócili się do naprawiacza obuwia prosząc, żeby i dla nich zrobił orzełka. Dobrotliwy staruszek, kochający młodzież, dwukrotnie popracował na ich rzecz, otrzymując w zamian tylko ich szczęśliwy uśmiech. Być może, że Wespazjan znał prawdę, niemniej tym razem pieniądze pachniały kwiatami.

Dni są coraz krótsze, Teodor czuje, że niedługo wyjeżdżamy; i pełen jest kaprysów i gonitw na wszystkie strony, ze specjalnym uwzględnieniem pewnego drzewa wiśniowego, na którym ostrzy pazury i bez większego powodzenia usiłuje udawać óbraz Celnika. Moja żona przeszła samą siebie w ratatouille, którą podnosimy się na duchu, gdy przypominamy sobie walizki i skrzynie. Telegram od Carlosa Fuentesa i Emira Rodríguez Monegala, oznajmiający, że już ~wybiera~ą się do nas z Ramatuelle; czekamy na nich z pieczonym koziołkiem i domem jako tako uładzoną; drugi telegram, że szerzy się czarna ospa stop. Mało brakowało, żeby podpisali depezę „Charlie Parker” Sponurzałem, i tego popołudnia, po tęczy, nastawiłem płyty bop, potem zaś zainaugurowałem nowego Jimmy Heatha, gdzie pianista o sielankowym imieniu Cedar Walton z niedbałym czarem sieje na wsze strony to, co się w nnn rodzi, a niemało tego w związku z My Ideal.

Take it or leave it.

Teraz, po powrocie, miałbym ochotę po adać o takes w jazzie, bo dzisiaj rano na mo~~ paryskie podwórko spadają nie kończące się strugi deszczu, cały jestem smutny i wilgotny, i zamiast słuchać Xenakisa, który jest kronopiem na dni pogodne, apollińskie, jednym

słowem kreteńskie, słucham jedynej muzyki, która pomaga mi wraz z rumem, kawą i fatalnym cygarem Robt. Burns (if it ś a Robt. Bums it ś not a cigarille), a mianowicie starych płyt Bessie Smith, Lestera Younga i Birda. Natomiast muszę przyznać, że ostatnio jestem bardzo skompleksiały na temat jazzu, bo pewien nader wykształcony krytyk urugwajski wypowiedział się w tygodniku Marcha, że dane płytograficzne, które podałem w Grze w klasy, robią się od niedokładności, co był łaskaw udowodnić na całej kolumnie, podpisanej zresztą inicjałami, na kolumnie faktycznie salomonowej, ze względu na formę, w jakiej osądza mnie ów młodzieniec. Te odłamki pentelikońskiego marmuru zwały mi się na łeb (w ciemię bity) w zeszłym miesiącu, kiedy właśnie zamierzałem wchłonać co nie bądź z kultury urugwajskiej w łóżku „Albergo Ateneo”, który ofiaruje klientom swe wątpliwej jakości wygody w pobliżu La Fenice w Wenecji. Nonsens czytania urugwajskiej prasy w Wenecji narodził się z faktu, że Esther Calvino dostaje ją w Rzymie, po czym przyjeżdża na lagunę, aby ~ być obecną na rozlicznych festiwalach i pójść do restauracji Malamocco, gdzie pod pretekstem wzbogacania mojej kultury składa w me objęcia około trzech kilogramów druków. Tym sposobem w łóżku wchłaniałem wypociny druha znad La Platy z godną pochwałą pilnością, aż do chwili, w której domedztałem

się, że nigdy nie miałem pojęcia, do jakich zespołów należeli Zutty Singleton i Baby Dods, i innych tym podobnych okropności. Na starość zasmucił mnie fakt, że ani Ronald, ani Oliveira, ani Babs, ani Wong nie mieli pojęcia, czego szlochali, biedaki. Ale trudno a-a.

~ Boli mnie (?), że nie mogę udzielić dokładniejszych referencji, ale wyjeżdżając z Wenecji zostawiłem metr sześcienny numerów Marcha w południowo-wschodnia rogu pokoju i dopiero na wysokości San Daniele dei Friuli przypomniałem sobie, że nie wyciąłem wyżej wspomnianej notatki. Czyli że nie każdy jest Schliemannem, nie mó

Gość, który uczył mnie prowadzić auto, powiedział mi, że gdybym kiedykolwiek miał wypadek, jedyną rzeczą zdolną uleczyć mnie z kompleksów byłoby natychmiastowe wskoczenie w inny wóz i prowadzenie dalej tak, jakby nic się nie stało. Niech więc opadną sznury krępujące świętego Sebastiana, pozostawmy wyż. wym. kolumnę w spokoju i pomówmy o takes, które, jak to cały świat wie doskonale, a ja troszeczkę, są kolejnymi nagraniami tego samego tematu podczas jakiejś fonograficznej sesji. Ostateczna wersja płyty zawiera najlepszy take z każdego nagrania, inne zaś albo się archiwizuje, albo wyrzuca. Kiedy umiera wielki jazzman, fabryki płyt wypuszczają te uprzednio poskładane w archiwach nagrania jakiegoś Brol Powella lub Erica Dolphy. Słuchanie czterech czy pięciu takes tematu, którego miało się tylko wersję definitywną (nie zawsze najlepszą, ale to już inna sprawa), jest samo w sobie wspaniałe; jeszcze przyjemniej jest przeniknąć - ecouteur w sensie, w jakim Francuzi mówią .voyeur-do centralnego laboratorium jazzu t wtedy zrozumieć niektóre sprawy.

Rzecz wygląda tak: w czasie nagrywania (już zapomnieliśmy, że idzie o ekshumowany take, o to, co nazywają „uczczaniem”, a co ja nazywam większą ilością dolarów dla właściciela głosu) Bird brutalnie zrywa długi zaśpiew swego sexu (coś niby coitus interruptus z powodu

więc o tym, że moje zapomnienie ma pewne cechy freudowskie, a na to bez kija nie poradzi. Uczciwie dodaję, że po przeczytaniu jednej kolumny położyłem się twarzą do poduszki i poprosiłem żonę, żeby ponakrywała mnie wszystkim, co jest pod ręką, bym mógł wyjęczeć się do woli nie alarmując zbytnio ani JeJ, ani właściciela hotelu. Mam wrażenie, że ta mroczna tebaida posłużyła mi również za łażnię, wstałem bowiem całkowicie pocieszony i tegoż popołudnia kupiłem sobie

płyte, na której Jelly Roll Morton i Ornette Coleman wygrywają niesłychany duet fortepianu z sex-tenorem.

(Jelly Roll Morton umarł 10 lipca 1941, a Ornette Coleman grywał wtedy najwyżej od lat piętnastu. (Przyp. tłum.)

304

trzęsienia ziemi lub innej niebagatelnej krewy), słycać jego mruk Hold on!, czasami Max Roach ciągnie jeszcze parę taktów lub fortepian (Duke Jordan) kończy jakąś frazę, potem - mechaniczna cisza, bowiem inżynier przerwał nagrywanie i pewno przeklina. Dziwna zdolność płyty, mogącej uchylić nam drzwi do pracowni artysty, pozwolić asystować jego wzlotom, jego upadkom. Ile takes wydobyć można ze świata? Ten wydany może nie jest najlepszy. W jego skali bomba atomowa pewnego dnia może stać się Hold on! Birda, i wielką ciszą. Ale czy w tym wypadku inne takes pozostaną do wykorzystania?

Różnica między próbą a take. Próba powoli prowadzi do doskonałości, sama w sobie nie liczy się, istnieje tylko jako funkcja przyszłości. W take tworzenie jako takie podlega krytyce i dlatego bywa wielokrotnie przerywane i na nowo podejmowane. Niedoskonałość lub całkowita klapa take jest wprawdzie prób następnego, ale następne nigdy nie jest poprzednim „na lepiej”, po prostu leżeli jest dobre, jest już zupełnie czymś innym.

W literaturze najlepszy jest zawsze tako, ryzyko wliczone w wykonanie, margines niebezpieczeństwa, źródło rozkoszy siedzenia za kierownicą lub miłości, ale równocześnie pewność, która - na innym planie - daje teatrowi jego doskonałą niedoskonałość w porównaniu z kinem.

Nie chciałbym pisać nic prócz takes

Podróż do kraju kro~opiów

Ambasada kronopiów

Kronopie żyją w różnych krajach wśród wielkich ilości fam i nadziei; niedawno w jednym z tych krajów, dobywszy kolorowe kredki, które stale noszą przy sobie, wypisały olbrzymie Dość! na ścianach fam, i mniejsze Decydujcie się! na ścianach nadziei, a teraz, w konsekwencji wstrząsu spowodowanego przez te napisy, każdy kronopio musi zrobić wszystko, co w jego mocy, aby natychmiast poznać ten kraj.

Ambasady kronopiów we wszystkich krajach zleciły' swym podwładnym ułatwienie podróży kronopiom-podróżnikom, tak że gdy kronopio, który zdecydował się jechać, pojawia się w swojej ambasadzie, toczy się następujący dialog:

- Dzieńdobrybry! Tu kronopio-kronopio. - Dzieńdobrybry. Samolot czwartek. i
~ Uprzejmie wypełnić ten formularz. Uprzejmie pięć fotografii przodowych.

Kronopio-podróżnik dziękuje, a po powrocie do domu pilnie wypełnia całe pięć formularzy, które wydają mu się niebywale trudne, jakkolwiek na szczęście po wypełnieniu pierwsze

j go należy tylko nanieść poprzednie pomyłki na pozostałe. Po czym idzie do fotomatonu i każe się sportretować w następujący sposób:

' pięć pierwszych zdjęć na poważno, a ostatnie z wystawionym językiem. To ostatnie, pełen szczęścia, zachowuje dla siebie.

I W czwartek od samego rana kronopio „pakuje się”, czyli wkłada do walizki dwie szczoteczki do zębów i kalejdoskop, po czym zasiada, by patrzeć, jak jego żona pakule całą resztę, ale ponieważ żona jest takim samym kronopiem jak on, zazwyczaj zapomina o tym, co najważniejsze, przy czym mimo to trzeba siadać na bagażu, aby się zamknął; w tym momencie dzwoni telefon, arribasada zamadamia, że

307

pomyłka, że mieli samolot w minioną niedzielę, co wywołuje dialog pełen scyzoryczków między kronopiem a ambasadą, słysząc szcęk walizek, które otwierając się pozwalają wypaść pluszowym misiom i zasuszonym gwiazdom morskim, w końcu samolot będzie w przyszłą niedzielę, uprzejmie pięć fotografii przodowych.

Ciężko przygnębiony obrotem spraw, kronopio pędzi do ambasady i zaledwie otwarto mu drzwi, drze się na całe gardło, że już złożył pięć zdjęć wraz z fortnulanami. Urzędnicy nie zwracając na niego uwagi mówią, żeby się nie denerwował, bo fotografie nie są potrzebne, natomiast trzeba natychmiast pójść po czechosłowacką wizę, która to nowość wstrząsa od stóp do głów kronopiem-podróżnikiem. Jak wiadomo, krono~iom niewiele trzeby, by straciły ducha, więc melkie łzy toczą mu się po policzkach, podczas gdy jęczy:

- Okrutna ambasada, nieudana podróż, niepotrzebne przygotowania, uprzejmie zwrócić fotogr~e...

Ale wszystko mija i w osiemnaście dni później krońopio wraz z żoną odlatują z Orly i lądują w Pradze, po podróży, w czasie które najbardziej emocjonującą sprawą jest jak zawsze plastikowa tacuszka pełna cudowności do jedzenia i picia, nie licząc tubki z musztardą, którą kronopio chowa do kieszonki na pamiątkę.

W Pradze panuje skromna temperatura minus piętnaście, wobec czego kronopie niemal nie wychodzą z tranzytowego hotelu, gdzie niezrozumiałe osoby przesuwają się po wyłożonych dywanami korytarzach. Po południu jednak odważają się i wsiadają do tramwaju, który zawozi ich do mostu Karola, i wszystko, ~est tak zaśnieżone, i jest tyle dzieci i kaczek bawiących się na lodzie, że kronopie chwytają się za ręce i zaczynają tańczyć wołając:

- Złota Prago, legendarne miasto, duma środkowej Europy!

Po czym wracają do hotelu i niespokojnie czekają, ażeby zawiadomiono ich o dalszym

ciągu podróży, co jakimś cudem ma miejsce nie w dwa miesiące później, tylko już następnego dnia.

Samolot kronopiów

Gdy się wsiada do samolotu kronopiów, od razu można się zorientować, że te ostatnie nie mają ich zbyt wiele i muszą wykorzystywać miejsca jak się da, wskutek czego samolot raczej przypomina autobus w porze szczytu; tym niemniej na pokładzie panuje hałas i wesołość, bo pasażerowie to prawie same krono

pie, kilka nadziei oraz parę kronopiów-cudzoziemców, wracających do swego kraju, które z początku ze zdumieniem obserwują radość innych na amatora jadących do ich kraju, potem jednak także się rozweselają, rezultat: w samolocie jest wrzask, który można by porównać tylko do huku motorów lub do śmierci w trzech tomach.

Samolot ma wystartować o dwudziestej pierwszej, ale zaledwie pasażerowie zainstalowali się i zaczęli drzeć, jak przystało i wypada w takich okolicznościach, po~ama się śliczna aerokelnereczka i oznajmia

- Każę powiedzieć trapi, że ogólny wysiad, mamy dwugodzinne opóźnienie.

Wiadomo, że kronopie nie przejmują się takimi głupstwami, zwłaszcza że już się cieszą

310 311

na myśl o szklanicach różnokolorowych soków, którymi z pewnością zostaną poczęstowane w barze lotniska (i znów będzie można kupować pocztówki, by posyłać je do innych kronopiów), oo spełnia się z nawiązką, dostają bowiem także znakomitą kolację (umożliwiającą im spełnienie największego marzenia ich żyda, a mianowicie jedzenia jedną ręką i równoczesnego pisania kartek drugą). Po czym

wracają do samolotu, który wygląda, jakby tym razem miał zamiar polecieć, aerokelnereczka prawie że natychmiast przynosi im pledy granatowe i zielone, a nawet sama je okrywa, gasi światło i czeka, żeby się uciszyli, co jednak nie następuje ku wielkiemu zgorszeniu nadziei i kronopiów-cudzoziemców, przyzwyczajonych do zasypiania, jak tylko zgaśnie światło.

Nie warto wspominać, że kronopio-podróżnik z punktu wypróbować wszystkie guziczki w swoim zasięgu (bo to uwielbia) w nadziei, że za naciśnięciem któregoś aerokelnereczka przyniesie mu nową szklanicę soku, ewentualnie przyjdzie jeszcze staranniej nakryć go zielonym pledem, co niestety się nie sprawdza, za to bardzo szybko wychodzi na jaw, że ta ostatnia już śpi jak suseł, rozłożywszy się na trzech siedzeniach, które te panienki zawsze

— · — ' —

na wszelki wypadek sobie rezerwują. Wobec tego kronopio rezygnuje i także postanawia zasnąć, ale w tym momencie wszystkie światła zapalają się i kelner zaczyna roznosić tace. Kronopio zaciera łapki i mówi do żony

- Nic lepszego niż dobre śniadanko po wzmacniającym śnie, szczególnie gdyby dali tości - które to życzenie nie spełnia się jednak, bowiem kelner przynosi tylko napitki o nazwach poetycznych i tajemniczych: ańejo en !a rota, co w jakiś sposób wiąże się ze starym sztychem japońskim, lub mojito, co też brzmi z lekka po lapońsku.

W każdym razie kronopio uważa za rzecz ciut zdumiewającą, że wyrwano go ze snu tylko po to, żeby natychmiast zanurzyć w alkoholowe delirium, dość szybko jednak widzi, że nie o to chodziło, bowiem pojawia się obudzona aerokelnerka z omletem, migdałowymi lodami i bananami niewiarygodnej wielkości. Ponieważ nie upłynęło jeszcze pięć godzin od pełnej kolacji na lotnisku, kronopio jest zdana, że ten poczęstunek jest raczej niepotrzebny, ale kelner tłumaczy mu, że kolacja nie była przewidziana tak późno i że jeżeli nie ma ochoty - może nie jeść, co znowu kronopio uważa za rzecz niedopuszczalną, dość, że po zjedzeniu omletu i lodów chowa banana do lewej wewnętrznej kieszeni kurtki (żona zaś wkłada go do torebki). Tego rodzaju wydarzenia mają tę dobrą stronę, że skracają czas trwania podróży samolotowych i tym sposobem po lądowaniu w Gander (gdzie me zdarza się nic godnego uwagi, bomem dni, w których cokolwiek godnego uwagi zdarza się w miejscach typu Gander, są równie rzadkie jak dni, kiedy susły wygrywają w szachy)

samolot kronopiów wpływa na szafirowy nieboskłon z jeszcze bardziej szafirowym morzem w dole, wokół wszystko robi się zupełnie szafirowe i kronopie podskakują ze szczęścia, po chwili widać paliny, a któryś z kronopiów wrzeszczy, że teraz już mu wszystko jedno,

313

nawet gdyby samolot spadł (oświadczenie patriotyczne przyjęte z pewną rezerwą przez kronopiów~udzoziemców, a przede wszystkim przez nadzieje) - i tak oto dociera się do kraju kronopiów.

Rzecz jasna, że kronopio-podróżnik natychmiast przystępuje do zmedzama kraju, a pot, kiedy~uż wróci do siebie, napisze pamiętnik na różnokolorowych papierkach, które potem będzie rozdawał na rogu ulicy wszystkim, którzy będą mieli ochotę to czytać. Famy dostaną niebieskie papierki, bo madomo, że hak zaczną czytać ten pamiętnik, to całe zzielenieją, a jest rzeczą znaną, że kronopio lubi połączenie tych dwóch kolorów. Znowu nadzieje, które dostawszy prezencik zawsze się czerwienią, dostaną białe papierki, żeby miały czym zasłaniać sobie policzki; a wtedy kronopio ze swojego cógu będzie obserwował rozmaite miłe kolorki, rozbiegające się na wszystkie strony i unoszące wspomnienia z jego podróży.

Moreliana, zawsze

Oto zamimęły się arcY, lrtórymi ogl~daoo świat z miłości i w estym jego bogactwie. Nagrobek Jana Jakuba Wagnera.

Tak jak eleaci, jak święty Augustyn, Novalis przeczuł, że jedynie wewnętrzny świat naprawdę prowadzi do zewnętrznego i pozwala

~)~ós.~i°tt, 'u ai. ~(~.or~na.~m~. eri~~s. ~.a;~6~.1:~~ _ ?.i

ir.~•

~~Exv~oS~g~E

'. cug~~o :, R.G

"

~ ~~~i~o "Inc~lo~ire C~ba~o"

_ /~;v~~~~r,

i'd.-.t~~.~~ _L•~'

~;f .u l~cir cir.te ~;o1Ji~nc~_ivn a~~(i'in ixtul~vf ~attś i1~ o~ll ~immc~~tu Jir
ji~tlć~C,k~ygs~

vuobrc ~c c~ ~jitic~f iin i~yl~f_m_os-lt~ ~ir~o~m: .~/ónxmt~wffcšhii~ iin
Jfibr ciń~ ~~~~~ru~t

< . t ~ ~u ji~int cš imtv~ti Ei~in iauj~iifšll j ihm ~c't1a~?:~.

~.: , L ,, ...r

odkryć, iż oba zleją się w jeden, gdy alchemia tej podróży wyda nowego człowieka, Wielkiego Pogodzonego.

Novalis umarł nie osiągnąwszy błękitnego kwiatu, Nerval i Rimbaud zstąpili do Pramatek, owych sił tellurycznych, skazując nas na straszliwą pokusę, byśmy - poczęci z gliny stali się bogami. Przez nich wszystkich, przez to, co czasem otwiera sobie drogę w naszej codzienności, wiemy, że tylko z samego dna studni w biały dzień widać gwiazdy. Studnia i niebo nie mówią wiele, chodzi o to, by się zrozumieć, wyznaczyć współrzędne; Jung daje swą nomenklaturę, każdy poeta swoją, antropologia zna nocne i dzienne stany psychiki i wyobraźni. Ze swojej strony mam pewność, że jeżeli tylko okoliczności zewnętrzne (muzyka, miłość, jakiegokolwiek wyobcowanie) wyrwą mnie

.. i / 1 f . ~l r

t ~ a ~ t~Oa~S ,, ~ . __

..

na chwilę z świadomości czuwania, to coś, co wychyla się i nabiera formy, niesie ze sobą całkowitą pewność, uczucie upajającej prawdy. Podejrzewam, że romantycy nazywali to natchnieniem.

Tego wszystkiego niepodobna wypowiedzieć, lecz człowiek po to jest, żeby usiłował to robić; w każdym razie poeta, malarz, ewentualnie wariat. To pogodzenie się ze światem, od którego oddzielał nas i oddzielał niepojęty dualizm rodem z Zachodu, a które daleki Wschód anuluje zarówno w systemach, jak w sformułowaniach tylko z daleka i w zdeformowanej postaci do nas dochodzących, można zaledwie podejrzewać poprzez niejasne dzieła, czasem czyjeś losy, a jeszcze rzadziej poprzez nasze własne poszukiwania. Jeżeli me sposób tego wypowiedzieć, trzeba starać się

~,orona~m~. eri~s.

wymyślić na to jakieś słowo, przyjąwszy, że z natarczywości wyłania się forma, że sieć plecie się poczynając od dziur; coś niby pauzy w muzyce Weberna,

plastyczny akord w oleju Picassa, żart Marcela Duchamp, chwila, w której Charlie Parker wyrzuca w powietrze Out of NoH~here, ta strofa Attara:

wrę.vszr cale moria, a~wimr ~,

że olsze wargi o~dsl suche s~ jak plaże,

9 rowu szukamy morsa, abr je w uim moczyć - eie wiedz~c, że oavze wargi s~ plażami, a my sami - morzem.

W tym i w tylu innych strzępach tkwią próby Pogodzenia się, i tam właśnie ręka Novalisa zrywa błękitny kwiat. Nie mówię o studiach, o metodycznych ascezach, mówię o tej milc-zącej intencjonalności, która wyjaśnia każdy ruch poety, czyniąc go jego własnym skrzydłem, niosłem lego łodzi, chorągiewką jego wiatru, i przewartościowuje świat 7a cenę zejścia do piekła nocy i duszy. Nienawidzę czytelnika, który zapłacił za swoją książkę, widza, który kupił bilet, i z tej racji rości sobie prawo do miękkiej poduszki hedonicznego użycia lub zachwytu nad geniuszem. Co twój zachwyt obchodził Van Gogha? Tym, czego chciał, było twoje współnictwo, to, żebyś zechciał zobaczyć, tak jak on widział, oczami wypalonymi przez heraklitowy ogień. Kiedy Saint-Exupery odczuł, że kochać to nie znaczy wpatrywać się w siebie, lecz patrzeć wspólnie w jakimś kierunku, poszedł dalej niż miłość dwojga ludzi, i każda miłość idzie dalej niż taka miłość, jeżeli rzeczywiście jest miłością, i pluję w twarz temu, kto by mi mówił, że kocha Michała Anioła albo E. E. Cummingsa, nie dowiódłszy mi, że chociaż przez jedną obłądną godzinę był tą miłością, a także tym drugim człowiekiem, że patrzył wraz z nim, wyszedłszy z jego spojrzenia, że jak on nauczył się patrzeć ku nie kończącemu się wylotowi~n, który czeka i przyzywa.

Skrytka kameleona

Il eut jusqu'au bout le geesie de s'echapper; mais il s'echappa en soufiraut.

Rene Char, L'age cassant.

Na temat synchronianu, metad~roni~nu i anactu~oni~nu osiemdziesięciu światów

- Señora - rzekłem jej - niech pani nie oczekuje zbytniego ładu w tej podróży dokoła dnia. Niektóre z moich osiemdziesięciu światów to stare, małe planety, do których dotarłem już dawno, dawno, trochę jak Mały Książę Saint-Exupery'ego, tak pogardzany przez wielkich literatury, a tak wzruszający dla nas, którzy pozostaliśmy wierni Światłom Wielkiego Miasta, Jelly Roll Mortonowi i Oliverowi Twistowi. Około lat czterdziestych zamieszkiwałem jeden z tych światów, które młodej generacy wydają się w złym guście, uważa ona bowiem, że jest nieelegancko mówić o his et

punc: mówię o poetyckim wszechśmecie Johna Keatsa. Nawet jestem autorem sześciuset stron, które były wtedy, a może są i dzisiaj, jedynym pełnym studium, jakie zostało napisane o tym poecie w języku hiszpańskim. Nieśmiały i nieznany, na skutek namów któregoś z przyjaciół zdobyłem się na odwagę pójścia do British Council w Buenos Aires, gdzie pan, podobny jak dwie krople wody do szarańczy, przerzucił z przerażoną miną rozdział, w którym Keats i ja wałęsaliśmy się po dzielnicy Flores, gawędząc o wielu sprawach, po czym zwrócił mi manuskrypt z trupim uśmiechem. A szkoda, bowiem była to urocza książeczka, swobodna i potargana, pełna wtrąconych zdań, skoków, wzlotów i nurkowań, książeczka z tych, jakie kochają poeci i kronopie. Mówię to pani teraz, bomem dziś rano w Paryżu pewien pisarz zaangażo

318 1 319

wany - pani mnie rozumie - ukazał mi potrzebę ideologii pozbawionej sprzeczności. Wtedy, zostawiwszy mu tylko moją twarz, sam zapędziłem się w mgłę, której nieobcy był kornak, a obraz Keatsa powrócił do mnie z owego dalekiego świata, z małego mieszkanka róg Lavalle i Reconquista w Buenos Aires, kiedy spotkaliśmy się na terenie jeszcze nie zapisanej stronicy i zanurzyliśmy się w noc. Może teraz zrozumie pani to, co dalej nastąpi, teorię kameleonów i wróbli, o których się mówi, żeby zdenerwować czyste sumienie, wygodnie zainstalowane w monokratycznych prawdach.

Wkracza kameleon

Pewien człowiek, który od dawna nie widział pana K., powitał go tymi słowami: „Ależ pan się nic a nic nie zmienił”. „Och!” - wykrzyknął pan K. i zbladł.

Bertold Brecht, Historie o panu Keunerze.

Nadchodzi dzień, kiedy reporterzy, krytycy i ci, którzy piszą prace naukowe o artystach, dedukują, czekają, a nawet wymagają panoplii ideologicznej i estetycznej. Zdarza

się, że również i artysta miewa pomysły, rzadko jednak miewa je systematycznie, chyba żeby zmieniawszy się w chrząszcza wyeliminował wszelkie sprzeczności, jak to robią owe tęgopokrywie, filozofowie i politycy, aby w zamian za to zapomnieć lub nie wiedzieć o tym wszystkim, co rodzi się choć trochę poza obrębem ich skrzydełek chitynowych, ich nóżek sztywnych, obliczonych, akuratnych. Nietzsche, który był kronopiem jakich mało, po wiedział, że tylko idioci mu przeczą sami sobie co najmniej trzy razy dziennie. Nie mówił o fałszywych sprzecznościach,

które, za ledwie poskrobać, okazują się rozmyślną hipokryzją (człowiek, rozdający jałmużnę na ulicy, równocześnie w swojej fabryce parasoli wykorzystuje pięćdziesięciu robotników), tylko o tej zdolności do równoczesnego pulsowania czterech serc kosmicznej ośmiornicy; każde z nich bije dla siebie, każde ma swoje powody i każde porusza krew i podtrzymuje świat, kameleonizm, który wszyscy czytelnicy znajdą i znienawidzą lub pokochają w tej książce, tak jak w każdej książce, gdzie poeta odrzuca chrząszcza. Tego dnia ma osiemdziesiąt światów (cyfra jest umowna, no i dlatego, że upodobał ją sobie mój imiennik), ale bardzo być może, że wczoraj było ich pięć, a dziś po poźdniu sto dwadzieścia, nikt przecież nie wie, ile światów mieści się w dniu kronopia czy też poety, i tylko mózgowcy decydują, że ich dzień składa się z określonej ilości elementów, chitynowych nóżek, którymi machają szparko, aby posuwać się naprzód po tak zwanej wytkniętej drodze umysłu.

Ustalmy jednak, że wszystko, co powyżej, należy również interpretować odwrotnie, spoza chrząszcza od różowych i niebieskich fiszek; powiedzmy, że jakiś kronopio sam sobie przeczy, że w świecie czternastym myśli lub czuje inaczej niż w dwudziestym ósmym lub niż w dziewiątym; wtedy właśnie zachodzi ów cudowny i doniosły fakt, którego tęgopokrywe

21 - Cortazar 321

prawie nigdy nie chcą uznać („Ach, gdyby Shelley był konsekwentny w swoich postulatach”), („Puszkina całujący ręce cara -toż to ceremonia nie do pojęcia”), („Aragon, ten surrealista, posłuszny partii”) a mianowicie, że kronopio i poeta nieraz wiedzą, że ich sprzeczności nie są w niezgodzie z naturą, że są jeżeli można się tak wyrazić - pozanaturalne, ale co im zrobisz, jeżeli w jakimś centralnym punkcie antagonistycznych rytmów serca wielkiego ośmioramiennego głowonoga poruszają tę samą krew? Zaznaczam, seño, że nie chodzi o powierzchowne sprzeczności, przyjąwszy, że na tym terenie artysta nie jest lepszy niż radny, ginekolog lub Indira Ghandi, i być może Shelley zawinił tym, Puszkina tamtym, i tak dalej. Mówię o gąbkach, o własnościach chłonnych, o barometrycznej wrażliwości, o skali wybierającej fale, porządkującej je lub preferującej w sposób nie mający nic wspólnego z Przepisami Międzynarodowej Unii Łączności. Mówię o odpowiedzialności poety z natury rzeczy nieodpowiedzialnego, z natury rzeczy anarchicznego, zakochanego w porządku słonecznym, nigdy zaś w nowym porządku ani w sloganach równających krok pięćm czy też siedmm milionów ludzi w jakiejś

parodn porządku, mówię o czymś, co nie będzie się podobało komisarzom, młodym Turkom, Czerwonej Gwardii, o czymś, czego nikt nie opisał lepiej niż John Keats w liście, który wiele lat temu nazwałem listem kameleona, a który zasługiwałby na taką samą sławę jak la lettre du voyant. Preludmm tego już można uchwycić w zdaniu napisanym rok przedtem, i jakby mimochodem, gdzie Keats mówi do swego przyjaciela Bayleya, że nigdy nie oczekiwał ornego szczęścia niż terażniejszość, i trochę niedbale dodaje: „Jeżeli wróbel siądzie na mym oknie, biorę udział w jego życiu i dziobię ziarenka wraz z nim”. Ale w październiku 1818 roku w liście do Richarda Woodhouse'a, w tym właśnie, o który mi chodzi, wróbel

323

Jules Verne, Podróż do środka Ziemi

zmienia się w kameleona: „Co do charakteru poetyckiego samego w sobie, nie posiada on żadnego ja, jest wszystkim i niczym. Nie ma charakteru, cieszy się światłem i cieniem, żyje w radości, niezależnie od tego, jaki jest: potworny lub cudowny, zarozumiały lub skromny, bogaty lub biedny, drobiazgowy lub wzniosły. Jednakowo się cieszy poczęciem Jagona jak i Imogeny. To, co razi cnotliwego filozofa, zachwyca poetę-kameleona... Poeta jest najmniej poetyczny ze wszystkiego, co egzystuje, ponieważ me ma tożsamości, stale wciela się w innych, nie ma żadnej cechy stałej, niezmiennej, jest najprzyziemniejszy ze wszystkich stworzeń boskich”.

W przypadku Keatsa - wystarczy przeczytać jego korespondencje - był on równie zdolny; jak każdy inny, by brać czyjąś stronę i po Sartre'owsku opowiadać się za tym, co jego zdaniem było sprawiedliwe lub konieczne; ale ta cecha gąbki, to uporczywe manifestowanie braku własnej tożsamości, to, co o tyle później przydarzyło się Ulrichowi Musila, jest dowodem specyficznego kameleonizmu, którego nie pojmy nigdy tęgopokrywe. Jeżeli poznawanie czegoś jest równorzędne z braniem w tym udziału, to poznawanie poetyckie całkowicie odrzuca aspekty rozumowe i chitynowe i działa na zasadzie wdarcia się, napadu lub uczuciowego zajęcia miejsca, tego, co Keats nazywa po prostu wzięciem udziału w życiu wróbla, co później Niemcy nazwą Einfuhlung, słowo tak ładnie brzmiące w rozprawach naukowych.

Wszystko to jest znane, ale naszym czasem jest czas łcicińsko-amerykański, w którym w braku prawdziwego terroru istnieją małe nocne lęki niepokojące pisarza we śnie, koszmary eskapizmu, nieangażowania się, rewizjonizmu, literackiej

rozwiązłości, bezpodstawności, hedonizmu, sztuki dla sztuki, wieży z kości słoniowej : drętwa mowa i głupota nie znają granic. Każdy komisarz jest gotów widzieć w poecie

pederastę lub narkomana albo następnego w kolejce nieodpowiedzialnych. A najgorsze, że pewnego razu był komisarz nazwiskiem Platon.

Tak mnie, hak i innych w kolejce czekają komisarze, którzy będą wyrzucali tej książce jej bulgoczącą zaczepność. Po cóż miałbym się bronić? Znowu pójdę przechadzać się z Keatsem, ale przedtem na murze komisariatu razem napiszemy kredą te rzeczy, które kiedyś nawet w komisariatach będą znane. Tak, señora, oczywiście, że w rozumowym akcie poznania nie ma utraty identyczności; przeciwnie, podmiot redukuje przedmiot do wymiarów dających się skategoryzować i spetryfikować w celu ich uproszczenia logicznego na swoją miarę (które komisarz przemienia na uproszczenia ideologiczne, moralne etc., pozwalające prozelitom spać w spokoju). Logiczne zachowanie człowieka zawsze zmierza ku obronie osoby, o której mowa, schronieniu się przed przenikalnym wkroczeniem rzeczywistości, byciu par excellence przeciwnikiem świata, bowiem jeżeli człowiek ma obsesję poznania, zawsze jest to trochę z nienawiści i ze strachu, by się nie zagubić. W zamian, señora, poeta rezygnuje z obrony. Rezygnuje z zachowania tożsamości w momencie poznawania, bo nieomylny znak w formie koniczyny pod brodawką piersi, tak jak w bajkach dla dzieci, pozwala mu z każdym krokiem czuć się kimś innym, z łatwością wychodzić z siebie, by wkraczać w postaci, które go zajmują, wyobcowywać się na rzecz przedmiotu, który będzie opiewany, na rzecz fizycznej lub moralnej materii, której liryczne spłonięcie stworzy poemat. Spragniony egzystencji, poeta wciąż lgnie do rzeczymstości, coraz to głębszej, coraz realniejsze. Jego siłą jest instrument posiadania, lecz równocześnie, o dziwo, pragnienie posiadania. Niby sieć łowiąca dla siebie, haczyk, który równocześnie byłby sam w sobie chęcią łowienia. Być poetą to pragnąć, ale przede wszystkim otrzymywać dokładnie

324 325

w takiej mierze, w jakiej się pragnęło. Stąd rozmaite wymiary poetyki i poetów. I ten, kto zadowala się rozkoszą estetyczną słowa i działa na miarę swego pragnienia posiadania; i ten, kto wkracza w rzeczywistość niby gwałciciel esencji, znajdujący w sobie i dla siebie instrument liryczny, który pozwoli mu wyrwać odpowiedź z tego innego i uczynić ją swoją, a przez to samo i naszą; błagania jak w Elegiach duinezyjskich lub w Kamieniu słonecznym na zawsze rozbijają fałszywą

palisadę kantowską pomiędzy granicą naszej duchowej powierzchni a wielkim dziełem kosmicznym, prawdziwą ojczyzną. A więc, señora, doświadczenie ludzkie nie wystarcza, by stworzyć poetę, ale dodaje m~: wielkości, jeżeli jest równoczesne z jego powołaniem i-jeżeli ów poeta zna sposób, w który te dwie izeczy ma wyrazić.

Tu dotykamy korzeni romantycznego nieporozumienia Esproncedów i Lamartine'ów, opinii, że los poety powinien łączyć się z osobistym doświadczeniem (doświadczeniem uczuć i namiętności, imperatywów moralnych i społecznych), podczas gdy w rzeczymstości te uczucia, wzbogacone i oczyszczone przez poetyckie wyuczucie świata, powinny działać tylko jako bodźce dla słowa i wyrzucać je poza zasięg osobisty, by w ten sposób stworzyć poemat, a tym samym dzieło do głębi ludzkie.

Dlaczego u Keatsa, człowieka o osobowości bez wątplenia określonej na planie moralnym i intelektualnym, istnieje taka przeciwstawność pomiędzy jego człowieczeństwem a nigdy nie zaangażowanym tonem jego dzieła? Czemu przypisać należy to ukrywanie się za rozmaitymi tematami poetyckimi, tę odmowę ukazywania siebie?

Señora (i to napiszemy dużymi literami na drzwiach komisariatu), w tym leży właśnie wyjaśnienie sprawy. Tylko słabi dążą do kompensacyjnego puszenia się na terenie, gdzie ich gotowość hteracka robi z nich na chwilę

ludzi silnych i twardych, stojących po dobrej stronie. Nieraz jest się autobiografem lub pisarzem panegiryków (poematy na rzecz bohatera-mnie czy też politycznego bohatera to właściwie jedno i to samo) tak, jak na innych terenach jest się rasistą: z lenistwa, ze wstydliwego poczucia niższości. Po co dawać aż tyle przykładów, skoro wszyscy mamy je w pamięci - te poematy, które tylu sławnych ludzi chciałoby dzisiaj wymazać ze swych „dzieł zebranych”? Ukryta pewność, jaką ma Keats, pewność swojej wewnętrznej pełni, zaufanie do swego istotnego człowieczeństwa intelektualnego uwalniają go zarówno od narcyzowatej spowiedzi a la Musset, jak i od hymnu do wybawiciela lub tyrana. W przeciwieństwie

326 327

JOHN KEATS

do komisarzy żądających konkretnych gwarancji, poeta wie, że może pograć się w rzeczywistość bez zastrzeżeń, przestać z niej korzystać lub nadal korzystać z niezależną swobodą człowieka mającego zapewniony powrót, mającego

pewność, że zawsze będzie taki, jakim być pragnie, solidnie tkwiącym w ziemi, awiomatką, która bez zawiści czeka na powrót swego pszczelego zwiadu.

Osobista koda

Dlatego, señora, mówiłem, że wielu nie zrozumie tej przechadzki kameleona po pstrokatym dywanie ani też tego, że mój ulubiony kolor i kierunek są widoczne, o ile się przyjrzeć uważnie: każdy wie, że mieszkam na lewo, na czerwonym. Ale nigdy nie będę o tym mówił wyraźnie, chociaż może, niczego nie obiecuję ani się nie zarzekam. Myślę, że robię coś lepszego i że wielu to zrozumie. Nawet niektórzy komisarze, nikt bowiem nie jest nieodwołalnie stracony i wielu poetów nadal pisuje kredą na ścianach 'komisariatów na południu, północy, zachodzie i wschodzie tej ohydnej, przecudownej ziemi.

Spis treści

wstęp	7
Lato na wzgórzsd~	15
JuGusze w akcp	
O urcuciu bycia nie całkiem	33
Temst dla świętego Jerzego	qq
O powadze as veloriach	49
Antropologia kieszonkowa	5g
The Smiler wich d~e knife under the cloak	62
O poczuciu fantastyczności	6\$
Mogłabym odtańczyć ten fotel, rzekła Isadora	72
' Jeden Juliusz o drugim	79
O sposobie podróżowania z Aten na przylądek Sunion	87
Dialog z Maoryssmi	9q
Spotkania poza czasem	tp2
Szlad~ehia sztuka	lpó
	l09
1 ~ pkie ministerstwa po nocy	112
	120
Nie ma ~ad~go od	1~
Dokole dnia w tncim \$wiecie	lq4
Trzeba óyc naprawdę kliot\$, żeby	150

Dwie opowieści zook~irme i jedna prawie	157
i What Happe~, Minervs?	163
Lo~nis, PrieogromnY kronopio	169
Podróż dokole fortepianu Theloniousa Monka	179
Z prawdziwi dumy	lg5
I Aixby dojść do Lezamy Limy	195
Stos na którym ,	
Podejrzane znsjomo6ci	240
	299
Naa pieszczota	
Ruch polegaj~cy na...	276
Powody wiiciekłości	297
Mehmd~olia walizek	3p1
Podróż do kraju kronopiów	3p7
Morelisna, zawsze	315
Skrytka kameleona	319

S

ⁱ Patrz: Opowieści o kronopiacz i famach J. Cortazara. Czytelnik 1973. (Przyp. tłum.).

ⁱⁱ Man Ray, Autoportrait.

ⁱⁱⁱ Robert Lebel, La double Vue.

^{iv} Antonin Artaud, L'ombilic des limbes